This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

PISMA
H. SIENKIEWICZA

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

Pisma
Henryka Sienkiewicza.

TOM II.

Listy z podróży.

WYDANIE TRZECIE.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

1884.

LK

PG7158
S4
1883
v.2

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Ноября 1883 года.

Warszawa.—Druk S. Niemiery, Włodzimierska N. 2 l. A.

WSTĘP.

W życiu literackiém dzieje się wiele rzeczy tak nagłych a niespodziewanych, jak śmierć, od któréj zastrzegamy się w suplikacyach, lub assekurujemy w naszych towarzystwach ubezpieczeń. Co do mnie, jak prawdziwe dziecko wieku, nie zwykłem się dziwić lada czemu, i gdyby mi ktoś nawet powiedział, że:

„Był młody, który życie wstrzemięźliwe pędził,
Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził,“

wówczas kiwnąwszy głową, poprosiłbym tylko o dalszy ciąg téj dobréj bajki, lub co najwięcéj zakończyłbym ją tak jak sam Krasicki:

„Wszystko to być może,
Jednakże ja to między bajki włożę.“

Lecz gdyby ten sam *ktoś* przyszedł do mnie w lutym i rzekł mi, że przy końcu marca przejadę Niemcy, Francyą, całą długość Anglii; że przepłynę na wiosnę burzliwy Atlantyk, a następnie jak ptak na skrzydłach przelecę niezmierzone przestrzenie wielkiéj kolei od New-Yorku do San-Francisko, i strząsnę proch

z obuwia mego na brzegach oceanu Spokojnego, temu odrzekłbym bez wahania:

— Przyjacielu! pisuj artykuły polemiczne do Kroniki Soblonowskiéj, albowiem widzę, że zmysły twoje nie są z tego świata.

Rzeczywiście: prędzéj przypuszczałbym, prędzéj uwierzyłbym, że wydadzą składkowy obiad dla mnie, na którym l'abbé Wylizalski powie mówkę na moją cześć i zamianuje mnie p. o. zelanta przy najmłodszéj i najprzystojniejszéj ze swoich owieczek; prędzéj uwierzyłbym, że Antychryst, jak mnie o tém zapewniała jedna z moich kuzynek z Wołynia, przyszedł już na świat: prędzéj nakoniec uwierzyłbym we wszystko, niż w moją wycieczkę do Ameryki.

A jednak: oto, jak się to stało.

Pewnego poranku przyszedłem do redakcyi i wziąwszy do ręki jedno z pism naszych, począłem je czytać. Było to jakoś w owym czasie, w którym odcinek mój o zelantkach zjednał mi taką sympatyą w niektórych sferach naszego społeczeństwa, że stałem się dla nich polnym marszałkiem wszelkich zastępów piekielnych. Zewsząd groziły mi niebezpieczeństwa. Chevalier Zielonogłowski, który już nieraz poprzednio wołał w celu ukarania mnie, o „szpadę ojców swoich,“ o mały włos nie zabił mnie w pojedynku, a nie zabił tylko dlatego, że nie wyzwał; hrabianka Pipi wydawała zawsze *un petit cri*, jak zraniony gołąb, ilekroć ujrzała nazwisko moje, drukowane w którémkolwiek z pism warszawskich; w ciszy zaś każdego poranku dochodził mnie płacz świątobliwego oburzenia Kroniki Soblonowskiéj.

Ach! nie piesek to zginął Kronice Milutek, ani ziarenko z różańca; żadne z jéj dzieci nie zbłąkało

się w lesie grzechów Przeglądu Tygodniowego; a jednak płakała ciągle, jak owa panna, która

„Słuchać wcale nie chciała,
Tylko ciągle płakała:
Mój zielony dzban,
Stłukłci mi go pan!“

Niestety, nie mogę ukryć, że powodem owego płaczu byłem ja, a raczéj znów ten mój nieszczęśliwy odcinek o matkach chrześciańskich. Ja to stłukłem ów zielony dzban pełen słodkiéj wody wzajemnéj adoracyi; ale czyż ja wiedziałem, że jeżeli matki chrześciańskie cokolwiek czynią lub nie, to tylko dla dusznego ich zbawienia. Nie wiedziałem! *mea culpa!* za który żałuję tu nawet w Ameryce.

Nic więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy, i w owém piśmie, które zacząłem czytać wspomnionego poranku w redakcyi, znalazłem także artykuł, który był względem mnie mniéj więcéj tém, czém jest przysłowiowa koza względem pochyłego drzewa. Autor największéj (co do liczby stronnic) powieści polskiéj, spojrzał w owym artykule *á vol d'oiseau* na społeczeństwo i rozpłakał się rzewnie; potém siadłszy w swą łódkę pasterską, żeglował po falach własnych łez ku opinii publicznéj, i zyzując jedném okiem na Prusa, drugiém na mnie, wołał na ludzi, że koniec świata jest blizki, że apokaliptyczne potwory zaczęły nietylko chodzić po świecie, ale i pisywać odcinki, i że on pierwszy przepowiada to w swém piśmie, którego prenumerata wynosi: w Warszawie tyle a tyle, na prowincyi tyle a tyle, kwartalnie tyle, miesięcznie tyle, etc.

Nie jestem jeszcze tak zepsuty, abym nie miał żałować za grzechy; przejęła mnie więc skrucha, i po-

czałem robić rachunek sumienia za siebie i za mego kolegę Prusa.

Ach! lista grzechów naszych była długa, jak „Bakałarze“ Adama Pługa. Namawialiśmy ludzi do zakładania straży ogniowych, szkółek, ochronek, jedwabnictwa, muzeów, resurs rzemieślniczych, ogrodów zoologicznych, spółek, banków, regulowania brzegów Wisły, do assenizacyi, kanalizacyi, giełd zbożowych. Nie dawaliśmy nikomu spokoju, jeździliśmy po komitetach; wołaliśmy o drogi bite; napadaliśmy na niewinne pograniczne spekulacye z okowitą, tak jak gdyby system wolnego handlu nie był wyższym od celnego; nie dawaliśmy ani chwili odpoczynku zalegającym w opłatach członkom rozmaitych towarzystw, tak jakby godziło się marnować grosz ciężko zapracowany na Bóg wié jakie niepewne cele. Słowem, daliśmy się we znaki najspokojniejszym obywatelom naszego kraju, obywatelom, którzy są hamulcem, nie dozwalającym aby wóz społeczny stoczył się w przepaść, hamulcem tak nawet silnym, że wóz społeczny nietylko nie druzgocze się w kawałki po nieznanych drogach, ale stoi w miejscu jak gdyby na cześć i chwałę komitetu szosowego zagrzązł w błocie na szosy pod Warszawą.

Rozmyślałem tak tedy długo, a żal coraz większy i coraz większa skrucha ogarniała serce moje, gdy nagle usłyszałem swoje nazwisko, wymówione w przedpokoju redakcyjnym. Ktoś pytał się woźnego, czy może widziéć się ze mną.

— Wielki Boże!—pomyślałem sobie.—To zapewne Chevalier Zielonogłowski ze „szpadą ojców swoich.“

I zdjął mnie strach przed „szpadą ojców“ kawalera Zielonogłowskiego. Co to będzie? co to będzie?—pytałem się sam siebie.

Tymczasem drzwi otworzyły się. Do redakcyi wszedł jakiś dżentleman, mający koło sześciu stóp wzrostu, ze wspaniałą jasną brodą.

— Czy z panem Litwosem mam honor mówić!— spytał nizkim basowym głosem, który przypomniał mi ryk lwa.

— Czém panu mogę służyć? — odpowiedziałem z uprzejmym pośpiechem, robiąc rękoma z tyłu rozpaczne wysilenia, aby dostać się do laski stojącéj w kącie, która jak na złość zsunęła się właśnie na ziemię.

— Czy to pan pisuje „Chwilę obecną?“

Stało się—pomyślałem.

— To jest... właściwie... Bo to widzi pan, czasami reportorowie przynoszą mi mylne fakta... Ale z kimże mam honor?

— Jestem X. z Poznańskiego?

Odetchnąłem, albowiem nigdy nic nie pisałem o Poznańskiém.

— A więc pan z Poznańskiego?

— Tak, panie,

— Ach! to właśnie cieszy mnie niewymownie.

— Widzę, że pan nie bardzo kocha warszawiaków.

— Owszem, panie. Tylko bez wzajemności.

— Otóż przyszedłem spytać, czy panowie macie jakie stosunki z Ameryką?

— Nie mogę panu ukryć—odpowiedziałem ze spuszczonemi oczyma — że nasza gazeta liczy tam kilka tysięcy prenumeratorów...

— Aż tylu?

— O, tak! między innymi prezydent Grant pilnie studyuje naszą polityke.

— Nie chodzi mi o tak wysokie stosunki. Ja, panie, wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych pojutrze, i chciałbym od panów dostać list do pana Horaina. Czy pan zna pana Horaina?

— Oh! doskonale... Od trzech lat.

Mówiąc nawiasem czytałem wszystkie listy pana Horaina, ale jego samego nie widziałem nigdy w życiu.

— Więc pan zna go od trzech lat? Ależ mnie się zdaje, że on od czterech lat mieszka w Ameryce?

— Omyliłem się: znam go od sześciu lat.

— Owóż prosiłbym panów o list do niego. Ja chcę tam kupić kawał gruntu i osiedlić się. Moja żona słaba, potrzebuje ciepłego klimatu, a tam słyszę ciepło.

— Jak gdzie. Ale przecież i we Włoszech ciepło.

— Ciepło, ale drogo: tymczasem tam, słyszę, ziemię darmo dają, tylko się trzeba strzedz, żeby nie okpili, bo to chytry naród. Owóż pan Horain, jako człowiek miejscowy, pomoże mi i powié komu ufać, komu nie. A przytém i ja się z nim potrafię rozmówić, bo to ja po angielsku... jakoś nie ten... tego...

— Dobrze. Damy panu listy do pana Horaina.

— A pan sam się na wystawę nie wybierze?

— Ja? poczekaj-no pan... jeszczem się nad tem nie zastanowił... Zaraz... Wybiorę się, nie wybiorę, wybiorę, nie wybiorę... wybiorę... Tak jest! jadę, panie.

— A to pan jedź teraz ze mną: będzie nam obudwom raźniéj.

— A która teraz godzina?

— Samo południe.

— O drugiéj jadam obiad, mam więc dwie godziny czasu do namysłu. Przyjdź pan na obiad, będę zdecydowany.

— Dobrze. Żegnam pana!

— Kłaniam się panu serdecznie. Pani dobrodzice moje uszanowanie!

Zostałem sam.

Godzina pierwsza po południu uderzyła na naszym zakatarzonym zegarze, a ja siedząc na tém samém miejscu, rozmyślałem jeszcze jechać, czy nie jechać, jak Hamlet nad swojém: „być czy nie być.“ Ale jeżeli nie pojadę, cóż będę robił? Będę pisywał po nocach?... Ależ i w Ameryce mogę pisywać także. Co więcéj, doktor zalecił mi, żebym nie pisywał po nocach; a ponieważ w Ameryce właśnie wtedy wypada noc, kiedy u nas dzień, zatém pisywać w Ameryce w nocy, jestto pisywać w Europie we dnie, czyli: jechać do Ameryki, jestto wypełniać polecenia swego doktora.

Daléj; jeśli pojadę, nie będę robił korrekty własnych utworów, czyli nie będę ich czytywał... To także coś znaczy.

Nakoniec: co mi tu pozostaje w Warszawie? Ożenić się? „Ach! na piramidzie, raz odebrałem list, że za mąż idzie!“ A przytém ów „*un petit cri*“ zranionego gołębia, który wydaje hrabianka Pipi, na widok mego nazwiska, odebrał mi wszelką nadzieję. Zresztą aplikowałem ja biedny człowiek o urząd i rangę męża dość długo; lecz cóż? Ofiarowywano mi czasem małe gratyfikacyę, na stały jednak etat nigdy przejść nie mogłem. Nie! to nie dla mnie, zwłaszcza po owym ostatnim przeklętym odcinku, po którym, na samo wspomnienie o mnie wszystkie matki z bractwa przejmuje całkiem pozaświatowy dreszcz zgrozy, jak na wspo-

mnienie węża, który namówił Ewę, żeby ściągnęła rękę, urwała jabłko i sama jadła i dała mężowi swemu.

Mój Boże! czyż ja kiedykolwiek w życiu namawiałem jaką Ewę, aby urwała jabłko i sama jadła, a zwłaszcza aby dała mężowi swemu! Ale stało się. Czynów dokonanych, z progu przeszłości, jak mówi Deotyma, sam Bóg nie odwoła. Stało się. Nie ożenię się nigdy.

Ergo, cóż mi więcéj pozostaje?

Majątek? nie zrobię go nigdy. Długi? narobiłem ich już. To ostatnie wspomnienie zdecydowało mnie. Eh! co tam! jadę do Ameryki.

W każdym razie, przecie nie wyjeżdżam na zawsze. Zobaczę morza, stepy, miasta, kraje, nowych ludzi, czerwonoskórnych Indyan, stada dzikich bawołów, niedźwiedzie, jaguary, amerykańskie humbugi, a przytém może jaka miss jasnowłosa... Wbrew opinii ogólnéj, zawsze utrzymywałem że jestem przystojny.

O godzinie drugiéj poszedłem na obiad. Nowy mój znajomy czekał już na mnie.

— No i cóżeś pan postanowił?

— Postanowiłem zjeść obiad.

— A potém?

— Potém udać się do gospodarza domu, aby wydał świadectwo paszportowe, że przeciw memu wyjazdowi nie zachodzą żadne przeszkody; następnie podać się o paszport, uzyskać zaświadczenie, że całe życie byłem spokojnym safandułą, który płaciłby najregularniéj podatki, gdyby posiadał jaką nieruchomość, i który prócz pewnych dość zresztą hałaśliwych zajść z gospodarzem domu, nie miał żadnych innych, że choćby jeszcze i dla tego, że jest nieżonaty.

— I czy pan uzyszcze paszport na czas?

— Pewno nie. W takim razie czekaj pan na mnie.

— Dobrze, ale w Bremie.

Po téj rozmowie, tegoż samego dnia jeszcze począłem robić starania o paszport. Człowiek, który wyjeżdża do Ameryki, jest jeszcze u nas rzadkością. Wyobrażam sobie nawet, że po powrocie, w powiecie Łukowskim, z którym łączą mnie liczne stosunki, przynajmniéj przez miesiąc będą mnie uważać za rodzaj powiatowego Ferdynanda Korteza. Mój dziad nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, raz jeden tylko za dni swych był w Puławach, a raz w Królewcu, i miał o czém opowiadać przez całe życie. Dziś minęły te piękne dni Aranjuezu; ale Ameryka ma jeszcze swój urok, dlatego po biurach patrzono na mnie, jak na jakiś osobliwszy okaz zoologiczny; miejscami zaś zadawano mi nawet pytania, świadczące, że geografija należy u nas do nauk najbardziéj rozpowszechnionych.

— To, panie, przez morze się jedzie do Ameryki?

— Zdaje mi się: wiem że koléj jeszcze nieskończona.

Dzięki Ameryce i dzięki szczególniejszemu interesowi, jaki ta część świata budzi w naszych władzach municypalnych, uzyskałem paszport dość prędko. Pozostawało go tylko zaawizować u konsula.

— Nie potrzeba:—mówił mi jeden z moich przyjaciół.

Ale ja nie zaniechałem zamiaru. Jakto, jażbym miał pozbawiać przyjemności konsulat zaawizowania może pierwszego i ostatniego paszportu; miałbym mu stawać na przeszkodzie w wypełnieniu jedynéj może czynności urzędowéj. Wiedziałem wprawdzie, że za wizę

trzeba płacić, ale wiedziałem również, że gdybym się bardzo uparł, to jeszcze konsulat byłby mi dopłacił, za rzadką sposobność, jakiéj mu dostarczyłem.

Udałem się tedy do konsula, którego szczęśliwie zastałem w biurze.

— Mego sekretarza niéma—rzekł mi — zechciéj pan potrudzić się po trzeciéj.

Schowałem paszport do kieszeni.

— Nie mogę—odpowiedziałem. Wyjeżdżam o drugiéj; muszę się tedy obejść bez wizy.

Mój interlokutor zbladł.

Pierwsza wiza dla konsula, to tak jak pierwsza długa suknia dla podlotka, jak pierwszy meszek nad ustami dla młodzieńca, jak pierwszy drukowany artykuł dla literackiego embriona, jak pierwsze szlify dla podoficera, jak pierwszy pocałunek i pierwsze „kocham ciebie" dla pensyonarki.

A tu sposobność owéj pierwszéj wizy była i mogła przeminąć, może na zawsze.

— Panié—rzekł mi więc konsul—nie będę czekał na sekretarza, niech go tam dyabli wezmą: dawaj pan paszport, zaawizuję sam, byle prędzéj.

Dałem więc paszport.

Interlokutor mój wyciągnął z biurka ogromną szufladę i wydobył z niéj takie mnóstwo pieczęci, puszek z farbą, opłatków, laków, że wystarczyłoby tego dla zaawizowania wszystkich paszportów z całych Stanów Zjednoczonych.

Ale każdy debiut ma swoje strony rozkoszne, ma jednak i przykre! Nieraz gdy dwóch chłopców bawi się w woźnicę i w konia, woźnica nie umie po-

wozić, koń musi go uczyć. Po niejakiéj chwili, konsul począł się namyślać i drapać w głowę.

— Panu o prostą wizę chodzi?—spytał.

— Tak, byle w dobrym gatunku.

— Hm!.!. Dyabli nadali tyle tych pieczęci.

— Palnij pan pierwszą lepszą.

— Ale to trzeba na końcu paszportu?

— Najlepiéj trzymać się środka. W Stanach Zjednoczonych są tylko dwie partye: demokratyczna i republikańska, a niéma trzeciéj, dlatego jest źle.

— A tak! tak!

— A pan do jakiéj partyi należy? — spytałem z nienacka.

— Ja?... tego... jakże się nazywa?... Mam przecie gdzieś zapisane, ale napamięć...

— A cóż wiza skończona?

— Zaraz, zaraz. Dyab... nadali te pieczęcie. E! wié pan co? kropniemy największą, zawsze to nie zawadzi.

— Kropnijmy największą.

Konsul wydobył z szuflady coś nakształt tarana do zabijania palów w Wiśle.

— A toż to prześcieradło możnaby tém zaawizować—rzekłem.

— To nic, poradzimy... O, dla Boga! a to istotnie ciężkie!

— Może panu pomódz? Raz, dwa, trzy... Hoop! siup!

Rozległ się głuchy łoskot stołu, na który padła pieczęć. Zdawało się, że mój paszport krzyknął: „O Jezu!" Schowałem go do kieszeni i wyszedłem.

Była godzina dwunasta w południe, o wpół do trzeciéj miałem wyruszyć, ale przedtém musiałem iść na pożegnalny obiad, który za grosz wdowi wyprawiała dla mnie brać literacka. Wyznaję, że co do tego obiadu miałem pewne obawy. Chodziło mi o to, czy dobre serca koleżeńskie nie będą mnie kanonizować na wielkiego człowieka, i czy nie będzie czasem takich mówek, jak ta, którą raz słyszałem na cześć pewnego literata przybyłego z Poznania, któréj początek podaję:

„Panowie! Nie myślcie, żebym tu w gronie kolegów chciał mówić o Platonie lub Heraklicie. Nie wspomnę także o Nabuchodonozorze, ale... Co to ja chciałem mówić? (brawo!) ale od czasu jak te wieki okryte pleśnią wieków. (Głos z prawéj strony: „było już o wiekach"). Mówca: Ja panu nie przeszkadzam kiedy pan mówisz! O czém to mówiłem? Aha! o pleśni wieków!—Kiedy więc Plato już powiedział... że tego... panie... właśnie! nic więc dziwnego że wniosę toast za zdrowie Platona... nie! Chciałem powiedzieć: kolegi naszego Teodora, który... panowie! który... panowie! który... panowie!... To właśnie co chciałem wyrazić"... (brawo! brawo!).

Oczywista rzecz, że gdybym ja był panem Teodorem, przestraszony własną wielkością rozum mój nie zdobyłby się na równie wymowną odpowiedź i dowiódłbym swoim kolegom, że gorszym jeszcze jestem mówcą, niż literatem. Na szczęście jednak, na owym obiedzie, o którym wspomniałem, więcéj było wina niż mów; skutkiem czego, kiedym jechał po obiedzie na dworzec kolejowy, świat wydał mi się bardzo pięknem zjawiskiem. Warszawa najczystszém i najporządniejszém miastem na świecie, kobiety szalenie ładne,

bruki nadzwyczajnie wygodne, i gdyby nie przykre zajście, jakie miałem z własną torbą podróżną, wiszącą mi przez plecy, chwile owe policzyłbym do najpiękniejszych w mojém życiu.

Ale zajście to z własną torbą, popsuło mi trochę humor. Wiedziałem, że torba wisi na mnie i żem jéj nie zgubił, trzeba jednak było, że gdym chciał wydobyć z niéj pieniądze i przechyliłem się na lewą stronę, moja torba uciekła mi na prawą — gdy ja na prawą, moja torba na lewą. Gonić kogoś na własnych plecach jest fizycznem niepodobieństwem, dlatego opuściłem ręce i myślałem sobie: stało się! nie pojadę do Ameryki. Szczęściem dobre dusze pomogły mi i w tym kłopocie.

Wsiadłem wreszcie do wagonu, lokomotywa świsnęła i wkrótce przez mgłę i dym tylko widziałem kochane twarze, goniące mnie spojrzenia i ręce powiewające chustkami.

Pogoda była piękna, jakkolwiek luty jeszcze. Czuć było w powietrzu oddech wiosenny. Wkrótce w wagonach zrobiło się tak gorąco, że niepodobna było wysiedzieć.

Wagony nasze, jak wiadomo, ogrzewane są od spodu siedzeń, skutkiem czego, od czasu do czasu zdawało się, że jestem imbrykiem siedzącym na samowarze.

— Ciepło, panie? co?—rzekł do mnie nader okrągły staruszek, jedyny mój towarzysz w wagonie, który nie mogąc wytrzymać, unosił się ciągle na siedzeniu.

— O, ciepło!

— Pewno rozboli mnie głowa?

— Głowa? A to już chyba *par esprit de contradiction*—odparłem.

W Aleksandrowie zrobiła się noc, a wkrótce stała się tak ciemną, jak zakład p. Łojki w Warszawie, lub jak styl jednego z moich przyjaciół, którego nazwiska nie wymieniam, bo nie lubię nikogo chwalić w oczy. Towarzysz mój zasnął i sapał jak gumowa poduszka nadymana powietrzem, z któréj ktoś takowe wypuszcza. Ja usnąłem także, marząc o Warszawie i o tych których w niéj zostawiłem; usnąłem zaś tak dobrze, że nie obudziłem się aż w Toruniu, gdzie rewidują wagony.

— Pan ma parę nowych butów—rzekł do mnie pruski celny urzędnik.

— Czyż pan chciałeś, żeby wszyscy u nas w dziurawych już chodzili?—odpowiedziałem.

Niemiec pomyślał trochę. Może pomyślał: „przyjdzie czas i na to,“ i zamknął mój kuferek.

Wróciłem do wagonu i usnąwszy znowu, spałem aż do rana, t. j. aż do przybycia do Berlina.

Ranek był: dopiero świtanie. Na ulicach pustki. Tu i owdzie widać było wózki ciągnięte przez psy, które mimo tego, że spotykają się ciągle, nie pomijają żadnéj sposobności, aby oburzyć się wzajem na siebie nadzwyczajnie. Ogromne miasto, znane mi już zresztą, nawpół uśpione jeszcze, migało w różnych blaskach zorzy przed memi oczyma. Przejechałem ze wschodniego banhofu na Lehrter Bahn. Było blizko dwie godziny czasu do odejścia pociągu, wyszedłem więc przed dworzec i począłem rozglądać się na wszystkie strony. Zdaleka widziałem snujące się tu i owdzie małe oddziałki żołnierzy w hełmach ze złoconemi

ostrzami, spokojnych i surowych jak dawni legioniści rzymscy. Patrząc na kroki ich miarowe i jednostajne, na mechaniczne poruszenia głów, rąk i nóg, możnaby wziąć ich za machiny bezwłasnowolne, ponakręcane jednym kluczem. Jakoż i są to machiny, dla których kluczem i motorem jest wola wyższa, nieodgadniona nigdy, groźna, chmurna, kryjąca w fałdach togi wojnę i pożogę.

Na prawo błyszczał w promieniach wschodzącego słońca pasąg zwycięztwa, ciężki, niezgrabny, trywialny, podobny do wrony, która usiadła wypadkiem na słupie w Berlinie i gotuje się odlecieć.

Czy odleci i gdzie odleci?

Dwie godziny minęły szybko. Siadłem znowu do wagonu. Miałem jechać nie do Bremy, ale do Kolonii. Rozejrzałem się w wagonie: ani jednéj ładnej kobiéty; siedziało tylko kilku Niemców z twarzami mniéj więcéj głupiemi, nabrzękłemi piwem, i jakiś obcy jegomość.

Pociąg, którym jechałem nie dochodzi do saméj Kolonii, ale zatrzymuje się w Deutz, z prawéj strony Renu. Przyjechaliśmy o godzinie dziewiątéj w nocy. Byłem trochę zmęczony, więc udałem się do hotelu *Belle-Vue*, i kazałem dać sobie numer. Kelner zaprowadził mnie na drugie piętro i wskazał mi stancyą, w któréj miałem noc przepędzić. Zanim zapalił światło, zbliżyłem się do okna i podniosłem roletę, aby spojrzeć na leżącą na drugim brzegu Kolonią.

Spojrzawszy, poleciłem kelnerowi nie zapalać światła i zostawić mnie samego.

Przepyszny widok! Noc była śliczna, pogodna. Księżyc świecił tak jasno, że nieledwie czytaćby mo-

żna przy potokach srebrnego światła. Pod nogami mojemi płynął Ren. Długie smugi światła odbijały się w przezroczéj toni na drugim brzegu. Bliżéj, mały parowiec sypał deszczem złotych iskier. Cała Kolonia widna była jak na dłoni: światła, spiętrzone grupy domów, ciemne sylwetki kominów, a nad wszystkiém tém wspaniała katedra, górująca nietylko wieżami ale i sklepieniem nad całém miastem, wyniosła, spokojna, urocza i milcząca.

Największe gmachy miejskie wydały mi się w obec niéj lepiankami, tulącemi się niby pod skrzydła potężnej matki. Księżyc oświecał jasno wysmukłe wiązania téj przedziwnéj gotyckiéj architektury; cienie łamały się ze światłem na łukach i wieżyczkach. Było w tém wszystkiém coś mistycznego, coś co przejmuje duszę tajemniczym dreszczem i wyobraźni przyprawia skrzydła. Uczucia religijne, wessane z mlékiem matki, choćby najbardziéj nawet rozproszone w zgiełkliwéj pogoni życia, odnajdują się na widok tego gmachu, oblanego światłem księżyca, jak pogubione perły: Nie są to łagodne i słodkie poruszenia serca, niby jakieś wewnętrzne głosy anielskie, budzące wspomnienia dzieciństwa, jakich doświadcza się naprzykład w naszych kościołach wiejskich w czasie nieszporów, kiedy siwy pleban czyta modlitwy litanii, chłopi odpowiadają mu chórem, jaskółki świegocą pod drewnianém sklepieniem, a brzoza cmentarna poruszana wiatrem, szeleści i dzwoni w okna. W obec tego mrocznego gmachu, w obec tych spiętrzonych jak góry sklepień, nie czujesz się zbłąkaném i zmęczoném dzieckiem w obec ojca, ale prochem w obec Majestatu. Mimowoli przychodzi ci na myśl, że nie masz tu

miejsca na inne modlitwy, jak chyba na pieśń suplikacyjną: „Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny.“ Kościół wart pieśni a pieśń kościoła. Średnie wieki, z ich wiarą posępną, a stanowiącą chléb ówczesnego żywota, szeregi rycerzy w stał zakutych, owych groźnych drapieżników z nadreńskich burgów zmartwychpowstają przed twemi oczyma. Słyszysz, jak biskup w całym majestacie głosi *gloria Dei*, a dumne żelazne głowy, tych samych Arnsbergów, którzy dziś śpią kamiennym snem w kościelnéj nawie, korzą się i chylą przed jedném słowem, jak łany zbożowe pod wiatrem. Dziś to już wszystko minęło, ale zadumany wędrowiec, patrząc na milczące owych wieków pamiątki, mimowoli pyta się siebie: czy to wszystko, co wykołysało całe narody, utworzyło całą cywilizacyę, co było źródliskiem i osią całego żywota; czy to wszystko rzeczywiście, nie jest niczém więcéj, jak tylko olbrzymim zabobonem, drugiém smutném studyum illuzyi, jak mówi Hartman, studyum które dla tego tylko minęło, ażeby się zaczęło trzecie?

Nie wiem, czy nie pod wpływem tychże samych myśli, ktoś powiedział, że gdyby nawet Bóg rzeczywiście nie istniał, trzebaby było dla dobra ludzkości Go stworzyć.

Godzina czasu spłynęła mi w przeszłość na podobnych rozmyślaniach. Tymczasem wieczór stawał się coraz bardziéj romantyczny. Parowiec przybił do brzegu tuż pod oknami mego hotelu. W małém Deutz cicho było, bo całe miasto już spało. Tylko sternik siedzący na przodzie statku, śpiewał dość pięknym głosem: „*Wacht am Rhein*,“ a od strony Kolonii dochodził uszu moich świst lokomotywy. Od czasu do

czasu lekki wiatr przynosił zaledwie dosłyszalne odgłosy zgiełku i gwaru miejskiego. Żal mi było wstawać od okna, nagle jednak drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do mego pokoju.

Był to mój towarzysz podróży.

— Dobry wieczór!

— I dobry i ładny.

— Przyszedłem spytać, czyby pan nie chciał przejść się po mieście?

— Nie, panie. Spodziewam się, że lada chwila nadejdzie tu ktoś, z kim może jeszcze dziś pojadę daléj. A zresztą dobrze mi tu przy oknie.

— Ach! pan patrzy na katedrę.

To mówiąc towarzysz mój zbliżył się do okna i spojrzał w stronę miasta. Księżyc oświecił jasno twarz jego. Zdawało mi się, że czytam całe szeregi myśli i marzeń na jego czole, jakoż po chwili pokiwał głową i rzekł:

— Wié pan co?

— Co?—spytałem ciekawy jego wrażeń.

— Ot, ja myślę, czybyśmy się koniaku nie napili. Wieczór chłodny.

Mimowoli przyszedł mi na myśl wierszyk, który kilkanaście lat temu powtarzał mój professor łaciny, gdy mimo usiłowań z jego strony, woleliśmy dawać sobie prztyki w uszy, niż zachwycać się pięknościami Horacyusza:

„Cóż po muzyce tępym osłom w stajni!
Graj im na lutni: tańczyć nie zwyczajni.“

Swoją drogą tak trzeźwy, lubo mający związek z koniakiem pogląd, okiełznał rozbieganą moją wyobraźnię.

— Dziękuję za koniak—odpowiedziałem—uważam jednak, że pan zdrowo na rzeczy patrzy, i winszuję panu tego szczerze.

— A cóż to — odrzekł, wskazując na oblaną światłem księżyca katedrę: — martwy kapitał i nic więcéj.

— Przyjm pan moje gorące uznanie i zarazem dobranoc panu!

Zostałem znowu sam, ale po chwili wszedł ów dżentelman z jasną brodą, z którym według pierwotnego planu miałem się zjechać w Bremie.

Wyznaję, że byłem trochę zmęczony, przejechawszy bez wytchnienia drogę z Warszawy do Kolonii i miałem szczerą chęć przenocowania w Deutz. Byłbym nawet objawił głośno tę chęć mojemu dżentelmanowi, ale on domyślając się widocznie o co idzie, uprzedził mnie i rzekł ironicznie:

— Pan już pewno ani ręką, ani nogą nie może ruszyć. Takieto dzisiejsze pokolenie. Co do mnie, jechałbym chętnie daléj.

Oburzona miłość własna odezwała się we mnie.

— A dokądby pan chciał jeszcze dojechać?

Hm! choćby do Brukselli.

— Ja zaś oświadczam panu, że jadę wprost do Londynu.

Wyznaję, iż mówiąc to, miałem w duszy trochę nadziei, że mój dżentelman nie zgodzi się na tę propozycyą. Myślałem, że go nią przerażę, że zacznie mi tłomaczyć, iż to zbyt daleko, i że oba zbytecznie się pomęczymy, ale ten okropny człowiek uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Doskonale. Jedziemy więc do Londynu.

Nie było rady. Kazałem zabrać moje kufry i obaj udaliśmy się na centralny dworzec w Kolonii. Była już prawie północ; chciało mi się spać srodze, ale ruch panujący na dworcu wytrzeźwił mnie. Lubię ten ruch, gwar i wrzawę, panującą na wielkich dworcach kolejowych. Sale płonęły światłem; stoły były nakryte. Z zewnątrz dochodził nas świst i sapanie lokomotyw, pomięszane z odgłosem dzwonków i nawoływaniami konduktorów. Ludzie biegali na wszystkie strony, przenosząc kufry, pakunki. Przejeżdżający wołali wszystkiemi językami na garsonów. Siedzący obok nas jakiś anglik z wyciągniętą twarzą i wyciągniętemi nogami, badał starannie palcami wnętrze swego nosa, spoglądając przytém na ludzi tak, jak gdyby wszyscy wyłącznie po to byli zebrani, ażeby on miał się czemu przypatrywać.

Kazaliśmy podać sobie coś do zjedzenia. Zauważyłem wówczas pierwszy raz, że nasze palone buty, futrzane szuby i baranie czapki poczynają nam zjednywać popularność. Małe grupki ludzi przyglądali się nam ciekawie. Brano nas widocznie albo za jakichś rossyjskich książąt, albo za hercegowińskich posłów, wysłanych o pomoc przeciw Turkom. Skutkiem współczucia zapewne dla nieszczęśliwych męczenników tureckich, kazano nam płacić za wszystko dwa razy więcéj, niż się należało.

Wsiedliśmy wreszcie do wagonu. Wkrótce jadący z nami do Brukselli jakiś francuz począł nas wypytywać o nasze pochodzenie.

— Jesteśmy Polacy—odpowiedziałem.

Tu przysłowiowa francuzka znajomość geografii zabłysnęła z całą świetnością.

— Ach! to panowie tam blizko placu wojny — rzekł.

— Jakiéj wojny?

— Jakże się nazywa?... Hercegowiny i Turcyi.

— O! bardzo blizko, panie: tylko przez ścianę. Jak się biją, to u nas doskonale strzały słychać.

— *Tiens!*

Poczém wpadliśmy w ocean wielkiéj polityki, wpadliśmy zaś tak głęboko, żeśmy żadną miarą nie mogli dostać się do brzegu. Swoją drogą, niespełna w pół godziny zmieniliśmy całkowicie kartę Europy. Nasz francuz zaś porobił takie podboje w Prusach, że musieliśmy wstawiać się za biednémi Niemcami, żeby im chociaż Berlin zostawił.

— *Non, messieurs! non!*—odpowiadał, nie dając się uprosić.

Zaannektowawszy tedy i Berlin, wziąwszy do niewoli Bismarcka i przeznaczywszy mu na dożywotnie więzienie wyspę Oleron, strudzony tylu wojennemi czynami, nasz francuz zwinął się w kłębek około własnego środka, a raczéj zamknął się jak scyzoryk o dwóch ostrzach, jak mówi Prus, i usnął, a my poszliśmy za jego przykładem.

Ale tu mój towarzysz odkrył widocznie nowy sposób zjednywania sobie popularności, to jest począł chrapać po mazowiecku tak, że wszyscy, rozbudziwszy się, pytali przerażeni, co się stało?

— *Mon Dieu! qu'est-ce que ça veut dire?*—pytał francuz, wytrzeszczywszy ogromne oczy.

— E, to nic!—odpowiadałem spokojnie:—*on dort chez nous comme cela.*

Tymczasem mój towarzysz, z otwartemi ustami z głową niżéj od nóg, świszczał, ryczał, sapał, rzał, gwizdał,—słowem: wydobywał z siebie tak nadludzkie, tak fantastyczne, a nagłe i niespodziewane odgłosy, że i mnie samego, jakkolwiek słyszałem już nieraz jak nasza szlachta chrapie, zaczęło ogarniać zdziwienie.

Wkrótce téż zauważyłem, że wagon nasz stawał się coraz pustszy. Co stacya, jaki taki zabierał swoje manatki i wynosił się do innych przedziałów. Na granicy belgijskiéj było już nas tylko dwóch. Pociąg zatrzymał się. Do wagonu wszedł, już nie mrukliwy pruski konduktor, ale belgijczyk, ubrany w czarne kepi; i poprosił nas po francuzku, ażebyśmy udali się do rewizyi rzeczy.

— Co to jest?—pytał rozbudzony mój towarzysz, wodząc na wszystkie strony oczyma.

— Granica belgijska, rewizya.

— Zdaje mi się żem się trochę zdrzymnął.

— Bardzo niewiele!

— A gdzież się reszta pasażerów podziała?

Oparłem rękę na jego ramieniu:

— *Galilee vicisti!* żaden nie dotrzymał placu. Wszyscy drapnęli.

Rewizya zajęła nam bardzo niewiele czasu. Zjedliśmy wieczerzę, wypili po pół butelki wina i ruszyli daléj. Dzień już robił się dobry, gdy zbliżaliśmy się do Brukselli. Śliczne to miasto, po Paryżu najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem; otoczone wzgórzami pokrytemi lasem i cudnemi dolinami, otrząsało ze siebie białawe tumany nocy i z mgły wywijało się, skąpane w różowém świetle i niby uśmie-

chnięte po dobréj nocy i dobrym śnie. Pociąg wreszcie stanął. Znowu mieliśmy trzy godziny czasu, wyszedłem więc na miasto, aby odświeżyć wspomnienia z przed dwóch lat, przed którymto czasem byłem w Ostendzie. Na ulicach panował już ruch. Flamandki siedzące na małych wózkach, wiozły do miasta mleczywo, a twarze ich spokojne i uczciwe zdawały się do mnie uśmiechać. Domy jednak były jeszcze ciche, rolety w oknach pozapuszczane, złocenia na gzymsach domów połyskiwały łagodnie w porannėm świetle. Wszystko było spokojne, schludne, harmonijne, ciche, szczęśliwe jakieś, a wszystko pamiątkowe i poetyczne. Z każdego złomu murów, z każdego kąta wieje tu na ciebie tradycya poważna, wielka, nauczająca bardzo. Myślisz, że to sen dawny a ogromny i złowróżbny niegdyś; który jakaś moc czarnoksięzka zaklęła, tak że skamieniał i patrzy teraz na ciebie szaremi murami Św. Guduli i kamiennemi oczyma pomnika Egmonta, i wieżami wszystkich zabytków z hiszpańskich czasów. Ale istotnie to sen tylko. Czasy Alby minęły i nie wrócą nigdy. Topór nie uderza tu już głucho o deski rusztowania, nie usłyszysz jak syczą płomienie stosów lub brzmią okrzyki wojenne, usłyszysz tylko odgłosy pracy i pokoju, bo ta błogosławiona para oddawna stałe tu sobie obrała siedlisko.

Bywa, że kiedy w pogodne letnie wieczory, taka cisza robi się w spokojnych wioskach flandryjskich, iż żaden listek nie zaszemrze na drzewie, wówczas starcy odkrywają posrebrzone głowy i mówią: „to Chrystus przechadza się po wiosce.“ Otóż, jak Belgia długa i szeroka, wszędzie tak jest spokojnie, tak jakoś cicho i szczęśliwie, że słusznie możnaby powie-

dzieć: Chrystus przechadza się po całym kraju. Bez przesady mówiąc, jestto najszczęśliwszy kraj na świecie.

Jest nim przynajmniéj dotychczas, ale któż może powiedzieć, jak długo będzie? Może za kilka lat nadejdą czasy, że śpiczaste hełmy nadciągną tu od strony Renu, spokojni dziś mieszkańcy będą słyszeć rżenia „konia Atylli," po nocach huk armat wystraszy słowiki z wiosek, skończą się przechadzki Chrystusa, a zamiast dzisiejszych pieśni przy pracy, zabrzmi inna, która zmąciła spokój równie szczęśliwéj Alzacyi: „*Was ist des Deutschen Vaterland.*"

Trzy godziny czasu przeleciały mi na podobnych rozmyślaniach, według słów Skargi: „jak strzała i jako ptak na powietrzu." Czas było wracać na pociąg, ale nie mogłem się oprzeć jeszcze chęci odszukania pod murami katedry miejsca, na którém, według ślicznéj powieści Ouidy: „*Deux Sabots*," mała Bebée sprzedawała swoje róże mszyste; poczém trochę smutny, a trochę rozmarzony wróciłem na dworzec kolejowy. Towarzysz mój stał już na platformie i gorliwie pracował nad umieszczeniem w ustach ogromnego mięsnego pieroga, który z powodu swych rozmiarów, żadną miarą wleźć w nie nie chciał.

Wsiedliśmy do wagonu, a wkrótce za nami wsiadł, a raczéj wskoczył, pomijając schodki, jakiś gentleman nadzwyczajnéj otyłości, stanowiącéj dziwny kontrast z jego ruchami.

— Prawda, panie, że jestem lekki?—rzekł do mnie przymrużywszy jedno oko, jakby mnie znał od lat dziesięciu.

— Jak angielski kocz—odparłem.

— Jakto jak kocz?—spytał cokolwiek urażony.

— No, bo lekki a pakowny.

— O! doskonale, doskonale!—odparł, spoglądając z nieopisaną sympatyą na swój wydatny żołądek. Ja jestem nauczycielem tańca. Dwanaście lekcyi kosztuje u mnie 40 franków. Najładniejsze dziewczęta z całego Lille uczą się u mnie: lekcye są wspólne. Panowie jadą do Lille? Oto są moje bilety: *Mr. Dunois.* W czwartki i w soboty, od szóstéj do siódméj. Wszakże panowie mają te godziny wolne?

Towarzysz mój odpowiedział, że najchętniéj korzystalibyśmy z uprzejmości pana Dunois, gdyby nie to, że jedziemy do Ameryki, ale że z powrotem nieomieszkamy zatrzymać się umyślnie w Lille; dla wzięcia kilkunastu lekcyi. Pan Dunois dodał jeszcze, że uczy nietylko kontredansa, ale i uprzejméj rozmowy z damami w czasie tego tańca. Poczém w najlepszéj zgodzie ruszyliśmy w drogę.

Pociąg ku granicy francuzkiéj idzie krajem równym, nie obfitującym w malownicze widoki, ale uprawnym jak ogród. Wyjeżdżając z kraju, zostawiliśmy jeszcze śnieg na polach, tu zaś wiosna poczynała się wszędzie. Na łąkach zieleniła się trawa, a na polach ruń wszelkiego rodzaju zbóż. Grupy drzew stojących na równinach lub idących w kształcie alei wzdłuż rowów, dróg i kanałów, wypuszczały zielone pączki. Rzeki powylewały wszędzie, jako zwyczajnie na wiosnę; rowami płynęła z szelestem woda, powietrze było czyste, ale przesiąknięte wiosenną wilgocią, słońce zaś przygrzewało przez szyby wagonów tak silnie, iż musieliśmy pozrzucać futra.

Gdyby nie komora, nie rewizya rzeczy i nie długi przystanek pociągu, niktby się nie domyślił, że na-

reszcie wjeżdża z Belgii do Francyi. Krajobraz nie zmienia się w niczém. Tenże sam kraj uprawny jak ogród, też same chaty wieśniacze, kryte czerwoną dachówką, gontem lub nawet słomą, co przypomina Polskę, taż sama Flandrya, ciż sami ludzie, téż poczciwe flamandzkie twarze i bluzy niebieskie: słowem wszystko takie same. Gdy pociąg ruszył, obróciłem się, by przesłać ostatnie pożegnanie Belgii, temu krajowi, dla którego niepodobna nie czuć sympatyi, i o którym ile razy pomyślę, tyle razy pamięć przywodzi mi słowa Skargi, których część już przytoczyłem wyżéj: „Siejba była w płakaniu, ale żniwo w weselu; niedola ich minęła jako strzała i jako ptak na powietrzu, a rozkoszy, jakby morzem nieprzebrane trwają.“

Pikardya, przez którą przelatywaliśmy jakby na skrzydłach wiatru, jest krajem bogatym, żyznym, ale szczególniéj fabrycznym. Patrząc na ład i dostatek, jaki widać wszędzie, niktby nie pomyślał, że sześć lat zaledwie temu uwijały się tu tłumy żołdactwa pruskiego i uciekających do Belgii francuzkich maruderów.

Do Calais przybyliśmy około dwunastej w południe. Jestto dosyć nędzne i brudne miasto, jak wreszcie większa część miast portowych; znaczenie jego handlowe jednak jest ogromne. Niegdyś odgrywało znakomitą rolę w wojnach francuzko-angielskich. „Gdybyście wyjęli ze mnie serce i otworzyli je, mówiła umierając Marya Tudor, znaleźlibyście tam wypisany wyraz: Calais.“ Swoją drogą Anglia nigdy już nie odzyskała na stałe tego miasta. Dziś jest tam podobno jakaś forteca. Widzieliśmy żołnierzy francuzkich w szaro-niebieskich płaszczach, w czerwonych czapkach

i w czerwonych (wybaczcie czyste dusze naszych arystokratycznych dam) majtkach. Patrząc na te postacie małe, godne prawdziwych pigmejczyków, przygarbione, brudne i dźwigające z trudnością ciężkie szaspoty, zrozumieliśmy łatwo, dlaczego podobni żołnierze nie mogli oprzeć się rosłym i silnym brandeburskim chłopom i dlaczego np. pułki poznańskie, rzuciwszy się z bagnetem pod Gravelotte na niezdobyte prawie pozycye francuzkie, nie zastały tam już nieprzyjaciela, chociaż nie powinna była z nich zostać żywa noga po ataku. Patrząc na tych żołnierzy, przykro się robi, zwłaszcza nam, mającym tyle sympatyi do tego najsympatyczniejszego zresztą narodu.

W Calais sale dworca kolejowego roiły się pasażerami, przejeżdżającymi do Anglii. Zrobiliśmy znajomość z pewnym komiwojażerem, który, jak mówił, przepływał już przez kanał więcéj razy, niż wszyscy obecni mieli włosów na głowie. Wypytywaliśmy się go, czy spodziewa się dobréj pogody.

— Kanał na wiosnę wypija zawsze zawiele dżinu i dlatego boksuje wściekle każdego kto po nim pływa— odpowiedział ów dżentleman, zagłębiwszy ręce w kieszeniach.

— Ale jednak pogoda jest piękna—rzekłem, starając się wydobyć zeń jaką taką pomyślną wiadomość.

— Tak, ale są krótkie fale.

— Krótkie fale?—spytałem tonem, jakbym wiedział co są krótkie fale, gdy tymczasem nie miałem o tém najmniejszego pojęcia.

— Tak jest—odrzekł komiwojażer, i zagłębiwszy prawie po łokcie ręce w kieszeniach, zaczął przypatrywać

się końcom swych butów, gwiżdżąc przytém aryę z Balu maskowego:

„Ach! mów, czy życzliwe czekają mnie fale!“

Inny dżentleman, który przysłuchując się naszéj rozmowie, wkładał do ust i wyjmował z nich ustawicznie gałkę swéj laski, jakby dla przekonania się, czy usta jego mają dostateczny rozmiar, niezbędny w morskich podróżach, zwrócił się ku mnie i rzekł dogmatycznym tonem:

— Trzeba wypić butelkę portweinu i zjeść jak najwięcéj śliwek suszonych.

— Garson!—zawołałem—butelkę portweinu i jak najwięcéj śliwek suszonych.

Ale nim zdołaliśmy zjeść i wypić wszystko co nam podano, w sali zrobił się ruch i zamieszanie. Jedni chwytali swoje kuferki, inni wylewali z filiżanek gorący rosół na spodeczki, aby wypić go jak najprędzéj i pili z wytrzeszczonemi oczyma; inni nakoniec połykali gorące mięso w kawałach, których połknięcie przyniosłoby zaszczyt najtęższym wilkom; pewna dama zbladła nadzwyczajnie, i patrząc naokoło głupowatym wzrokiem, jakby szukając ratunku, powtarzała: „O, Boże! Boże! jakiś pan przewrócił się na progu przez własny kuferek.“ Wyszliśmy wreszcie na świeże powietrze; wzięto nasze rzeczy. Statek, który nas miał zawieźć do Douvru, stał tuż nad brzegiem przystani i świszczał przeraźliwie, jakby dla tém dokładniejszego przerażenia podróżnych; wiatr dął jakby to było obowiązkiem jego sumienia, ludzie niosący rzeczy krzyczeli i przeklinali sami nie wiedząc czego; morze ryczało jakby mu kto za to płacił: słowem, wszystko się składało na to, ażeby do reszty ogłupić podróżnych, którzy

już i tak nie wiedzieli co się z nimi dzieje, a zwłaszcza, co się za pół godziny dziać będzie.

Nakoniec zszedłszy po pochyłym pomoście, weszliśmy na pokład statku. Para świszczała, koła poczęły obracać się lekko i zapieniać wodę, ale statek jeszcze nie ruszał. Skorzystałem z téj chwili, aby odetchnąć trochę i spojrzeć w sinawą dal, gdzie, jak okiem dojrzał, ciągnęła się wzburzona toń morska. Po chwili jakieś indywiduum ubrane w gumowy płaszcz zwróciło moją uwagę. Indywiduum to, stojąc niedaleko mnie, pogrążyło nagle ogromny tytuniowy zwitek w ustach, następnie zasunęło również gumowy kaptur na głowę, i wylazło po schodkach na wysoki mostek, stojący na przodzie statku i osłonięty żaglowém płótnem.

— Kto to jest—spytałem komiwojażera.

— Kapitan. — Wylazł na górę i ubrał się w swój płaszcz: Hm! zły znak, będziem mieli burzę.

— Niech pana dy....—chciałem powiedzieć:—dziękuję panu ślicznie.

Nie był to jednak jedyny i ostatni zły znak. Wkrótce spostrzegłem jeszcze gorszy: oto z pod pokładu wydobył się majtek, niosąc w obu rękach białe fajansowe miski, które zaczął tu i owdzie rozstawiać po pokładzie.

— Neptunie! kupię ci dziesięć obiadów, ale tym jednym razem, pozwól zachować mi mój—rzekłem w duchu.

Nagle uczułem, że statek zakołysał się w prawo i w lewo, brzeg począł usuwać się z pod moich oczu. Ruszyliśmy w drogę.

Co się potém działo, o tém wiadomość schowam do następnych listów. Widziałem potém na oceanie podobne sceny, tylko podniesione do kwadratu, dlatego opis ich odkładam.

I.

W półtoréj godziny po wyjeździe z Calais, kończy się wreszcie prawdziwa męka podróżnika. Owe krótkie bałwany, którym osobiście życzę żeby nigdy nie wyjrzały z dna morskiego, przestają wreszcie wstrząsać mózgiem jak ziarnkiem grochu w grzechotce, na widnokręgu zaś poczyna się rysować Douvres.

Gdym wjeżdżał do portu, było chmurno, dżdżysto, mglisto, posępnie; słowem taki czas, w jakim najlepiéj jest położyć się spać. Port był stosunkowo pusty, widok zaś pobrzeży przeraźliwy. Białe, wysokie na kilkaset stóp ściany, prostopadle sterczące z morza, wyglądają na tle czarnéj wody, jak żałobny szlak na całunie. Istny krajobraz z piekła Danta. Widnokrąg posępny, huk morza, jednostajne skrzypienie okrętu, żałosny jęk mew: wszystko to przeraża, uciska i sprawia, że przedsiębierczy wędrowiec zaczyna tęsknić za domem, za swoim kominkiem, za biurkiem, za atramentem, bibułą, wieczorkami u znajomych, herbatką, plotkami, grami towarzyskiemi, za Kuryerem Warszawskim lub Codziennym, do łóżka, słowem: za całém tém życiem zwyczajném, codziennem, a lojalném, w którém wodę warzył, bicz kręcił z piasku, pamięć dni regulował według tego,

co było na zupę, ale miał własny szlafrok, panto fle, parasol i opinią statecznego człowieka między matkami, którym dojadło panieństwo córek.

I gdyby jeszcze nie dészcz, który tnie jakby rózgami, możnaby przynajmniéj dostroić się do złowrogiego majestatu widoku, otworzyć narozcież duszę tragicznym wrażeniom, uznać się samemu jakąś wyjątkowo dziką naturą, jakimś bohatérem z opery, postawić marsa, zaśpiewać: „niech ryczą spienione fale!“ i myśléć sobie w duszy: „chciałbym żeby mnie teraz moi znajomi widzieli.“ Człowiek byłby przynajmniéj na wysokości położenia. Ale śpiewać: „niech ryczą spienione fale“ w kaloszach i pod parasolem, to już chyba żadną miarą nie idzie. Wprawdzie, kiedy u nas w Dolinie Szwajcarskiéj grają marsza żuawów, nasi kantorowicze, aplikanci, a nawet stateczni ojcowie rodzin, przejmują się nim tak dalece, że naraz poczynają nadzwyczaj wojowniczo maszerować, spoglądając przytém na wystraszone ich walecznością gąski tak złowrogo, jakby chcieli mówić: „dałbym ja wam!“ ale ja z trudnością przejmuję się sytuacyą. Nie byłem nigdy dość wrażliwy.

Nie pozostawało mi zatém nic innego, jak zejść do kajuty i czekać aż przybijemy. W kajucie zastałem już moich towarzyszów podróży. Jeden z nich obywatel wiejski, począł oddawać się rozmyślaniom o swojém gospodarstwie. „Ciekawym czy tam Fikalski (zapewne ekonom) wysłał dziś ludzi do orki“—rzekł tak, jakby mnie o to chciał się pytać. Mnie jednak to mało obchodziło, czy Fikalski wysłał ludzi do orki; wolałem więc pójść do okienka i wyglądać na fale, które czasem zalewały je zupełnie.

Nie daléj może, jak o sto kroków od naszego statku, dostrzegłem dwa maszty rozbitego okrętu, huśtane falą i sterczące z wody ku niebu. Nad owemi masztami unosiły się korowody ptastwa, tłukącego z krzykiem i piskiem fale. Odłamy desek, szczątki belek i beczek unosiły się na około, to niknąc pod wodą, to ukazując się znowu. Zaciekawiony, pytałem coby to był za statek; że zaś nikt nie umiał mnie objaśnić, musiałem więc znowu wyjść na pokład, aby dowiedzieć się od majtków.

Na pokładzie znalazłem młodego miczmana, który stał i gwizdał, otulony w gumowy płaszcz, patrząc na fale i polując na równowagę, którą, mimo iż wpływaliśmy do portu, trudno było utrzymać. Młody miczman dał mi wszelkie żądane objaśnienia, gadał nawet trzy razy więcéj niż przecięciowy człowiek zwykł to czynić, a nieskończenie razy więcéj niż sternik, który kręcił zasępiony swoje koło, poruszając przytém ciągle szczękami, jak gdyby należał do przeżuwających: poprostu gryzł tytuń. Owóż dowiedziałem się, że zatopiony okręt był statkiem angielskim, który w biały dzień został przebity przez pruski statek Frankonia. Blizko trzydziestu ludzi zatonęło w tym wypadku; okręt zaś odrazu poszedł na dno, jak ołowiana kula. Kapitan Frankonii oddany został pod sąd.

— Ja, gdybym był sprawiedliwością — mówił do mnie miczman — kazałbym go powiesić, choćby dlatego, że to prusak.

— Ależ, szanowny panie, jeśli to jest przestępstwem — odpowiedziałem francuzowi — to z tego nie można się poprawić.

— Właśnie też kazałbym go powiesić, jako niepoprawnego przestępcę—odpowiedziała mi przez usta francuza sprawiedliwość.

Tymczasem wpłynęliśmy do portu. Z bulwarku spuszczono na burtę statku mostek, poczém ci, którzy stali na brzegu poczęli giestykulować i wrzeszczeć przeraźliwiéj. Wszczął się chaos i zamieszanie. Majtkowie klęli wyrzucając z głębi statku kufry i pakunki; kufry trzeszczały, podróżni tłoczyli się na mostku, statek sapał i świszczał; zdaleka odpowiadała mu lokomotywa, jakby chciała mówić: jak się masz, mój chłopcze? dziwi mnie, żeś gdzie karku nie skręcił. Na bulwarku małe chłopaki kopali się nogami i pokazywali sobie języki.

W tych warunkach wysiedliśmy na ląd. Jeden z bijących się chłopaków porzucił natychmiast blizką już zwycięztwa walkę i ofiarował mi się z pomocą w przeniesieniu kuferka do wagonu, a gdym oświadczył mu, że sam go zaniosę, wyraził życzenie, aby Bóg przeklął moją duszę (*Goddam your soul!*) i oddalił się pokazując mi pięść. Poczém wsiedliśmy do wagonu i ruszyli wprost do Londynu. Jako człowiek przesiąknięty miłością wszystkiego co swojskie, uwielbiam nietylko nasze koleje żelazne, ale zarazem wszystkie wypadki, jakie im się zdarzają: począwszy od warszawsko-wiedeńskiego pękania szyn a skończywszy na romantyczności, z jaką przewracają się do góry nogami, lub spóźniają na czas, pociągi kolei petersburskiéj. Mimo całego jednak uwielbienia, tak dla powyższych zdarzeń, jak i dla terespolskiego truchta, muszę oddać sprawiedliwość kolejom angielskim, że pod względem szybkości przewyższają wszystkie inne na świecie.

Szybkość ta rzeczywiście jest zadziwiająca. Nie robiłem wprawdzie prób, jakie robił jeden z naszych

starterów wyścigowych, gdy wysadziwszy laskę przez okno, słyszał wyraźnie odgłos: trrrr! jaki wydawała taż laska uderzając o słupy telegraficzne; niemniej jednak pomyślałem sobie, że gdyby naszym wagonom przyszło galopować podobnie, zaraz na pierwszéj stacyi zziajałyby się tak dalece, że trzebaby je koniecznie do stajni odprowadzić. Zresztą nie wiem czy ten obyczaj szybkiego jeżdżenia jest lepszy. Bo, że tam czasem u nas zawiadowca nie puści pociągu, dopóki człowiek wysłany po wiśnie dla jego narzeczonéj nie wróci z wiśniami, lub że inny jaki zawiadowca ze stacyi prowincyonalnéj woła za odchodzącym już pociągiem: „stój! bo pan Piegłasiewicz nadjeżdża,“ toćże to wygodniej dla wszystkich. Ma to charakter taki sobie familijny, którego nie powinniśmy się pozbywać, zwłaszcza jak jeden z naszych najgłębszych publicystów zrobił zadziwiające odkrycie, że nasze wszystkie instytucje wyszły z rozszerzonego pojęcia rodziny, i że, co za tém idzie „w niebie jest daleko chłodniej niż w piekle.“

Ale tymczasem pociąg leciał jak na skrzydłach. Zbliżyłem się do okna wagonu. Jestem tedy w Anglii, w tym kraju tak odmiennym pod każdym względem od naszego, a nawet od wszystkich krajów stałego lądu; w tym kraju nieprawdopodobieństw, gdzie np. arystokracya ma rozum, porządek publiczny sympatyą, parlamentaryzm nie jest pochyłem drzewem, na które wszystkie kozy skaczą; dobro społeczne nie frazesem dziennikarskiém, a czas wrogiem, którego się zabija.

Dziwny kraj, zaiste. Kobiéta niéma tu żadnych praw, a korzysta ze wszystkich; postęp pędzi naprzód tak szybko, jak miejscowe lokomotywy, ale przybrany

w średniowieczny kostium: *habeas corpus* nie tłómaczy się z łaciny, „a głupiemu radość!“

Ale to dopiéro jedna strona obrazu, strona polityczna, strona lepsza. Daleki jestem od tego, abym i pod względem racyonalnym miał uważać Anglią za niedościgniony ideał. Pod tym względem w Belgii jest lepiéj, we Francyi lepiéj, w Prusach lepiéj i u nas lepiéj. Warunki, w jakich istnieje własność ziemska, walka między kapitałem i pracą, proletaryat, głód i ciemnota, niby chmura nad przyszłością tego kraju: są to rzeczy tak znane, że nie potrzebuję się o nich rozpisywać.

Na szczęście jednak, ludzie mają tu rozum, i zamiast kłaść się kamieniem w poprzek prądom społecznym, starają się je opanować i uregulować ich brzegi. Nic dziwnego, że potém fale, które mogły kraj zalać, obracają koła młynów i tartaków. Tak było przynajmniéj od dawnego czasu aż do dziś dnia.

Ale wracam do mojéj podróży. Nie będę się starał opisywać Anglii ani pod względem społecznym, ani politycznym, ani obyczajowym. Celem mojéj wycieczki była Ameryka: uwagi więc moje o Anglii, przez którą tylko przejechałem, mają wartość notatek spisywanych w wagonie. Zresztą czytelnicy nasi mają dość wiadomości o Anglii. Piękne listy zatytułowane: „Wieczory nad Tamizą“ i piękne korrespondencye Sewera, wyczerpują stronę obyczajową zupełnie zadawalniająco, rozmaite zaś „własne korrespondencye, które tém słuszniéj nazywają się „własnemi,“ bo się własnemi rękoma na miejscu robią; dają wierny obraz stanu politycznego tego kraju, nie mówiąc już o tém, że są nader interesującemi objawami jasnowidzenia.

Nakoniec Anglia pod żadnym względem nie jest dla nas obca. Należy oddać sprawiedliwość pewnéj naszéj klasie społecznéj, że wszystko, co tylko Anglia ma najlepszego i najzbawienniejszego, stara się u nas wprowadzić i zaszczepić: mamy angielskie wyścigi, angielskie faworyty, angielskiego krokieta, angielskie paletoty, angielskie nudy, angielskie kołnierzyki i angielskie „natives," po spożyciu kilku tuzinów których, pewien znany nasz lord mawia, że taki jest, jakby się dopiero na świat narodził. Ale on i bez tego jest taki, jakby się dopiéro na świat narodził.

Znowu jednak odszedłem od rzeczy. Owóż, siedząc w oknie wagonu, przypatrywałem się ciekawie krajobrazowi. Miasta, miasteczka, farmy i parki, migały przed memi oczyma. Krajobraz wiejski podobny tu jest do belgijskiego, tylko domki farmerów schludniejsze, na łąkach zaś mieniących się nader świetną zielonością, pasą się liczne stada owiec. Zresztą wszystko pod linię i miarę, wszystko trochę sztywne, ale pełne oryginalności. Wszędzie spokój, nad wesołemi widokami wiejskiemi rozciąga się chmurne niebo, na krańcach zaś horyzontu, nad malowniczemi grupami drzew szarzeje mgła.

Gdyśmy zbliżali się do Londynu, był zachód słońca. Nad miastem unosiło się jedno morze dymów, pod którém rozciągało się drugie morze dachów, kominów i wież kościelnych; które wreszcie, nieogarnione wzrokiem, zlewały się w dali z sinawemi chmurami zachodu. Nim przybyliśmy na stacyą było ciemno, udaliśmy się więc do hotelu z zamiarem niewychodzenia tego wieczora nigdzie, co jak dla mnie, jadącego bez odpoczynku wprost z Warszawy, było prawie koniecznością.

Hotel nasz nazywał się Charing Cross. Jestto gmach mało co mniejszy od naszych powiatowych miasteczek, a z pewnością ruchliwszy. Nie umiejąc po angielsku, poprosiliśmy na migi o numer. Kazano nam wejść, a raczéj wsadzono nas, wraz z naszemi kuframi, do jakiegoś małego pokoiku i pojechaliśmy wraz z owym pokoikiem, czyli elewatorem, jak tu nazywają, w górę, nie wiem już na które piętro; następnie znaleźliśmy się na korytarzu, a następnie w pokoju, który przeznaczono nam na mieszkanie. Wkrótce wszedł jakiś ospowaty gentleman, i począł coś do nas mówić, pocierając sobie kolano. Odpowiedziałem mu: „*all right!*“ czego nauczyłem się od pewnego warszawskiego literata, który wprawdzie nie umié więcéj po angielsku, ale którego akcent podziwiają roznosiciele i cały skład redakcyi, do któréj należy. Pomyślałem sobie przytém, że gdyby w szkołach, uczono mnie w swoim czasie, zamiast mnóstwa innych rzeczy, choć trochę angielskiego, moja edukacya byłaby o wiele zupełniejszą. Mój Boże! pamiętam, jak w drugiéj czy trzeciej klasie ucząc się zoologii, powtarzałem po całych godzinach podniesionym płaczliwym głosem: „jedne są ogoniaste, drugie ogonów nie mają; jedne są ogoniaste, drugie ogonów nie mają. Teraz zapomniałem, które są ogoniaste, które ogonów nie mają, a nie umiem powiedzieć kelnerowi żeby mi dał wody do umycia; chociaż po trzechdniowéj jeździe koleją, jestem czarny jak dusza wydawcy, który literatowi nie podwyższył nigdy honoraryów.

Z tego wszystkiego zaś ta głęboka nauka dla moich współobywateli wypływa, aby po wyuczeniu przedewszystkiem dokładnie rodowitego języka, uczyli dzie-

ci swoje i innych. Dziś posiadać znajomość: kilku języków, jestto mieć chleb w ręku. Można być wprawdzie „naszym znanym i powszechnie czczonym“ nie umiejąc żadnego; ale w interesie własnym, lepiéj jest umieć jak najwięcéj; témbardziéj, że wielu z moich współbraci, doszedłszy do wieku dojrzałego, obiera sobie za mieszkanie takie kraje o których za lat dziecinnych, nawet w geografiach nie czytali.

Postanowiłem tedy, że jak najprędzéj kupię sobie metodę Ollendorfa, i z prawdziwie budującą cierpliwością będę tłómaczył wszystkie mądre zdania, napełniające rzeczoną książkę; owe takie głębokie pytania, jak np.: „czy cudzoziemiec zjadł siano sąsiada, materac majtka i guziki ogrodnika?“ że przejdę cały ten czyściec nonsensów, byle jak najprędzéj nauczyć się tyle angielszczyzny, żeby choć cośkolwiek więcéj umieć od naszych starterów wyścigowych. Tymczasem kelner hotelowy z prawdziwą angielską flegmą, począł sobie pocierać drugie kolano, nie przestając powolnym głosem i przeciągłym akcentem nadwerężać i tak nadwerężonéj już mojéj cierpliwości. Odwróciłem się do okna, przez które widać było w półzmroku wieżę westminsterską i począłem nucić: „Mów, o Eurydyko! czyli wierną będziesz!“

— Czego chce ten bawół?—spytał mój towarzysz.

— Powiada, że nie wyjdzie, póki mu pan co na ból w kolanach nie poradzisz.

Bawołowi jednak sprzykrzyło się widocznie mówić i wyszedł, rzuciwszy na nas pogardliwe spojrzenia. W ogóle zauważyłem, że anglicy odznaczają się daleko mniejszą uprzejmością dla cudzoziemców niż francuzi. Kiedyśmy na drugi dzień, mając już prze-

wodnika, kupowali gumowe płaszcze na podróż Oceanem, w sklepie zastaliśmy dwóch sprzedających gentlemanów, ale dwóch pijanych: jeden sprzedawał nam płaszcze, drugi, zasunąwszy na tył głowy kapelusz i oparłszy się plecami o towary, lżył nas półgłosem spluwając przytém z nadzwyczajną wprawą na wszystkie strony.

Dzień następny poświęciłem na obejrzenie Londynu, o ile olbrzymie to miasto można obejrzeć, nie mieszkając w niém z pół roku. Zwiedziłem Westminster, gdzie widziałem adwokatów i sędziów w długich białych perukach, przechadzających się pod gotyckiemi krużgankami i pokrzepiających dżinem wyczerpane wymiarem sprawiedliwości siły; zwiedziłem *British Museum*, gdzie znów widziałem przynajmniéj połowę greckiego akropolu, przeniesioną w kieszeniach turystów; ogród zoologiczny; kościół św. Pawła i inne pamiątkowe gmachy. Powierzchowność miasta posępna; ani się może porównać ze *złotym* Paryżem. Domy tu wązkie i niezbyt wysokie, budowane z czerwonéj lub surowéj cegły, którą potém kopci dym, obmywa deszcz, co razem nadaje jéj wszelkie pozory brudu. Place za to wspaniałe i obszerne. Wszędzie mnóstwo posągów Nelsona i Wellingtona, lwy pilnujące posągów—i na rogach policmeni spokojni i nieruchomi także, jak kamienne posągi. Miasto ruchliwe: miliony ludu na ulicach; fiakry, jednokonne keby, karety, omnibusy, ciągną się nieprzerwanym łańcuchem po wszystkich większych ulicach. Około południa udaliśmy się do Hydeparku. Tu tysiące kobiet i mężczyzn na koniach i mnóstwo odkrytych powozów. Twarze mężczyzn po większéj części brzydkie, długie, o wyblakłych oczach;

rzadko gdzie błękitna krew normandzka ujawnia się w regularnych rysach twarzy, pięknych niebieskich oczach i jasnych włosach; kobiety jednak po największéj części piękne: a raczéj wszystkie piękne. ale te tylko, które teraz oto harcują na folblutach po szerokich i długich alejach parku. Twarze niektórych, to prawdziwe pomysły poetyczne: poprostu twarze to anielskie, jasne, spokojne, pogodne. Podobne, a raczéj podobnie idealne, widziałem tylko w rysunkach Grottgera. Trudno mi wypowiedzieć, do jakiego stopnia dochodzi tu tak zwana delikatność rysów. Zdaje się, że te pieszczone dziewczyny arystokratyczne nie z krwi i ciała się składają, ale z mieszaniny promieni słonecznych, mgły, blasków jutrzenki i duszy. Zdaje się, że tylko chwilowo zstąpiły na ziemię, aby poigrać wśród zieloności, a potém rozwiną skrzydła i ulecą jak ptaki—jak mewy, za słońcem. Nigdy troska powszednia; nigdy znój, nigdy zwykła ziemska niedola nie zachmurzyły żadnéj z tych jasnych twarzy. Praca dla nich ma znaczenie zabawy; otacza je przepych, życie wykwintne, ogładzone, wysokie, jak gdyby zawsze świąteczne. Te panny wszystkie zapewne są dobre—ależ bo i nie mogą być inne; nie zetknęły się ze złem: zaledwie słyszały o niém. Są to kwiaty rodzaju ludzkiego: kwitną—oto wszystko. To ich cel—i zasługa aż do chwili zamążpójścia. Potém wydają na świat dzieci, co jest także zasługą i w ogóle, jak mówią ludzie znający angielskie społeczeństwo: są dobremi żonami i matkami, co jeszcze jest zasługą; potém umierają i oczywiście idą do nieba, co już nie jest zasługą, ale nagrodą—i co im łatwiéj przychodzi, bo w życiu prawie nie znały pokus i złego.

Możnaby nawet powiedzieć, że urodziły się po to, żeby za życia żyć szczęśliwie, a po śmierci otrzymać zbawienie. W swoim czasie Kalwin nie bez pewnéj logiki powiedział, że ludzie przychodzący na świat, są z góry wybrani lub potępieni.

Widzieliśmy wybranki, ale i potępionych niedaleko szukać. W tym samym Hyde-Parku stoi oparty o baryerę jeden z wolnych obywateli Zjednoczonych królestw. Przypatrzmy mu się: obywatel ten ma lat szesnaście, dziury na łokciach, czoło idyoty, spróchniałe zęby i wystrzępione majtki. Ma także jakiś surdut jakiegoś koloru, ale niema za to koszuli.

— Gdzie twój ojciec?—pyta nasz przewodnik.

— W Botany Bay.

— A matka?

— Matka robi pudełka.

— A siostry?

— Ma ich trzy, robią także pudełka; ma także dwóch braci po lat ośm, którzy robią pudełka, i jednego lat trzech, który pomaga je kleić.

W Anglii całe setki i tysiące ludzi żyją z téj pracy, a raczéj głód mrą z téj pracy.

Otóż i nasz potępiony! Matka jego chora, bo wszyscy, którzy dłużéj robią pudełka, chorują; ojciec jego był zamiataczem ulicy, ale raz aresztowali go i wywieźli. Chłopak nie umié czytać i pisać, klnie za to nadzwyczaj wprawnie. Widać także, że trochę i pije, bo jak zimno, to dżin rozgrzewa.

— Czy umie téż pacierz?

— Co?—pyta zdziwiony otworzywszy usta.

On tego nie umié, on umié robić pudełka, a to nie jego rzemiosło.

— A jeść ma ochotę?

— Ma, ale nie ma pieniędzy, a ukraść się boi. „Ale choćbyś się nie bał, to nie zrobiłbyś tego, bo to jest źle?“

— Jużci źle, bo jak policya złapie, to trzeba do więzienia.

— To dla niego przyczyna: inaczéjby kradł.—A sumienie, chłopcze?

— Co to jest? czy to się jé, czy to się pije?

— Czego od niego chcą? On przecie tu stoi spokojnie i nikomu nie zawadza.

Oto mały obrazek. Ach! ten wolny obywatel Zjednoczonych królestw nie umié czytać, pisać, nie umié pacierza, nie wié co jest Bóg; myśli, że sumienie się jada albo pije; nie słyszał o cnocie, nie ma co jeść, pić i gdzie mieszkać, umie zaś robić pudełka. Tymczasem nędza mówi do niego: zabij, głód: ukradnij, chłód, upij się. Oto jego nauczyciele: innych niema. Czy ich posłucha? Tak: jak tylko przestanie się bać policyi.

Ale co téż ja mówię! Ten wolny obywatel Zjednoczonych królestw ma przecież rozmaite prawa, z których może korzystać: *habeas corpus;* ma prawo głosowania; pełnomocnik jego będzie w swoim czasie przemawiał w Izbie gmin. Co téż ja mówię! Ten wolny obywatel jest nawet bogaty. A oto i ten Hyde-Park. to przecież własność publiczna, zatém własność i jego; a British Museum? a pałac kryształowy, a place, ogrody, gmachy publiczne? To wszystko jego. A przytém on jest anglikiem; do niego należą: Indye, Australia, Kanada; on ma wojsko, flotę: to potentat prawdziwy. Ale czegóż tak drżysz na całém ciele, potentacie? Aha!

on jest naczczo od onegdaj. Masz oto szylinga, biédaku: kup sobie co jeść.

Chłopak wytrzeszcza oczy. Szylinga? ależ on nigdy nie miał razem tyle pieniędzy. Szylinga? Potentat ogląda go z niedowierzaniem na wszystkie strony, następnie wydaje rodzaj radosnego wycia; chowa pieniądz do kieszeni, z któréj mu go żaden złodziéj nie ukradnie, bo tą kieszenią są jego usta, i ucieka niepodziękowawszy nawet za datek.

A jednak ma Indye, Kanadę, Australią, pałace, ogrody! Straszne społeczne zagadnienie.

Ale, tymczasem, bije godzina pierwsza. W parku robi się pusto, a w końcu zupełnie pusto. Czas wracać do domu. Mamy przed sobą odległość kilku mil angielskich, mały to jednak kłopot, bo z pomocą kolei podziemnych, przebywa się przestrzeń w kilka minut. Czém dla Paryża są omnibusy, jeżdżące na wszystkie i we wszystkie strony, tém dla Londynu podziemne koleje żelazne. Rozchodzą się pod całém miastem; biegną pod domami, pod ulicami, pod Tamizą. Przychodzimy nad jakąś obszerną jamę w kamienicy, w któréjto jamie widać schody wiodące na dół; kupujemy bilety i zszedłszy kilkadziesiąt stopni, znajdujemy się na obszernéj stacyi kolei żelaznéj. Jedna lokomotywa odchodzi, druga, ta, która ma nas zabrać, właśnie się zbliża. Bilety nie kosztują nawet dziesięciu naszych groszy, ale mimo tak małéj ceny, kupiliśmy umyślnie do klassy trzeciéj, czy téż drugiéj, aby przypatrzyć się ludowi. Wsiadamy.

W wagonie dość zresztą nędznym i odrapanym, tłok. Tuż obok nas, młoda irlandka, o rysach twarzy łagodnych i pięknych, karmi piersią młodego fenianina,

który wierzga nogami, od czasu zaś do czasu przestaje ssać, spogląda na obecnych; następnie krzywi się, zamyka oczy, otwiera usta, i przyszykowawszy się w ten sposób, poczyna wrzeszczeć. Naprzeciw nas, jakiś staruszek obiera pomarańcze z pomocą jednego, ale bardzo drogiego i pięknéj zielonéj barwy zęba; przytém sapie tak, że obecni sądzą, iż przechodzi druga lokomotywa. Daléj robotnicy w niebieskich bluzach, wracający widocznie od roboty, palą fajki, lub dla rozrywki, zakładają jeden drugiemu nogi na kolana. Mdłe światełka lamp oświecają całą scenę. Pociąg biegnie jak szalony; lokomotywa huczy, jako zwyczajnie w podziemiu. Powietrze jest duszne, napełnione wonią węgla i siarki: zaczyna nam braknąć oddechu. Przelatujemy jak wicher od stacyi do stacyi: jedni wysiadają, drudzy wsiadają. Nie wiem gdzie jesteśmy i gdzie wysiąść należy. Przez chwilę w szybach wagonu mignęło światło dzienne, potém znów ciemno i coraz duszniéj, nakoniec lokomotywa staje, wysiadamy i znów oddycham pełną piersią: jesteśmy na ulicy wśród białego dnia, sklepów, powozów, natłoku ludzi i deszczu.

Na ulicy spotykamy mnóstwo kobiet, często bardzo młodych i ładnych. Chodzą same bez opieki a raczéj pod opieką praw i wszystkich pięści i lasek W. Brytanii. Żaden Don Juan nie zbliża się tu do idącéj samotnie dziewczyny, i nie mówi jéj, jak się to praktykuje w pewném znaném mi mieście: „Jakto, pani? tak piękna, tak młoda i sama? Dzień dobry anioł-ku?“ Pierwszy lepszy gentleman spotkawszy takiego Don Juana w roli czynnéj, wbiłby mu kapelusz na głowę aż po szyję; połamałby żebra, popodbijał starannie [illegible]zy, i następnie oddał w ręce policmana. Kobiéta

zaczepiona nie potrzebuje tu zresztą innéj obrony jak policyanta. Spokojny ten człowiek, dotyka wówczas złowrogą laseczką ramienia awanturnika i w imieniu Jéj Królewskiéj Mości wiedzie go do kozy, sąd zaś, za jedno nic, za jeden mały komplemencik, bardzo wreszcie uprzejmy, skazuje go czasem i na pół roku więzienia.

W skutek tego anglik i w ogóle W. brytańczyk nie zaczepia nigdy kobiéty. Jeśli zdarzają się podobne zajścia, zawsze to będzie jakiś cudzoziemiec, często francuz, a często i mój rodak, w którym uprzejmość dla dam stała się już tak dalece drugą naturą, że nie zraża się żadnemi niebezpieczeństwami. Co większa: to coby żadną miarą nie uszło Don Juanowi miejscowemu, uchodzi często przedsiębierczemu dziecięciu Północy. „Pani—mówi jeden z nich językiem sewilskiego cygana, o którym może czytał w „Wędrowcu:“— wdzięki twe to dla mnie śmierć, ale gdy ujrzę koniec twéj nóżki wracam do życia.“ „Jestem cudzoziemcem —mówi drugi—wiem, że w ten sposób nie zabiera się znajomości, ale nie mam innego sposobu; natomiast rzeknij pani słowo, a zrobię rewolucyę i ogłoszę cię królową.“ Czasem się udaje, a czasem robi się z tego awantura, ale rycerski nadsekwańczyk lub nadwiślanin nie lęka się pięści, wie zaś, że sądy dla cudzoziemca są względne.

Kobiety tutejsze stanowią lepszą i jaśniejszą stronę krajowego medalu. Mają wiele spokoju i pogody duszy, która odbija się w ich twarzach. Za to jeśli znajduje się która brzydka, to już tak brzydka, że na widok jéj można zdziczeć.

Podczas gdy przewodnik nasz czyni powyższe obyczajowe spostrzeżenia, zbliżyliśmy się do naszego hotelu. Tuż przed jego bramą dwóch gentlemanów, jeden przekupień pomarańcz, drugi woźnica bili się na kułaki. Jestto widok nader pospolity na ulicach Londynu. Bijących otaczała gromadka ludzi. Niektórzy z widzów trzymali ich surduty i dodawali im zachęty stojący za kołem widzów policyant, wspinał się na palce patrząc przez głowy, czy obywatele rozpłaszczają sobie nosy legalnie, zresztą nie mieszał się do niczego. Walki podobne mają swój regulamin, nad którym czuwają wszyscy obecni. Każdemu z walczących chodzi o to, aby pięścią uderzyć w oko przeciwnika i podbić takowe, a następnie podbić i drugie. Ciosy w nos i w usta są również i dowolne i cenione. Jeżeli jednak jeden z walczących zawoła: *enough!*“ (*enof*—dosyć), uznaje się tém samém za zwyciężonego; zwycięzca zaś odpowiada: „*all right!*“ i natychmiast przestaje bić ofiarę. Gdy tego nie uczyni, wszyscy rzucają się na niego i tłuką co wlezie, policman zaś kładzie laskę na jego ramieniu.

Zwykle jednak po „*enough*“ następuje natychmiast: „*all right,*“ poczem przeciwnicy rozchodzą się bez gniewu, widzowie zaś winszują najpiękniéjszych ciosów, tak temu który je zadał, jak i temu który je otrzymał. Zwłaszcza złamanie szczęki lub przetrącenie nosa, wywołuje liczne powinszowania. Jeżeli przeciwnicy są równéj siły i zręczności, a walka się przedłuża, wówczas w kole widzów powstają zakłady i cała scena przybiera nadzwyczaj interesujący, oczywiście tylko dla anglików, charakter. Najczęściéj w takich

walkach zwycięzcami są irlandczycy, którzy w ten sposób wynagradzają sobie krzywdy polityczne.

W hotelu zapakowaliśmy rzeczy, czekała nas bowiem nocą podróż do Liwerpoolu; poczém zapłaciwszy rachunek i przekonawszy się, że niepotrzebnie dla oszczędności jadaliśmy nie w hotelu, ale na mieście, w hotelu bowiem płaci się za wszystko razem, wyszliśmy znowu na ulicę. Nie pamiętam na któréj już z ulic, uwagę moją zwrócił żółto pomalowany dom, otoczony ogrodem, z zielonemi żaluzyami w oknach. Pamiętam, że była to jakaś ustronna ulica; na chodnikach było pusto; w ogrodzie świegotały wróble, z domu dochodziły łagodne śpiewy kobiece, nad domem zaś i ogrodem unosił się dziwny spokój.

— Co to za dom?—spytałem.—To przytułek dla zbłąkanych dziewcząt pragnących wrócić na drogę cnoty. Ach! instytucya anielska; instytucya tego rodzaju, że nawet temu, kto zwątpił o ludzkości, przychodzi w nią uwierzyć napowrót. W dziewczętach już upadłych budzi się czasem sumienie; czasem tęsknota za życiem czystém, za pracą, za obowiązkiem: za owemi chwilami, w których jako dzieci czyste i niepokalane marzyły o innéj, dalekiéj od sromoty przyszłości. Tęsknota ta, tak opanowywa dziewczynę, że pragnęłaby zerwać z hańbą, ze wstydem, z występkiem. Oto noc jasna i księżycowa na niebie. Dziewczyna staje w oknie wpatruje się w niebo gwiaździste: wszędy spokój, cisza; dobry Bóg zdaje się uśmiechać do niéj; w ciemnych błękitach widzi niby jakąś rękę wzywającą ją do siebie; słyszy głos: wróć biedne dziecię do mnie, pod skrzydła pokoju i życia pełnego ciszy. Więc oczy dziewczyny brzękną łzami: kolana drżą pod nią; wreszcie

pada na nie i poczyna się modlić. Postanowiła się poprawić—i czy się poprawi, myślicie? Oto pójdzie jakby pod stromą górę, której grunt jest ruchomy; zakrwawi ręce i nogi drapiąc się pod nią, ale co wejdzie kilka kroków, ziemia usuwa się jéj z pod nóg i dziewczyna spada jeszcze głębiéj; probuje znowu, i stacza jeszcze głębiéj, aż wreszcie zostaje na dnie z poczuciem własnéj bezsilności i rozpaczy w duszy.

Czasem znów zdarza się, że dziewczyna jeszcze cnotliwa opiera się i woła ratunku, żeby nie wpaść w otchłań występku, ale głód ciągnie ją za jedną rękę, chłód za drugą, przemoc socyalna popycha ją z tyłu, i czy sądzicie, że dziewczyna oprze się téj piekielnéj trójcy? Co z sobą zrobi, gdzie się podzieje, gdzie dla niéj ucieczka i obrona? Nigdzie, z wyjątkiem Anglii. Chwała na wysokościach Panu, a na ziemi pokój ludziom dobréj woli!—mówi psalmista. O! chwała dobréj woli: dziewczyna uratowana, bo oto ustroń spokojna, ogród zielony i „Żółty dom.“

Wśród ciemnéj, zimnéj i dżdżystéj nocy, wychudzona ręka targa gorączkowo za dzwonek w bramie „Żółtego domu.“ Z za bramy nie odpowiada groźne warczenie psa ani gniewliwe: Kto tam? stróża nocnego. Drzwi otwierają się cicho, widać ciemny korytarz: jakaś ciepła, łagodna dłoń bierze zziębniętą rękę nieszczęśliwéj i prowadzi ją za sobą. Nikt jéj się nie pyta, co za jedna? zkąd przyszła? jaka jéj dola poprzednia? jakie występki? Po chwili znajduje się w małym schludnym pokoiku. Czyste, biało zasłane łóżko; na stole dymi ciepły posiłek, pali się lampa, leży biblia, nad łóżkiem zaś głowa Chrystusa, w jasnéj gloryi, patrzy na nią słodko, łagodnie, zachęcająco.

Dziewczyna rzuca się na jadło. Jéj się przedewszystkiem chciało jeść; potém chodzi niespokojnie po pokoiku. Nie umié zebrać myśli; nie wié co się z nią stało: boi się czy nie dostała pomieszania zmysłów.

Tymczasem zwolna otwierają się drzwi: wchodzi jakiś gentleman staruszek o twarzy dobrotliwéj, ojcowskiéj, wzbudzającéj ufność. Staruszek wchodzi ot tak, jakby przyszedł do znajoméj, i mówi:

— Dobry wieczór, moje dziecię! Ja jestem doktor: czyś nie chora?

Nieufny i niespokojny wzrok jest całą odpowiedzią.

— Czas mamy szkaradny. Co? łatwo się przeziębić. Pokaż puls, dziecko. No, dobrze, doskonale! Jeżeli pozwolisz, przyjdę cię odwiedzić jutro. O! brzydki czas. A teraz połóż się. Dobranoc, dziecko.

To mówiąc staruszek głaszcze dziewczynę po głowie i zabiera się do wyjścia, ale w progu odwraca się i mówi:

— Ale! wszakże ci na imię: Fanny?

— Jenny.

— A tak! tak! Jenny. Otóż Jenny, idź już spać, ale... pomódl się: zmów pacierz, Jenny. Dobranoc!

To mówiąc zamyka drzwi. Jenny pozostaje sama. Jeszcze chwila osłupienia: potém wybucha płaczem i biegnie rzucić się na kolana przed obrazem Chrystusa. Ale nie. Ona nie może klęknąć przed tym obrazem w jaskrawéj sukni, z uczernionemi brwiami, ze sztucznemi rumieńcami na twarzy i wszystkiemi oznakami hańby. A oto obok łóżka leży na krześle skromna sukienka i cały ubiór. Jenny więc zrzuca te strzępy, które ją teraz palą i pieką, a potém modli się długo, długo.

Nazajutrz dzień, już to nie owa Jenny. W skromnéj sukni z gładko przyczesanemi włosami, nie poznaje sama siebie. Wołają ją na śniadanie; znajduje towarzyszki: nikt się jéj o nic nie pyta, ale przyjmują ją jak siostrę. Prócz towarzyszek zastaje inne kobiety: pewno wielkie damy; ale może i nie, bo nie dumne, jakieś dobre anielskie istoty, których przeszłość jak śnieg niepokalana. Kto są te damy?

— Aniołowie.

Ale i te skrzydlate istoty traktują ją jakby siostrę, jakby nigdy nie zgrzeszyła, jak sobie równą.

— Dzień dobry, Jenny, dobry wieczór Jenny— mówią jéj łagodne głosy.

Co więcéj, te niepokalane istoty służą jéj, bawią się z nią, rozmawiają, przyjaźnią z nią; najniższą, najnędzniejszą i najbardziéj upadłą ze wszystkich istot na świecie. Żadnéj wymówki, żadnéj wzmianki o przeszłości. Są chwile, w których samej Jenny wydaje się, że jest lepszą; wraca jéj ufność, spokój: doprawdy, jéj się chwilami wydaje, że jest taką jak dawniéj, za lat dziecinnych.

Bo téż ona już i jest taką, jak za lat dziecinnych.

Modlitwa, praca ręczna, nauka, przeplatane rozrywkami: oto w jaki sposób schodzi czas mieszkankom „Żółtego domu.“ Nie każą tu im pokutować za przeszłość, ale każą o niéj zapomnieć. Otaczają ją atmosferą czystą: pracy, pogody, spokoju i niewinności, a atmosfera ta obejmuje je i przesiąka w najbardziéj zepsute serca. Potém uczą, dają umiejętność zarobku; potém znajdują zarobek i puszczają na świat.

Najlepsze robotnice, najlepsze służące wychodzą z tego domu. Młodsze często potém wychodzą za mąż, są dobremi żonami i matkami.

Podczas kiedy przewodnik nasz opowiadał mi o Żółtym domu, myślą uleciałem nad pewne znane wam dobrze miasto i spojrzałem na jego zakłady dobroczynne. Widziałem pewien gmach z napisem łacińskim, widziałem komitety, sessye; byłem na posiedzeniu, słyszałem prośby o głos: przywoływania do porządku; słyszałem mowy i zwroty krasomówcze. Figury retoryczne brzęczały mi koło uszu jak muchy; jakiś głos wołał: „Bóg nam powierzył fundusze Towarzystwa, Jemu tylko zdamy z nich rachunki.“ Inny zaś wołał: „Nie potrzebujemy tłómaczyć się opinii, albowiem napisano jest: „niech nie wié lewica, co daje prawica.“ Inny: „Dobroczynność nie jest cnotą, jeśli jest jawną.“ Słowem widziałem parlament, nie mogłem tylko dostrzedz, co robi się z funduszami miłosierdzia; słyszałem zgiełk, hałas; obok grano na skrzypcach; obok tańczono w filantropijny sposób; daléj sprzedawano w bazarach, umizgano się w celach miłosierdzia do pięknych kobiét; uszczęśliwiano się w celach miłosierdzia w buduarach. Roztańcowane i spocone miasto śpiewało na nutę z Pięknéj Heleny: „Jam—jest—gród litościwy, gród litościwy, gród litościwy—jam miłosierdzia wzór,“ ale pieśń tę tuż obok głuszyły liczne jak piasek w morzu głosy. Ochrypłe te głosy wołały: „Łaskawi i miłosierni panowie, choć grosik na chléb, choć kopiejeczkę na sznapsika!“

Ale oto jakiś inny zakład miłosierny uderzył moje zdziwione oczy. Dewizą jego: „sięgnij bratku do saka.“ Co u licha! widzę jakby jakieś przedstawienie teatralne: mnóstwo gazu, koronek, aksamitu, lornetek, pudru, francuzczyzny. Zdaje się, że wszystkie dobre uczynki tak co do ciała, jak i co do duszy, wyprawiły

sobie dystyngowaną maskaradę: widzę także Adama, Ewę, węża; cnoty teologiczne w trykotach, czyli piękne panny w teologicznych kostiumach: wyznawców tychże cnót, wypchanego kota, ostendzkie majtki, Semiramidę. Cóż to jest? To miłosierne widowisko, pod tytułem: „Wiele hałasu o nic.“ Dużo huku, puku. Nic nikomu ono nie szkodzi. Pan Bóg nie wiele przez to traci, dyabeł nie wiele zyskuje: przytulone baby najwięcéj, prawdziwa zaś nędza, jak ów kogutek co poszedł na orzechy w bajce:

„Leży, leży wedle drogi;
Wyciągnęła obie nogi,
Ledwo tchnie.“

Żałowałem, że długa a pilna podróż jaką miałem przed sobą, nie pozwalała mi dokładniéj poznać na większą korzyść moich współobywateli, wielu innych instytucyi angielskich, które w ogóle odznaczają się mechanizmem nader prostym, a przytém wielką dokładnością i dzielnością w czynach. W ogóle instytucye tutejsze, a mówię tylko o prywatnych, nie są objawem naśladownictwa, mody, pewnego popędu wywołanego sztucznie, ale płyną z potrzeb społecznych i z dziwnie krzepkiego ducha narodowego. Dlatego mniéj się tu gada, więcéj robi. Instytucye zaś nie upadają, bo poczucie obowiązku każe obywatelom podtrzymywać je z energią i wytrwałością, nietylko z początku, ale zawsze. Dziwni ludzie ci anglicy. Wyobraźcie sobie, moi mili współobywatele, że członkowie licznych tutejszych towarzystw nie zalegają nigdy w wypłacie składki. Słyszeliście o czémś podobném?

Ale już dosyć o tém. Na świecie robił się mrok. Na ulicach zapalano latarnie gazowe, które służą tu

nietylko po to, żeby wróble miały na czém siadać; wystawy sklepowe zapłonęły jakby wielkie ogniska przez całą długość ulic: czas było udać się na dworzec kolejowy, z którego pociąg wychodził do Liverpool.

Rzeczy nasze miały być nadesłane z hotelu. Jakoż zastaliśmy je już w sali dworca. Ogromna czerwona sala była zupełnie prawie pusta, słychać było tylko poważne: tyk-tyk, wielkiego zegaru wmurowanego w boczną ścianę. Urzędnik sprzedający bilety skracał sobie czas okręcaniem klucza na palcu, któreto zajęcie pochłaniało całą jego uwagę. Pod ścianami stało paląc fajki, kilku pasługaczów. Po kupieniu biletów, udaliśmy się do jednego z nich, ażeby nam pomógł wyekspedyować rzeczy.

— Rzeczy już są na pociągu—odpowiedział ten gentleman.

— A kwit?

— Jaki kwit?

— Kwit od rzeczy.

Nie mogliśmy się porozumieć. Wreszcie posługacz wyprowadził nas na platformę i pokazał nam nasze kufry, stojące spokojnie w wagonach, a gdyśmy, nie poprzestając na tém, żądali jeszcze kwitu, ruszył ramionami, mruknął: „*Goddam!*“ i poszedł sobie, zostawiwszy nas własnéj przedsiębierczości.

Nie było co robić. Udaliśmy się do kassyera. I znów ten sam dyalog.

— Prosimy o kwit.

— Jaki kwit?

— Kwit od rzeczy.

Kassyer ruszył ramionami i począł okręcać z nadzwyczajną uwagą klucz na palcu, nie spojrzawszy na nas więcéj.

Poszukaliśmy tedy konduktora.

— Prosimy o kwit.

— Jaki kwit?

— Kwit od rzeczy.

Konduktor ruszył ramionami; ja starałem się za chować wielkość duszy w nieszczęściu: jeden z towa rzyszów moich począł wymieniać nadzwyczajne ilośc beczek, karabinów i fur; drugi oświadczył sucho: że jeśli tak, to noga jego nie postanie więcéj w tym kraju czém byłby zapewne bardzo przeraził anglików, gdyby go mogli byli zrozumieć. Następnie obaj spojrzeli na mnie, następnie ja spojrzałem na nich; następnie wszy scy trzej nie wiedzieliśmy co robić.

Tymczasem sala poczęła się napełniać, cora więc trudniéj było sobie dać radę: na szczęście usły szeliśmy jakąś parę rozmawiającą po niemiecku.

Towarzysz poznańczyk poskoczył ku niéj żywo.

— Nie chcą mi dać kwitu od rzeczy.

— Bo tu nie dają nikomu. Na kufrach są po przylepiane kartki dokąd które idą. Na każdéj stacy wyjmują przeznaczone do niéj pakunki. W Liverpoc wyjmą pańskie, przyjdziesz pan, weźmiesz je i skończy ło się.

— A jak się kto do nich przyzna?

— Nikt się nie przyzna.

Towarzysz poznańczyk wrócił do nas w dosko nałym humorze.

— O, to, to rozumiem. To to kraj. Co za pc rządek!

Istotnie przy odejściu pociągu wszystko odbył się nader porządnie. Posługacze kolejowi nie wrze szczeli, nie życzyli sobie wzajemnie paraliżów, nie był

wzmianek o wątrobach. Pociąg ruszył, i po chwili Londyn wraz ze swojém morzem świateł, zniknął nam z oczu. Powietrze tylko nad miastem było rdzawe i czerwone, jak łuna pożaru.

Noc robiła się ciemna, tak, że przez okna wagonu nie mogłem nic dojrzeć. Czasem tylko na ciemném tle nieba rysowały się jeszcze ciemniejsze sylwety kominów. Czasem pociąg wpadł między wielkie zakłady, w których topią żelazo. Olbrzymie ogniska pieców, jaskrawe płomienie, czarne postacie ludzkie na tle ognistém, huk młotów, zgrzyt i wycie piłowanego żelaza, tumany dymu: wszystko to stanowiło jakby obraz rzeczywistego piekła. Potém znów ogarniała nas ciemność i czysta wilgotna nocna atmosfera: czasem po huczeniu maszyny można było poznać, że przelatujemy tunele. Towarzystwo w wagonie poczęło się rozsypiać, jak to się zwykle dzieje wśród nocy. Przy drżącém świetle lamp widać było twarze zaspane i zmęczone. Czasem krótka rozmowa przerwała ogólne milczenie. Siedzący obok mnie otyły gentleman, kiwając się przez sen, uderzył głową w moje ramię, a mruknąwszy: „*I beg your pardon!*“ uderzył natychmiast po raz drugi. Zdjęta dla wygody para trzewiczków młodéj i przystojnéj miss, wysunęła się z pod ławki i podskakując wraz z ruchami wagonu, wpadła pod nogi jakiegoś długiego i kościstego jegomości, prawdopodobnie pastora, albo kwakra, który nazajutrz rano, ujrzawszy tę rzecz tak świecką, odsuwał ją ze zgrozą z pomocą laski ku śpiącéj właścicielce, mówiąc zapewne w duchu: „*vade retro.*“

Tymczasem zaczęło szarzeć. Brzask robił się na wschodzie: domki farmerskie, drzewa, albo czasem wieże

kościelne, występowały coraz wyraźniéj z głębi cienia i mgły. O godzinie szóstéj dojeżdżaliśmy do Liverpoolu.

Miasto czysto angielskie. Też same niewielkie domy, z czerwonéj lub surowéj cegły, okopcone dymem a poplamione deszczem; też same zielone zazdrostki w oknach: zresztą z powodu wczesnéj godziny, cicho i spokojnie. Od strony morza dął potężny i ostry wiatr: na końcu ulicy widać było las masztów. Mieliśmy jeszcze dwie godziny czasu, zatém zatrzymaliśmy się w hotelu, by się umyć, przedrzémać i posilić przed puszczeniem się na morskie odmęty.

Wskazano nam hotel wdowy Clynton, o któréj mówiono, że umié, a przynajmniéj rozumie po francuzku. Ale wdowa Clynton, gdyśmy zajechali, spoczywała jeszcze w objęciach Morfeusza; zamiast zaś niéj, przyjął nas jakiś irlandczyk, o czerwonych, stojących jak szczotka włosach, piegowatéj twarzy, zaspanych oczach i głosie dwuletniego dziecka.

— Gentlemani jadą zapewne do Ameryki—mówił, a raczéj piszczał głosem nadzwyczaj patetycznym—to daleko, bardzo daleko, tak jest; to bardzo daleko!

Tak mówiąc, podnosił oczy w górę i wzdychał, i zdawało się, że pragnie nas pobłogosławić na drogę.

A cóżto za małpa uroczysta? — odezwał się jeden z moich towarzyszów.

Istotnie irlandczyk był nader uroczysty. Gdyśmy prosili go o wodę do umycia:

— Do umycia?—odrzekł smętnym głosem—o tak, tak, do umycia.

Potém, gdyśmy się umyli, zaprosił nas również rzewnie na śniadanie, przy którém posługiwał z powagą i milczeniem.

Przy śniadaniu nadeszła wdowa Clynton, wraz z młodą i przystojną córką Clynton, i nie wiem co to za dziwny dom, ale obie te damy wydały mi się jeszcze uroczystsze. Naprzód wdowa Clynton w krótkiéj, ale pełnéj głębokiego uczucia mowie, wyraziła nam swoją wdzięczność, żeśmy jéj a nie inny hotel wybrali za miejsce chwilowego spoczynku; potém zaś, gdyśmy skończyli śniadanie, zawołała: „no! czas, panowie!“ tak rozdzierającym głosem, jak gdyby miała się żegnać z mężem, albo z kochankiem. Przy płaceniu rachunku, który, należy oddać mu sprawiedliwość, był bajecznie mały, wdowa raczyła zwrócić na mnie swoją uwagę.

— Nie żeń się pan w Ameryce, tam niedobre kobiéty: szkodaby było pana!

Tu wobec kwestyi tak drażliwéj, córka Clynton zarumieniła się lekko, ja zaś starałem się uczynić toż samo, i odrzekłem, że choćbym miał taki zamiar, w chwili téj porzuciłbym go stanowczo. Poczém pożegnaliśmy się tak, jak się żegnają członkowie jednéj rodziny, i ruszyliśmy do portu.

Z portu mały pękaty parowiec miał nas przewieźć do okrętu udającego się za Ocean. Nadspodziewanie pasażerów znalazło się mnóstwo, tak że cały parowiec był zapchany kuframi, majtkami (okrętowemi), kobiétami, dziećmi; co wszystko, prócz kufrów, żegnało się, powiewało chustkami, płakało, całowało, paliło cygara, jadło pomarańcze lub patrzyło na morze. Dzień był chmurny, dżdżysty; woda niespokojna lubo drobno pomarszczona; wiatr podrywał piasek pobrzeżny i ciął nim po twarzach. Przecisnąwszy się przez stosy kufrów, zasiedliśmy w jakimś kącie i milczeli wszyscy. Trudno się oprzeć pewnemu wzruszeniu mając przed

sobą Ocean. Tymczasem mały parowiec zawrzeszcza przeraźliwie, jakby go ktoś ze skóry obdzierał, pod niósł kotwicę i ruszył.

Po półgodzinnéj jeździe, ujrzeliśmy wreszcie Ger manika, który miał nas przewieźć do Ameryki. Wy znaję, że ujrzawszy ten statek, długi blizko tak jal połowa naszego żelaznego mostu, ujrzawszy jego po tężne kominy, maszty, jego piętra, jego olbrzymie bok świecące oknami, odetchnąłem swobodniéj.

— No, ten potwór chyba się ani zakołysze n morzu — rzekłem do mego towarzysza, którego twar wypogodziła się również.

— Co?—odpowiedział mi z entuzyazmem i dumą jak gdyby był budowniczym statku: — on sobie, panie drwi z fali! Ja się poprostu kocham w tym statku!

Było to istotnie uczucie trochę zbyt nagłe, ale tak patryotyzm okrętowy, gdy chodzi o własną skórę, jes do wytłómaczenia.

Tymczasem potwór nasz wywiesił czerwoną cho rągiew z białą gwiazdą i z napisem: „*White star*“ (Biał gwiazda); należy bowiem do Towarzystwa noszącego tę nazwę; następnie nie zagwizdał, ale ryknął głosem tak tubalnym, że nasz stateczek przewozowy o mał nie schował się pod wodę ze strachu. Zbliżyliśmy się jeszcze więcéj do jego boku, a raczéj do jego stóp zahurkotał pomost; powstała wrzawa i zamieszanie chwyciłem za ucho mój kufer i po chwili znalazłem się na Germaniku.

Był to czwartek, dnia 23 lutego.

II.

Z Oceanu.

Pod wieczór dnia 23 siedliśmy na okręt Germanicus, który miał nas zawieźć do Ameryki. W poprzednim liście wspomniałem, że jestto jeden z najpotężniejszych parowców linii White Star, utrzymujący komunikacyą między Liverpool a New-Yorkiem. Fale morza Irlandzkiego zaledwie cokolwiek kołysały olbrzymim statkiem, tembardziéj że i pogoda była piękna. Po dwu lub trzygodzinnéj jeździe zciemniło się. Brzeg irlandzki, wzdłuż którego płynęliśmy na południe, coraz bardziéj osłaniał się mgłą i rozpływał w ciemnéj dali, nakoniec zmącił się zupełnie z morzem, niebem i nocą—i zniknął. Chwilami tylko połyskiwały czerwone i zielone światła latarni, które zdawały się palić w powietrzu; wreszcie i one pogrążyły się w ciemnościach, a na około bielały tylko zapienione szeregi grzbietów fal, idących jedna za drugą z nieskończoności.

Nazajutrz rano przybyliśmy do *Queenstown*, portu leżącego na samym południowym cyplu Irlandyi, zkąd

już prosto na zachód mieliśmy się puścić do New-Yorku. Queenstown jestto ogromny port, a zarazem jak mnie zapewniali z dumą anglicy, niezdobyta forteca; chociaż sądzę, iż niezdobyta jest głównie dlatego, że nikt jéj nigdy nie zdobywał, a zatém i nie zdobył, na mocy czego nasz Ozorków również za niezdobytą warownię poczytywaćby można.

Ale jak pomiędzy naszemi miastami każde ma jakąś osobliwszą sławę, skutkiem któréj mieszkańcy ich mówią: „u nas, panie, w Płońsku,“ „u nas w Kozienicach,“ „lub u nas w Przytyku, to, panie, znajduje się to i owo“ — a mówią z taką dumą, jak gdyby: „*chez nous à Paris*“—tak i Queenstown odznacza się tém, że stanowi wrota Oceanu. Tu kończy się morze Irlandzkie, a zaczyna się Atlantyk. i z tego powodu prawie wszystkie okręty idące z Anglii do Ameryki i odwrotnie, mają tu swój kilkogodzinny przystanek. Nasz okręt również zarzucił opodal od brzegu kotwicę, i potężnem gwizdaniem oznajmił miastu swoje przybycie. Mały parowiec przywiózł nam nowych pasażerów, a po największéj części emigrantów, którzy cisnęli się na pokład z żonami, z dziećmi, z pakunkami, z biédą i z nadzieją, że ową biédę utopią w morzu w czasie podróży. Rozpoczęło się wyładowywanie pakunków i towarów z małego statku na wielki, przyczem rzucano pakami i kuferkami tak, iż zdawało się, że będą gwałtu krzyczéć. Na małym parowcu znajdowało się także kilku przekupniów. Jakaś młoda dziewczyna, z ładnemi niebieskiemi oczyma i koszykiem pomarańcz w ręku, wykrzykiwała w niebogłosy pochwały swego to-

[redacted]

odpowiadając jednocześnie na dowcipy, jakie jéj szylingami przesyłano z wysokości naszego statku,

który przynajmniéj o trzy piętra przenosił przybyłego pigmejczyka. Był to widok bardzo ożywiony: majtkowie wypakowywując kufry krzyczeli i klęli, dziewczyna rzucała z dołu gradem swoje pomarańcze, nic pytając się czy ich kto chce czy nie chce, młodzi zaś dżentlemani rzucali jéj pieniądze, za któremi latała po całym pokładzie, śmiejąc się i tańcząc. Czasem ciskano jéj i skórki pomarańczowe, które chwytała z równie dobrym humorem i wesołością.

Wreszcie mały parowiec wysadził wszystkich swoich pasażerów i pakunki, poczém zabrał listy z naszego statku, wrzasnął wniebogłosy i odpłynął. Nie było podróżnego, któryby nie przesłał listu na ląd; kto bowiem puszcza się wiosenną porą na Ocean, nigdy nie może powiedzieć, czy będzie jeszcze oglądał tych których żegnał; każdy więc pragnie przesłać choćby jeszcze jedno małe: „*addio*“ „pamiętaj póki nie zapomnisz!“ lub: „pisuj do mnie na Berdyczów!“ Wszystkie twarze były poważne i uroczyste, a kto nawet nie miał powagi i uroczystości w duszy, ten starał się ubrać w ich pozory. Ludzie lubią takie położenia, jakie w zwyczajném życiu widuje się tylko w operach. Zresztą, puszczając się na Ocean, każdy głupiec wydaje się samemu sobie poetycznym i co najmniéj Child-Haroldem, a zatém:

Bywaj mi zdrów, kraju kochany!

Istotnie, świsnęły wiatry, zaszumiały bałwany, zaświegotało morskie ptastwo; Germanicus podniósł kotwicę i po chwili chwiał się już na ogromnych falach Oceanu. Pasażerowie poczynają biegać po całym statku, zaglądać wszędzie, przypatrywać się każdéj jego śrubce; poczém upewniają się wzajemnie, że niémasz żadnego

niebezpieczeństwa. Każdy mniéj więcéj w strachu, a wszędy słychać następujące rozmowy:

— Ależ to statek, daj go katu!

— Ho! panie: on bije wszystkie Cunary.

— Na téj linii nie było jeszcze żadnego wypadku.

— I pewno nie będzie: mamy przewyborną pogodę.

— Widziałeś pan sternika. Stary wilk? co?

— Mówią, że i nasz kapitan bardzo doświadczony marynarz. On podobno woził królowę.

Nieprawda, nikt nie mówił że nasz kapitan jest doświadczony marynarz i że woził królowę, ale zadający to pytanie jest w strachu, zadaje je więc dlatego, że ma nadzieję, iż mu kto na nie odpowie twierdząco. Zresztą pogoda istnie trwa, statek kołysze się niewiele, wszyscy więc nabierają zaufania, niektórzy nawet objawiają głośno, że gotowi są zrozumiéć wszystko, ale nie rozumieją obawy morza.

Kołysanie swoją drogą ma miejsce, tylko że statek jest tak wielki, że tego nie czuć. Stojąc jednak ku tyłowi okrętu, można doskonale dostrzedz, jak przód jego to zsuwa się po pochyłości wodnéj na dół, to znowu podnosi się ociężale do góry. Za statkiem leci kilkanaście mew, które raz wraz rzucają się na wodę, gdy z kuchni okrętowéj wyrzucą coś przez okno.

Około godziny pierwszéj po południu, w salonie jadalnym i po korytarzach, gdzie są kajuty, odzywa się barbarzyński głos *gongu*, czyli *tam-tama*, zwołujący pasażerów na *lunch*. Siadamy do stołu. Tu znowu rozpoczyna się dla mnie biéda z angielszczyzną. Nie rozumiem jadłospisu i nie wiem co sobie kazać dać jeść. Przychodzi stewart, czyli lokaj okrętowy. Jestto stara i wyschła jak wosk mumia, ubrana we frak i biały

krawat. Mumia ta staje nademną, zamyka oczy, otwiera usta, pokazuje żółte zęby i zaczyna coś mówić, a raczéj skrzypić mechanicznie jak blaszana chorągiewka, którą porusza wiatr. Nie wiele myśląc, pokazuję jéj na karcie jakąś potrawę, której nazwa angielska podobała mi się więcéj od innych, z powodu swego brzmienia. Mumia odchodzi, następnie powraca i przynosi mi morele. Chciałem zupy, wszyscy jedzą zupę, ale cóż robić: zabieram się do moreli.

Po morelach nieubłagany los zsyła mi sér, po sérze pomidory, po pomidorach tartą bułkę. Zjadam to wszystko; na deser zaś dowiaduję się, że siedzący koło mnie podlotek umié po francuzku, i że mógł mi służyć za tłómacza w moich utrapieniach. Zamawiam więc sobie jego pomoc i łaskę na przyszłość, poczém lunch kończy się i wychodzimy na pokład.

Już wstając od obiadu uczułem że wiatr musiał się zwiększyć. Idąc wzdłuż stołów ku drzwiom tego ogromnego salonu, oświeconego przynajmniéj trzydziestu okrągłemi oknami, trzeba się było od czasu do czasu chwytać krzeseł, które przymocowane są do podłogi, albo mogą się obracać. Na pokładzie zastaję już liczne grono pasażerów, którzy przypatrują się sobie wzajemnie i próbują rozmawiać, oczywiście nie o czém innem jak o pogodzie, którato rozmowa na statku bynajmniéj nie jest tak czczą i błahą jak na lądzie.

Ale tymczasem statek zaczyna się coraz lepiéj kołysać. Po upływie półgodziny jedna z dam, która dotąd rozmawiała najweseléj, nagle wstaje, spogląda obłąkanemi oczyma na około, mówi przygnębionym głosem: „O Boże! Boże!“ poczém zbiega szybko po schodach na korytarz prowadzący do kajut. Za nią

wkrótce podąża druga i trzecia, po nich mężczyzni; pokład staje się coraz pustszy; nakoniec na pobojowisku zostaje tylko kilka osób trwalszéj natury, między któremi liczę się ja, mój towarzysz, jakiś doktór z rudemi faworytami i młoda para amerykańska: mąż podobny do Otella, żona do anioła.

Zabieramy ze sobą znajomość. Na szczęście i doktor i młoda para umieją po francuzku. Oczywiście rozmawiamy tylko o morzu i przypadłościach żeglugi. Po niejakiéj chwili Otello pyta mnie:

— Pan dużo podróżował po morzu?

— Jadę pierwszy raz, ale dotąd nic mi nie jest. A pan?

— O! ja znam się z morzem, i moja żona także.

— Ależ zaczyna się kołysać nie na żarty.

— To mnie mało obchodzi—odpowiada Otello, po niejakiéj chwili zaś dodaje:

— Myślę jednak, że musiałem zjeść coś niezdrowego.

— Istotnie uważam, że pan pobladł.

— O! ale to przejdzie. Tu na pokładzie najlepiéj: ani myślę schodzić na dół.

— Noc będziem mieli piękną?

— Bardzo piękną: niezawodnie zjadłem coś niezdrowego.

— Świeże powietrze pana wyleczy.

— Jednakże...

Tu Otello składa tak niezbite dowody, że musiał zjeść coś niezdrowego, iż nie pozostaje mu nic, jak tylko zejść na dół i położyć się w łóżko. Na pokładzie zostaje nas troje. Poczynam jednak czuć zawrót głowy, ale zapalam cygaro, które przynosi mi ulgę. Doktór

rozmawia z moim towarzyszem, ja z młodą lady. Uważam jednak, że zaczynam głupiéć, skutkiem czego rozmowa nie klei się, jakkolwiek młoda lady jest bardzo ładna. Tymczasem zaczyna ściemniać się: majtkowie ściągają wielki żagiel na przodzie okrętu i ciągnąc w kilkunastu linę, wołają żałosnym głosem: Ooo! ho!

— Pójdziemy zobaczyć—mówi do mnie młoda lady.

— Idziemy tedy zobaczyć; ale w pół drogi, lady zatrzymuje się i spogląda na mnie tak szczególnym wzrokiem, że krew rzuca mi się do twarzy. W jéj oczach widać czułość i omdlenie, policzki jéj bledną i rumienią się, chce coś mówić, i jakby nie śmie, ale przewraca oczyma jak heroina na scenie. Boże wielki! co to się znaczy? myślę sobie...

Czyżby?... ale nie, to byłoby zbyt nagle, zbyt po amerykańsku. Jednakże!

— Panie...—szepcze słabnącym głosem młoda lady.

— Pani! dwie dusze jak nasze...

— Oh! oh! przerywa młoda dama.

— Dwie dusze jak nasze...

— Śliwek, śliwek jak najprędzéj!

Wiadro zimnéj wody, wylane na głowę, nie ostudziłoby mnie tak skutecznie, jak to jedno małe słowo: „śliwek!“ Jeszcze w Liverpool wdowa Clynton mówiła mi, że najdzielniejszém lekarstwem na chorobę morską są suszone śliwki. Więc to ten powód? Oby Ocean pochłonął wszystkie śliwki z obu półkuli ziemskich! Ja myślałem... Ale cóż robić? Biegnę tedy do stewarta po śliwki i po chwili wracam z pełnym talerzem: młodéj lady nie zastaję już jednak na pokładzie.

Tymczasem chiński *tam-tam* daje znać, że czas na obiad. Karmią nas wspaniale, ale do obiadu nie siada

zdejmują buty. Żal mi się zrobiło mojéj ciszy i samotności na pokładzie, ale wracać tam było już zbyt późno; dlatego zeszedłem do kajuty...

Kajuta nasza jestto mały pokoik, mający nie więcéj jak cztery łokcie kwadratowe przestrzeni, przy jednéj ścianie przymocowane są, jedno nad drugiém, dwa łóżka, a raczéj dwie głębokie szuflady z wysokiemi bokami, które nie pozwalają wypaść śpiącemu w czasie kołysania statku; przy drugiéj ścianie stoi czerwona aksamitna sofka, między sofką a łóżkiem umywalnia, i oto wszystko. Cała kabina schludna, wykwintna nawet, ale mała. Dama, którąby, jak mówi pan Dickens, w skutek skromności niewieściéj spodziewała się znaleźć w kajucie tylko dwie ogromne szafy na suknie, zawiodłaby się srodze. Zaledwo tu można się obrócić, a rozbierać się inaczéj niepodobna jak po kolei. Wiele osób, zwłaszcza pierwszéj nocy na morzu, nie rozbiera się wcale. Istotnie kładąc się spać, doznaje się dziwnego uczucia na myśl, że pod sobą ma się niezmierzoną głębię, naokoło nieprzebyte pustynie wodne; jest się na statku, który mimo swéj wielkości i mocy, jest tylko piłką rzucaną falami olbrzymiego Oceanu. Człowiek mimowoli sobie mówi: jeżeli możnaby postawić dziesięć za tém, że jutro się obudzę, przynajmniéj dziewięć możnaby trzymać za tém, że się jutro nie obudzę.

Cóż jednak robić? Jeżeli przypłynie góra lodowa, jeżeli kocioł pęknie, zdarzy się pożar na statku, tak samo zginę ubrany jak nieubrany. Tymczasem sen skleja powieki; głowa, w której fale wstrząsały mózg przez cały dzień, cięży, idzie się zatem spać rozumując: co jutro będzie, nie wiem; że mi się chce spać, wiem.

Noc jednak przeszła spokojnie, to jest bez żadnego nadzwyczajnego wypadku. Nazajutrz rano jednak, do *breakfestu* siadło znowu dwa razy mniéj osób, niż wczoraj do obiadu, a twarze były jeszcze więcéj pomartwione. Jedzono tylko śliwki i kaszę jaglaną z mlékiem. Statek się kołysał bardziéj niż wczoraj, a poważna twarz kapitana zdawała się mówić, że będzie raczéj gorzéj niż lepiéj.

Wyszedłem na pokład. Dzień był ponury, szary, wietrzny. Mewy rzucały się w powietrzu, fale zaś były rozigrane. Trudno się było utrzymać na nogach. Naokoło statku piętrzyły się takie bałwany, w jakich istnienie trudno uwierzyć. Zawsze uważałem za przesadę, gdy opowiadano mi dawniéj, że fale morskie dochodzą wielkości domów; teraz przekonałem się, że istotnie jest to przesada, ale *in minus*. Otaczały nas po prostu góry wodne. Chwilami zdaje ci się, że cały statek wraz z tobą znajduje się w bardzo głębokiéj dolinie, zamkniętéj górami, przewyższającemi o wiele, tak np. o dziesięć razy szczyty masztów. Nagle dolina zaczyna się zmniejszać z przerażającą szybkością, a góry lecą ze wszystkich stron na statek, ryczące jak wściekłe. Przymykasz oczy i mówisz sobie w duchu: jak się macie ryby! przysiągłbyś bowiem, że żadna siła ludzka nie wyrwie już statku z tego przeklętego lejka, na którego dnie zostanie pokryty warstwą wodną, grubą na kilkadziesiąt sążni. Po chwili jednak, cóż się stało? oto otwierasz znów oczy, i widzisz się teraz na wierzchołku góry, przed tobą zaś przepaść, do któréj zlatujesz po linii prawie prostopadłéj. W ten sposób jechaliśmy cały dzień.

— Czy to jest burza?—pytam jednego z majtków, umiałem bowiem ten frazes po angielsku.

— Nie, to nie burza — odpowiada majtek — czas jest piękny.

Przekleństwo na twoje oczy! jeżeli to jest czas piękny, cóż wy tedy nazywacie burzą? On to nazywa czasem pięknym! Jeżeli nie utoniemy, to chyba dlatego, że ty i twoja załoga będziecie wisieć, co zaś ma wisieć, to nie utonie. Tymczasem fale zalewają nawet górny pokład, tak, że trzeba zejść na dół. Przy samych schodach spotykam doktora z rudemi faworytami, który pochyla się nademną i krzyczy, żeby przekrzyczeć szum morski:

— *Comment ça va monsieur!?*

Jestem tak pognębiony, że nietylko nie odpowiadam doktorowi, ale nie mogę trafić do schodów. Nie choruję, ale czuję zawrót głowy i ogłupienie posunięte do tego stopnia, że gdyby to był stan normalny mego umysłu, mógłbym odznaczyć się nawet w kółkach ultra-konserwatywnych *à tout prix*. „Trzymałem się za coś, mówi w podobném położeniu pan Dickens; może to był komin od pieca, może majtek, ale może i krowa.“ Ja wiem, że nie mogłem trafić do schodów.

— Patrz pan — woła doktor — ja się niczego nie trzymam, ja mogę teraz przechadzać się po pokładzie.

— Jakto—jęknąłem—pan nie upadnie?

— *Je suis trop vieux marin pour cela?*—odpowiedział, i w téj chwili zobaczyłem nagle jego nogi w tém miejscu gdzie była głowa, co mi dowiodło, że nietylko przechadzać się, ale może nawet przewracać koziołki.

Prawdziwa burza rozszalała jednak dopiéro wieczorem, chociaż wiatr wzmagał się przez cały dzień. Kiedy nadeszła chwila *lunchu*, położono na stołach poręcze, inaczéj bowiem wszystko by z nich pozlatywało na ziemię. Nic zabawniejszego, jak widzieć gości idących

wzdłuż stołów na swoje miejsca i taczających się jak pijani. Wchodzi naprzykład jakiś pastor presbiteryański, a może kwakier. Ale zaledwie ukazał się we drzwiach i puścił się klamki, rzuca się w największym impecie na kominek, jakby tam spostrzegł coś takiego, na co poprzednio czatował; następnie odbija się od kominka, uderza o krzesło, chybia poręcz, którą chciał uchwycić rękoma, odbija się od krzesła, wpada w objęcia jakiejś panny, porywa ją za głowę, poczém siada na podłodze, wywiesza język i poczyna piszczeć konającym głosem: oj! oj!

Lunch, mimo przegródek i poręczy na stołach, mamy tańcujący, gdy bowiem statek położy się na lewym boku, wszystkie półmiski, talerze, szklanki, karafki, noże, widelce, zsuwają się z brzękiem, szczękiem, hałasem i tartasem na lewą stronę, po chwili znów na prawą, i tak ciągle. Stewardowie posługują nam chodząc w ten sposób, że tworzą z podłogą kąt ostry; zupa wylewa się z talerzy, woda ze szklanek, wino z kieliszków; panie poczynają krzyczeć, panowie kląć bez względu na obecność dam; słowem: powstaje nieopisane zamieszanie i połowa osób opuszcza stół przed czasem:

Obiad odbywa się tak samo jak *lunch*. Co więcéj, przy obiedzie nie ma kapitana, co poczytują za zły znak. Jakoż przy czarnéj kawie, wyraz: „*storm! storm!*“ (burza! burza!) rozlega się po całym salonie, na korytarzach i w kajutach. Burza istotnie rozpoczyna się. Mimo mego godnego politowania stanu, chcę ją widzieć, i ubrawszy się w gumowy płaszcz z kapturem, wychodzę na pokład, a raczéj wyłażę na czworakach. Wicher jest tak silny, że trzymając się obiema rękoma poręczy, zaledwie mogę ustać na nogach. Chwilami woda oblewa mnie od stóp

do głów. Morze zdaje się być pomieszane z chmurami, chmury z morzem. Patrząc na to, nie mogę opędzić się myśli, że Ocean się wściekł. Ale właśnie ta jego wściekłość ślepa i głupia budzi ku niemu rodzaj pogardy. Huczy, ryczy, ciska się, opluwa niebo pianą, miesza się z powietrzem, słowem, szaleje. Nie przystoi to ani jego ogromowi, ani majestatowi, témbardziéj, że złość ta wydaje się nie mieć żadnéj przyczyny. Wściekł się i kwita. tak, jak wpada czasem bez powodu w szaleństwo słoń. To wyuzdanie się ślepych sił, ta przemoc brutalna, skierowana przeciw statkowi, który w porównaniu jest atomem, budzi w tobie chęć oporu i gniew. Chciałbyś zaciąć zęby, chwycić w rękę topór i z iskrzącym wzrokiem czekać na tę olbrzymią hałastrę wiatrów, piany, fal, wściekłości, zaślepienia, ryczącéj orgii i przemocy. Postępek Xerxesa, który kazał wychłostać fale, wydaje się wówczas zrozumiałym. Zwierzę potrzebuje bata. Jeżeli tylko nie jesteś z natury tchórzem ostatniego rzędu, mówisz wówczas Oceanowi: rycz, wyj, wściekaj się: drwię z ciebie! Jest w tém wszystkiém nawet pewna rozkosz, bo wobec podobnych uczuć, największa nawet wściekłość staje się bezsilną.

O północy burza doszła do swego *maximum*. Statek prawie nie odpłynął naprzód, ale rzucał się tylko od chmur w przepaść i odwrotnie. Nie było już widać nic prócz chaotycznéj i wściekłéj mieszaniny nieba, wody, powietrza, wichru i ciemności. Wiatr uderzył czasem jak młotem, czasem zakręcał jak świdrem, słowem, pastwił się nad falami i statkiem. Tumany kropel wodnych uderzały od czasu do czasu o moją twarz i kręciły się w powietrzu, jakby słupy dymu. Ogromne massy wody wpadały co chwila na pokład lub przelatywały przezeń

na drugą stronę. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie być spłukanym.

Nagle spostrzegłem, że ktoś stoi koło mnie, również w gumowym płaszczu i kapturze. Był to mój towarzysz. Probowaliśmy mówić, ale niepodobna było ust otworzyć, wiatr bowiem wbijał nam napowrót aż w gardło słowa. Pasażerowie wszyscy pochowali się w kajutach, tak że na pokładzie byli tylko majtkowie.

Cała załoga, prócz palaczy, była na górze. Majtkowie to ciągnęli liny, to czepiali się drabin, to związywali nowemi sznurami żagle, biegając, krzycząc, klnąc, lub powtarzając swoje żałosne: oo-ho! W ciemnościach, wśród wichru i huku fal, rozlegały się ostre głosy świstawek miczmanów, które dla majtków są słowami komendy. Głosy te nie ustawały ani chwili. Walka w takich razach trwa dopóty, dopóki burza nie zmęczy się, nie wydmucha, nie wypluje wszystkiej piany, nie ochrypnie i nie uzna się za zwyciężoną.

Koło godziny pierwszéj po północy, zeszliśmy wreszcie na dół, zmienili odzież i bieliznę, przemoczoną mimo gumowych płaszczów do nitki, następnie rozebraliśmy się i położyli spać. Ale cała noc była niespokojna. Chwilami trzeba się było trzymać, żeby nie wylecieć z szuflady. Statek kołysał się tak, że leżąc w łóżkach, od czasu do czasu znajdowaliśmy się w pozycyi stojącéj: dobrze gdy na nogach, gorzéj gdy na głowie. Futro wiszące na przeciwległéj ścianie od mojego łóżka, nagle spostrzegłem wiszące wprost nademną. Kuferki nasze i buty latały po całéj podłodze i po ścianach, bijąc z łoskotem w przepierzenia. Torby podróżne zawieszone na hakach, wiły się w powietrzu, jakby je ktoś okręcał.

Około drugiéj w kajutach leżących bliżéj schodów rozległ się krzyk. Sądziłem, że stał się jakiś wypadek, témbardziéj, że w téj saméj chwili usłyszałem wodę płynącą z szelestem w wewnętrznym korytarzu. Rozbudzili się wszyscy; okrzyk: „woda! woda!“ zabrzmiał w całém wnętrzu statku; kobiéty poczęły wrzeszczeć na różne tony lub biegać po korytarzach w kostiumach, których prostoty, najprostszy opis nie byłby w stanie oddać. Wreszcie nadszedł młody miczman, cały mokry, z twarzą zarumienioną walką, i oświadczył damom, że woda nader zwyczajnym sposobem dostała się przez schody na korytarz, i że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz z rana morze jeszcze było wzburzone, ale wiatr już ustał; koło południa zaś uciszyło się i morze. Mnóstwo osób przyszło na *lunch*. Żartowano i śmiano się z wczorajszego przestrachu. Opowiadano przytém zabawne dykteryjki o różnych psotach, jakich w czasie nocy narobiła burza. Oto przepierzenia, rozdzielające kajuty, nie dochodzą do saméj podłogi, mnóstwo więc drobniejszych rzeczy przesunęło się skutkiem kołysania się gwałtownego statku, z jednych kajut do drugich. Wyobraźcie więc sobie zdziwienie i wściekłość naszego Otella, gdy wstawszy nazajutrz rano, spostrzega w kabinie Desdemony nie swoje pantofle i... mamże wyznać?... jeszcze inne części męzkiéj garderoby w paski czy w kratki. Oczywiście Otello poczyna ryczéć, Desdemona klnie się na swoją niewinność i blaski srebrnego księżyca, że nie wié o niczém; pastor zaś w sąsiedniéj kajucie nie może iść na *lunch*, i każe sobie wydobywać kufer z dna okrętu. Stewart odnosi mu wprawdzie po chwili zagubione rzeczy, ale wielebny uważa je za

sprofanowane, i woła o kufer z dna okrętu; gdy mu zaś oświadczają, że kufra wydobyć niepodobna, przepowiada za rok koniec świata i ubiera się w swoje dawniejsze.

Oczywiście w anegdocie téj nie ma niezawodnie i słowa prawdy, ale opowiadają ją wszyscy. Pogoda i spokojne morze, dziwnie wpływają na wesoły humor pasażerów. Spostrzegam mnóstwo osób, których nie widziałem dotąd wcale. Ubiory kobiét są staranniejsze niż kiedykolwiek. Po *lunchu* i czarnéj kawie następuje przechadzka na pokładzie; znajomi robią się łatwo. Małe ploteczki krążą z ust do ust. Chwilami zdaje mi się, że jestem gdzieś na wodach zagranicznych; gdyby zaś nie język angielski, i gdyby nie brak podziału na arystokracyą i demokracyą, sądziłbym, że się przechadzam na szczawnickim deptaku lub pod ciechocińskiemi tężniami.

Ale podziału na arystokracyą i demokracyą nie ma, towarzystwo bowiem jest przeważnie amerykańskie. Jakkolwiek towarzystwo to składa się z ludzi, którzy podróżowali po Europie, zatém bogatszych i ogładzonych, ogłada ich jednak nietylko nie wyrównywa europejskiéj, ale nie odpowiada nader skromnym wymaganiom. Do stołu niektórzy z tych panów siadają w czapkach; pewien dżentleman siedzący naprzeciw konsulowéj francuzkiéj z San-Francisko, codziennie pod koniec obiadu zdejmuje buty, oświadczając z całą dobrą wiarą, że tak mu jest wygodniéj i namawiając innych, aby poszli w jego ślady. Po obiedzie niektórzy z pasażerów zajmują się czytaniem pism illustrowanych i czytają je nigdy inaczéj, jak z nogami pozakładanemi na stół. Amerykanie w ogóle przedstawiają się szorstko, nawet twarze ich o rysach grubych, pospolitych i gminnych, zdradzają odrazu brak tego poloru i wykwintności, która uprzy-

jemnia życie towarzyskie i czyni miłemi stosunki, nawet między ludźmi nieznanemi sobie nawzajem.

Bardzo niewiele osób mówi po francuzku, te zaś które nawet mówią, gryzą francuzkie wyrazy, jak twarde orzechy, i można powiedzieć, że nie wymawiają ich, ale wypluwają je raczéj, jak coś bardzo niesmacznego. Otello i piękna Desdemona wracają wprost z Paryża, w którym przepędzili miodowe miesiące, dlatego oboje najwięcéj mają dystynkcyi i są najrozmowniejsi. Mamy prócz tego wiele innych ciekawych typów. Prócz doktora z St. Louis, z Missouri, który jest kłamcą pierwszéj wody, i mego sąsiada obiadowego kapitana, który po dawnemu pochłania przy każdem daniu nieprawdopodobne ilości pokarmów, uwagę moją zwróciła pewna para kwakierska. Oboje są chudzi, milczący, posępni, starzy. Jego twarz o zapadłych policzkach i wytrzeszczonych, jakby z powodu solitera oczach, jest typem twarzy hypokryty i łakomcy; ona ma fizyognomią kwaśnéj dewotki, wodzącéj męża za nos i patrzącéj na wszystko, co jest młodością, wiosną, uśmiechem i wesołością, ze stanowiska ogniów czyścowych.

Pod koniec obiadu, kiedy podają słodycze, oczy biednego kwakra przybierają wyraz nieopisanéj pożądliwości, a na twarz występują mu rumieńce. Radby jeść kompot, a nie chciałby iść do piekła, jednakże kręci się; łyżeczka w jego ręku drga niespokojnie i nieszczęśliwy pożądliwym wzrokiem odprowadza każdą śliwkę, którą skazany na potępienie wiekuiste sąsiad jego niesie do ust, słowem: cierpi męki Tantala. Żona pogląda wówczas na niego złośliwie i słodkim głosem mówi ze wspaniałą ironią: „Pozwól sobie; dlaczegobyś nie miał sobie pozwolić? Zjédz śliwek, a o resztę nie

dbaj!“ Biedaczysko wzdycha i kładzie łyżeczkę na swojém miejscu.

Wśród podobnych spostrzeżeń i dopatrywań śmiesznych stron w moich sąsiadach, upływa mi dzień za dniem. W końcu jednak podróż záczyna mnie nudzić. Dzień podobny jest do dnia, jak rodzeni bracia: brekfest, przechadzka na pokładzie; lunch, przechadzka na pokładzie; obiad, przechadzka na pokładzie, a potém spać. Zresztą wiecznie tenże sam widok: ogromne, zielonawe bałwany i przestrzeń pusta, na krańcach któréj gubi się wzrok; wiecznie też same kilkanaście mew za okrętem i żałosne „Oooo—ho!“ majtków zwijających lub rozpinających żagle. Nadchodzi niedziela: ale jest jeszcze nudniejsza jak dnie poprzednie. Po śniadaniu stewartowie przynoszą kilkadziesiąt egzemplarzy biblii i kładą je po stołach, amerykanie zaś siadają i czytają ją, myśląc o czém innėm i ziewając. Wszyscy są poważni i milczący, ale więcéj w tém jest sztuczności i rutyny, niż prawdziwego nabożeństwa. Po skończonych modlitwach zakładają nogi na stół i siedzą w milczeniu, jak chińskie lalki.

Po południu zdarza się jednak wypadek, który jak iskra elektryczna wstrząsa wszystkich. Oto na widnokręgu pojawia się okręt. Nic to wielkiego napozór, ale wśród nudów i jednostajności, jestto prawdziwa uczta dla instynktów gapiowstwa, drzemiących w każdéj naturze ludzkiéj. Wszyscy cisną się na pokład; patrzą to przez lunety, to przez szkła teatralne, to gołemi oczyma. Wszędzie pytania, odpowiedzi i sprzeczki: „To jeden z Cunarów?—To Alan!—Nie! to Somerya!!—Alan!—Somerya!—Trzeba nie miéć oczu,

żeby nie widzieć że to Alan.—Dziwię się jak można za Alana brać Someryę!—Zakład!—Zakład!“ Powstają więc i zakłady. Wytrzeszczam oczy, ale oprócz dwóch słupów dymu nie widzę nic więcéj. Nasz statek wywiesza dwie chorągwie: jednę flagę angielską, drugą: *Whitestar*, to jest białą gwiazdę na czerwoném polu. Dwa słupy dymu zbliżają się coraz bardziéj, wreszcie dostrzegam potężny biało malowany parowiec, wspinający się dzielnie na grzbiety fal, i znaczący swą drogę srebrnym zapienionym szlakiem. Po chwili jednak statek przechodzi, zmniejsza się: oto wydaje się już jak łódka i wreszcie rozpływa się w sinéj dali.

W nocy z niedzieli na poniedziałek mieliśmy znów burzę, lubo nikt o niéj nie wiedział, wszyscy bowiem spaliśmy doskonale, ani domyślając się, że braknie trzy ćwierci do śmierci. Wicher przygnał z północy dwie góry lodowate, które wziąwszy statek między siebie, płynęły jak dwa piekielne psy, tuż koło niego, grożąc mu każdéj chwili zgnieceniem na miazgę. Kapitan kazał pospuszczać żagle, zgasić ogień w maszynie, i zdał statek na wolę fal i wiatru. To jedno ocaliło nam życie, bo od téj chwili statek miotany temi samemi co i lodowe góry falami, nie zbliżał się już do nich. Świtaniem dopiero, gdy ucichło trochę morze, puścił się całą siłą pary, i potwory piekielne zostawił w tyle.

— Co to było? Co to było? — pytano nazajutrz rano na okręcie.

— To była śmierć — odpowiadał kapitan Kennedy, głaszcząc ręką podobną do wielkiéj warząchwi szpakowaty podbródek.

Niektóre damy chciały mdleć, jak gdyby miały ochotę wynagrodzić sobie dobrą sposobność, która już

minęła. Kapitan wyrosł w naszych oczach na prawdziwego bohatéra, i odtąd téż nie traktowano go inaczéj, chociaż poczciwy ten marynarz pełen prostoty, ani rusz nie chciał i nie umiał się zgodzić na tak wysokiego polotu rolę. Trzeba jeszcze oddać sprawiedliwość, tak kapitanowi, jak oficerom i całéj załodze, że są to ludzie dzielni, znający swoję służbę i swoje obowiązki na wylot, a przytém karni, spokojni i dla pasażerów uprzejmi bez granic.

Germanicus jest przytém jednym z najszybszych okrętów, jakie przebiegają drogę między Liwerpool a New-Yorkiem. Jesteśmy z tego dumni, a ów patryotyzm *White-star* staje się coraz między nami wybitniejszym, jakbyśmy należeli do akcyonaryuszów téj linii. Drwić sobie z Cunarów należy do dobrego tonu. O wszelkich innych liniach wyrażamy się z politowaniem. Codzień rano mnóstwo osób ciśnie się do tablicy, na któréj jeden z oficerów oznacza liczbę mil przebytych ubiegłéj doby, i zarazem oznacza ją linią na morskiéj mapie. Nie płyniemy jednak tak szybko, jak to Germanicus umié, bo czas ciągle jest zły i żagle rzadko mogą pomagać parze. Podróż staje się coraz nudniejszą, jednakże mewy lecące za okrętem, których ilość coraz się zwiększa, oznaczają że zbliżamy się do lądu. Istotnie, jesteśmy na wysokości ławy piaszczystéj, otaczającéj Lew-Foundland, ale brzegów z okrętu nie widać. Po całych dniach wpatrują się z pomostu w morze; mówią bowiem, że w tych okolicach można dostrzedz czasem wieloryby. Fale jednak wydają się puste i niezamieszkane. Raz tylko potworna jakaś głowa wychyla się na chwilę z wody, ale niknie, nim mogę poznać do jakiego stworzenia należy.

Szóstego dnia mamy na okręcie koncert. Pogoda jest śliczna; przez grube soczewki szklane, stanowiące okna okrętu, wnikają czerwone promienie słońca. Koncert rozpoczyna mówka jakiegoś ogromnego gentlemana z twarzą jowialną, który z niezachwianą powagą, staje obok pianina i mówi:

— „*Ladies and gentlemen!*“ Usłyszycie za chwilę jednę z najznakomitszych artystek na świecie: Miss N. Jeżeli nie słyszeliście o niéj dotąd, to tylko dlatego, że jéj skromność jest równie wielką jak talent. Ameryka jednak chlubi się nią, Europa zgrzyta zębami z zazdrości. Dlatego radzę wam, żebyście cali pozamieniali się w téj chwili w uszy. Miss N. wykona etiudę skomponowaną przez bardzo znakomitego dżentlemana Szopena. Słuchajcie! słuchajcie!

Miss siada do fortepianu i poczyna do tego stopnia fałszować Szopena, że nasze polskie uszy literalnie więdną; potém następuje grzmot oklasków, mówca zaś wstaje i mówi znowu:

— „*Ladies and gentlemen!*“ Wiadomo wam ile szkody w naszych zapasach żywności i kufrach robią niegodziwe szczury i myszy. Ale nadeszła godzina zemsty: oto jest najznakomitszy w świecie tenor, M. Charli, który nieporównanym głosem swym wnet je tu wszystkie wystraszy. Zapewniam was, że każdy szczur, stokroć razy będzie się wolał rzucić w nurty Oceanu, niż słuchać téj melodyi, którą będziemy się zachwycać za chwilę.

Nowy grzmot oklasków kończy przemówienie naszego oratora. Dają się słyszeć okrzyki: „hip! hip!“ [redacted]li staje obok akompaniującéj miss i poczyna [redacted]łoską pieśń: „*O fanciulla mia!*“ którą gdyby

usłyszał jaki włoch, dostałby niezawodnie pomieszania zmysłów. Trudno mi opisać i wypowiedzieć, jak mało zdolności muzycznych posiada anglo-saksońska rassa. Między kilkunastu śpiewakami i śpiewaczkami nie słyszałem ani jednego głosu, któregoby można słuchać bez zgrzytania zębami. Amerykanie byli jednak nadzwyczaj zadowoleni z siebie i z swoich talentów. Pytali nas nawet z pewną dumą: czy słyszeliśmy coś podobnego w Europie? ja zaś odpowiadałem z całą szczerością, że istotnie nic podobnego w Europie nie słyszałem.

Szósty ów dzień był dniem uroczystości na okręcie, po koncercie nastąpił bowiem obiad z najrozmaitszemi toastami. Między innemi mówca koncertowy wniósł bardzo uroczysty toast na cześć kapitana Kennedy. Mówca przypomniał że winniśmy życie nasze i spokój naszych rodzin dzielnemu kapitanowi; gdyby nie on bowiem, góry lodowe pogrążyłyby nas niezawodnie w otchłań morską, poczém porównał Bogu duszę winnego kapitana do rozmaitych bohatérów starożytności, a w końcu wyraził opinię, że zgromadzone lady i dżentlemanowie uznają zapewne za słuszne i sprawiedliwe wykrzyknąć po trzykroć na cześć naszego kapitana: „hip! hip! hourra!“ Zgromadzone lady i gentlemanowie uznali to za słuszne i przyzwoite, poczém nastąpiły okrzyki tak przeraźliwe, jak gdyby na statku zdarzył się pożar!

Poczciwego kapitana toast ten zaskoczył nader niespodziewanie, w téj chwili bowiem właśnie zapychał usta olbrzymim kawałkiem rumsteku; zanim więc przestraszony rozum jego zdołał pojąć wszystkie owe porównania do starożytnych bohatérów i stanąć na wy-

sokości położenia, trzeba było przedewszystkiém skończyć raz z rumstekiem, i połknąć go choćby za jakąkolwiek cenę. Biédny więc bohatér starożytny sponsowiał, oczy wyszły mu z orbit, rumstek utknął w gardle; wreszcie jeszcze z zapełnionemi ustami, oświadczył, że mu jest tak przyjemnie, jak gdyby wypił szklankę groku, że dziękuje wszystkim zgromadzonym, i że przeprasza, jeżeli rumstek był twardy, ale że „kanalije kucharze musieli się upić“ etc. etc.

Po téj wykwintnéj mowie zanucono jeszcze pieśń narodową angielską: „Boże zachowaj królowę!“ — co było dowodem wielkiéj uprzejmości ze strony amerykanów, i obiad się skończył. Nazajutrz z rana dowiedzieliśmy się z tablicy, że tego jeszcze dnia przybijemy do lądu. Na całym okręcie panowała niekłamana radość. Jakoż wszystko zwiastowało blizkość ziemi. Majtkowie przywdzieli nowe kaftany. Okręt cały wymyto starannie, każda jego szrubka błyszczała w słońcu jak złota. Za masztami ulatywały całe stada mew, piszcząc i przewracając w powietrzu koziołki. Spotykamy coraz więcéj okrętów: wielkie parowce, statki żaglowe, łodzie rybackie przesuwają się po cichém i przezroczystém zwierciadle wód, odbijając się w niém z masztami i żaglami. Ostry i zimny wiatr, jaki nieustannie dął na Oceanie, ucichł zupełnie, a twarze nasze całuje teraz słodki i ciepły oddech wiosenny. Woda jest srebrna, powietrze srebrne, spokój i słodycz rozlane wszędzie. Zbliżamy się coraz bardziéj. Nakoniec na zachodnim krańcu widnokręgu, pojawia się wydłużona sinawa chmurka.

— Ląd! ląd!—wołają wszyscy.

Jakoż po małéj chwili, na tle owéj chmurki poczynają się rysować zielone i żółte piaszczyste wybrzeża, lasy masztów, spiętrzone dachy domów, spiczaste wieże kościelne, białe mury: słowem śliczne miasto, jak ongi Wenus, wynurzało się z morskiéj kąpieli coraz dokładniéj i coraz wyraźniéj dla oka. Bywalcy odróżniają już New-York i Hoboken. Wpływamy do portu. Pogoda ciągle równie śliczna; przysiągłbym, że przybyliśmy do kraju wiecznéj wiosny. Na gładkiéj toni czerwone beczki oznaczające mielizny kołyszą się poruszane leciuchnym powiewem. Statek nasz wywiesza znowu potężną flagę angielską i swoję własną, poczém zwalnia bieg i zaledwie sunie się po falach.

Tymczasem od małéj wysepki, obok któréj przepływamy cicho, odrywa się mały, jak łupina orzecha, parowiec, na którym jedzie dwóch dżentlemanów i trzeci może ośmioletni, siedzący tuż obok komina na dachu kajuty. Są to lekarze z kwarantanny. Statek nasz staje. Spuszczają im drabinę, po któréj lekarze wchodzą pomiędzy nas, a tymczasem małoletni dżentleman pokazuje nam z dołu język, i wywiesiwszy go aż po brodę, trzyma tak z pół godziny. Następnie przewraca się na grzbiet, chwyta rękoma za palce u nóg i pozostaje w téj ultra-demokratycznéj pozycyi przez cały czas rewizyi.

Rewizya nie trwa jednak długo, bo na statku niéma nikogo chorego. Lekarze zamieniają parę słów z kapitanem i okrętowym doktorem, potém wykrzykują, „*all right*“ i odpływają napowrót, my zaś ruszamy daléj. Ale po małéj chwili znowu: stój! Teraz komora. Przybywa nowy parowiec, również z dwoma dżentlemanami, ubranemi po cywilnemu, ale ze srebrnemi

blaszkami na piersiach. Są to celnicy. Obaj mają twarze skończonych rzezimieszków; ubrani są przytém w wytarte surduty, brudną bieliznę i pogniecione kapelusze. Młodszy z nich, o popielatéj cerze, kręconych blond włosach, siwych oczach, z których jedno jest szklane i osadzone na skówce sterczącéj mu w kącie oczowym koło nosa, ma minę takiego drapichrusta, że nie powierzyłbym mu dziesięciu centów. Dżentlemani ci schodzą do salonu i rozdają pasażerom kartki, czyli drukowane deklaracye, na których ci ostatni się podpisują. Kto się podpisze, ten tém samém, składa przysięgę że nie wiezie nic zakazanego, rewidują go téż potém w porcie bardzo lekko, ale jeżeli co znajdą karzą bardzo surowo. Gdy przyszła na nas koléj, drapichrust ze skówką w oku podaje memu towarzyszowi kartkę i pyta go o nazwisko.

— Nazywam się tak, a tak! — odpowiada mój towarzysz.

— Jak? jak? — woła śmiejąc się drapichrust — Tschchapischouschki?

Co to jest? Obecni amerykanie wybuchają grubiańskim śmiechem, co nigdy nie zdarzyłoby się w żadnym ucywilizowanym kraju. Porywa nas obydwóch złość.

— Czego te nieucywilizowane zwierzęta pokazują zęby? — woła do mnie głośno po francuzku mój towarzysz.

Niektórzy amerykanie, którzy zrozumieli powyższe słowa, poczynają się wstydzić i wymyślać swoim współziomkom, towarzysz mój zaś zwraca się do nich i pyta, pokazując palcem na zmieszanego drapichrusta:

— Jakże się nazywa to indywiduum?

— *Your name?* — wołają na niego — *your name?* Odpowiada: „Thrysley,“ czy coś podobnego.

— Dobrze więc — mówi mój towarzysz — powiedzcie temu frantowi, że gdyby w Europie kota ktoś tak nazwał, toby trzy dni miauczał.

— *All right! all right!* wołają uradowani obecni.

Wkrótce potém zbliżył się ku nam jakiś poważny dżentleman o siwiejącéj brodzie i oliwkowéj cerze, i oświadczył nam że jeśli chcemy, to on postara się przez swoje stosunki, aby ów grubiański celnik został wypędzony. Nie żądaliśmy tego wcale, oświadczyliśmy jednak swoje zdziwienie, że w kraju mającym pretensyą do cywilizacyi, mogą się tak ludzie zachowywać.

— Cóż panowie chcecie? — odpowiedział dżentleman. — Pod względem uobyczajenia, nawet wyższe nasze klassy zostają daleko jeszcze za Europą. Zresztą od czasu jak republikanie z naszym kochanym prezydentem utrzymują się przy władzy, wszystkie posady urzędowe obejmują podobne indywidua, które raczéj powinny siedzieć za kratą. Mamy jednak nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

Tymczasem wpłynęliśmy do bloku, w który okręt nasz wsunął się, jak w pochwę i wysiedliśmy do wielkiego drewnianego budynku, w którym sprawdzają deklaracye, czyli rewidują rzeczy. Nowy jakiś celnik zbliżył się do nas i chciał otwierać nasze kufry, ale uwolniliśmy się od tego, tak jak widzieliśmy, że uwalniają się wszyscy, to jest za pomocą dwóch dolarów wsuniętych w rękę celnika. Wolny amerykański obywatel nietylko przyjął łapówkę, ale pomógł jeszcze włożyć nasze rzeczy na fiakra; słowem, w tym kraju

obywatelska prawość i cnota okazały się zaraz na wstępie dobrą względem dolara koczotką. Ale indykowi wszystko jedno z jakim sosem ma być upieczony, gdy zaś zapytany o to, odpowiedział: że wcale sobie nie życzy być upieczony; odpowiedziano mu kwaśno: „wychodzisz z kwestyi!“ Otóż nie chcę naśladować tego indyka i ażeby nie wychodzić z kwestyi, powiem tylko że zaraz na drugim kroku w New-Yorku obdarł nas woźnica; dalszemi zaś miały się opiekować hotele.

Miasto, które na pierwszy rzut oka z morza zarysowywało się tak majestatycznie i wdzięcznie, widziane z bliska nie zachwyciło mnie wcale. Pobrzeże portu brudne, między drewnianemi budynkami nie masz bruków; wszędzie leżą kupy śmieci; doki drewniane połyskujące brudną wodą, ludność zaś, jak zwykle ludność portowa, wygląda jakby przed chwilą urwała się od szubienicy. Takie było pierwsze moje wrażenie, ale zaledwo zdążyłem rzucić na okół okiem, fiakr potoczył się ulicą. Ściemniało się. Wjechaliśmy na sławną Broadway: wystawy sklepowe biły łuną gazowego światła, czarna i biała ludność tłoczyła się na chodnikach, szeregi latarni ginęły w oddaleniu. Wreszcie fiakr stanął, wysiedliśmy i po chwili znaleźliśmy się w białym marmurowym przedsionku hotelu, ubranym w kwiaty, dywany, jaśniejącym tysiącami świateł. Tu mieliśmy zatrzymać się kilka dni, ażeby odpocząć i nabrać sił do nowéj podróży, któréj kres miał być aż u fal Oceanu Spokojnego.

III.

Marmury, bronzy, dywany, zwierciadła: oto hotele amerykańskie. W New-Yorku są to, obok banków i poczty, najpiękniejsze budynki miejskie. Prócz numerów przeznaczonych do najęcia, w każdym hotelu znajduje się mnóstwo ogromnych sal, gdzie goście mogą przyjmować swoich odwiedzających i buduarów urządzonych z książęcym przepychem, przeznaczonych dla kobiét. *Central Hotel*, w którym zatrzymałem się na parę dni, jestto, pod względem ogromu, prawdziwe małe miasteczko, prócz gości bowiem stałych i nocowych, mnóstwo osób z miasta zbiera się wieczorem w jego wspaniałym przedsionku dla czytania gazet, spotkania się ze znajomymi, palenia lub żucia tytuniu, wreszcie dla pokołysania się na jedném z biegunowych krzeseł, których tu mnóstwo.

Leży on na ulicy Broadway, największéj i najruchliwszéj ulicy New-Yorku, odznaczającéj się szczególniéj swoją długością. Wieczorem, gdym tu przybył, zwiedzać już miasta z powodu spóźnionéj pory nie mogłem, musiałem więc zadowolić się tylko zwiedzeniem

hotelu, poczém wraz z towarzyszami udaliśmy się do *dining room'u*, t. j. do sali jadalnéj.

Jestto istotnie ogromna sala, mogąca pomieścić kilkaset osób, urządzona z przepychem, ale bez smaku. Słupy podpierające sklepienie są marmurowe, ale zbyt grube i nizkie, pułap zaciężki, wejście zaś jak do stodoły. Ogromne drzwi podwójne z okrągłym wierzchem, przypominają zupełnie wierzeje.

Trzy razy dziennie schodzą się tu wszyscy mieszkańcy hotelu. Za jedzenie w hotelach amerykańskich nie płaci się osobno, ale koszta jego wliczone są w cenę numeru. Każdy z gości wynajmujących numera, ma tu prawo przyjść pięć razy dziennie i jeść co mu się podoba bez żadnéj osobnéj dopłaty, większość jednak schodzi się tylko na brekfast, lunch i obiad wieczorny. Przy stole goście rozmawiają ze sobą jak znajomi, co jednak nie pociąga za sobą bliższych stosunków. Po skończonym posiłku wstają i rozchodzą się, gdzie kto chce, nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo, jak również nie czekając jedni na drugich. Mnóstwo kobiét przychodzi bez mężczyzn, mnóstwo bowiem nawet panien podróżuje bez żadnéj opieki. Wszystkie stroją się tak, jak nigdzie w Europie, wszystkie przychodzą bez kapeluszów; dlatego obiady, zwłaszcza wieczorem, wyglądają jakby obiady proszone i nader ceremonialne. Służbie nie daje się tu nic. Składa się ona we wszystkich prawie hotelach wyłącznie z murzynów. Należy to do mody, a przytem kolorowa posługa zapewne taniéj kosztuje od białéj. Przy każdym stole stoi dwóch lub trzech murzynów, o głowach podobnych do głów czarnych baranów. Są to ludzie bardzo grzeczni, usługują szybko i wprawnie, wyglądają zaś we frakach

i białych krawatach, jeżeli nie pięknie, to przynajmniéj nader oryginalnie. Zresztą usługa tu nie jest trudna. Według zwyczajów amerykańskich, przed każdym z gości stawiają tu mnóstwo porcelanowych miseczek ze wszelkiego rodzaju jadłem odrazu. Masz przed sobą odrazu zupę, mięsiwa, ryby, jaja, pudingi, pomidory, kartofle, lody, poziomki, jabłka, migdały, kawę, słowem niezliczoną ilość dań w małych dozach. Zaczynaj zkąd chcesz, jédz co chcesz, nikt tu na to nie patrzy. Murzyn stoi nad tobą jak kat nad dobrą duszą i ustawicznie dolewa ci wody z lodem w szklankę, skoro ją tylko wypijesz, odpowiadając niezmiennem: „yes sir!“ na wszystkie twoje żądania. Skutkiem tego systemu w jedzeniu, wszystko tu jada się zimne, skrzepłe, zdębiałe, nawet w najlepszych restauracyach. Kuchnia amerykańska jest najniegodziwszą kuchnią na świecie. Nie chodzi jéj o to wcale, żebyś zjadł zdrowo i dobrze, ale o to, byś zjadł jak najprędzéj i mógł wrócić do *business:* wszystko więc obliczone jest na łap cap i tylko wieczorne obiady podają ci cokolwiek staranniéj, wieczorem bowiem wszelki busiy kończy się wraz z uderzeniem piątéj godziny.

Pierwszego dnia przyjazdu, zamiast siąść w *reading roomie* i zacząć pisać studya o obyczajach amerykańskich, jak to uczyniła pewna korrespondentka do jednego z pism warszawskich, która odrazu przez cudowną prawdziwie intuicyę, obyczaje te zgłębić potrafiła, wyszedłem na miasto przypatrzéć się choćby przelotnie wszystkiemu. Prawda, że w nocy nie doznałem tak silnych wrażeń, jak rzeczona korrespondentka, któréj wystrzały rewolwerowe strzelających sobie we łby amerykanów, oka zmrużyć nie dały, nietylko pierwszéj,

ale i następnych nocy jéj pobytu w Stanach Zjednoczonych. Co do mnie spałem tak spokojnie, że mimowoli przychodzi mi wątpić, aby te ustawiczne nocne odgłosy, które słyszała korrespondentka, miały istotnie tak tragiczne znaczenie; nie przesądzając jednak ostatecznie téj kwestyi, odrazu wyszedłem na Broadway i puściłem się na miasto.

New-York jednak nietylko nie zachwycił mnie, ale rozczarował potężnie. Każde z europejskich miast ma jakąś swoją osobliwość, którą istotnie widzieć warto: Paryż ma ich tysiące, Londyn również, Wiedeń ma swego Stefana, Berlin swego Kaulbacha, Bruksella Wirtza i św. Gudullę, Wenecya swoje kanały, Rzym papieża i Rzym starożytny, Kolonia tum najpierwszy na świecie, Kraków Wawel i Matejkę, Warszawa dobre chęci, któremi jest brukowaną, wielkich ludzi do małych interesów, najdłuższe na świecie języki, Saski ogród i dobro społeczne w kształcie dziurawego orzecha, na którym świszcze kto chce i jak mu się podoba. Wszędzie jest jakaś tradycya, wszędzie z murów patrzy na ciebie, jeśli nie czterdzieści wieków, jak było raz powiedziane na pewnym obiedzie dla jednego z jubilatów warszawskich, to przynajmniéj kilkanaście: wszędzie widzisz historyą zakrzepłą w mur i kamień: wszędzie pewną odrębność narodową, wszędzie jakiś wielki ideał, którego początek w mrokach przeszłości. W New-Yorku niéma tego wszystkiego. Główne ciekawości miasta, to hotele i banki, czyli inaczéj mówiąc, niéma tu żadnych pamiątek historycznych, żadnych ciekawości. Historyi Stanów Zjednoczonych szukaj w Waszyngtonie; w New-Yorku masz tylko kupców. Handel, handel i handel, business i business, oto co

widzisz od rana do wieczora, o czém ustawicznie słyszysz i czytasz. Na rzut oka, nie jest to miasto zamieszkane przez taki a taki naród, ale wielki zbiór kupców, przemysłowców, bankierów, urzędników, kosmopolityczny zarwaniec, który imponuje ci ogromem, ruchliwością, przemysłową cywilizacyą, ale nuży cię jednostronnością społecznego życia, nie wytwarzającego nic więcéj prócz pieniędzy. Chcąc opisać to miasto, nie wiedzieć od czego zacząć, gdzie zaczepić myśl i oko; jedna ulica podobna do drugiéj, wszędzie ruch, gwar i ścisk, tłumy powozów i omnibusów, mieszkańcy śpieszą się z gorączką na twarzy i w ruchach, jak gdyby mieli pomieszanie zmysłów. Pośpiech ten widzisz wszędzie: w budowie domów, ulic, chodników. Jedno zrobione i doprowadzone do możliwéj doskonałości, drugie zaledwie poczęte. Oto np. Broadway, domy tu podobne do londyńskich, obok hotelu zbudowanego z białego marmuru od dachu aż do fundamentów, stają czerwone ceglane domy, tam daléj plac pusty ze znakami pogorzeliska; wczoraj tam był pożar, dziś postawią nowy gmach, a jak się ten jutro spali, to pojutrze znów będzie inny. Tam oto kościół, w którym ludzie chwalą Pana Boga, becząc jak cielęta, w innym znów drżą, w innym modlą się po katolicku. Ale kościoły te zamknięte, bo to dzień powszedni, więc business nie pozwala się modlić. Zresztą kościoły nie odznaczają się ani wielkością, ani starożytnością, rzekłbyś także zbudowane naprędce. Koło kościołów małe cmentarzyki, które tu więcéj niż gdzieindziéj są miejscami wypoczynku; daléj sklepy pogrzebowe, businessy w trumnach i nagrobkach, daléj znowu ulica. Wystawy sklepowe nadpodziw świetne i bogate, ale urządzone bez smaku. Na chodni-

kach przed lustrzanemi szybami sklepów, leżą kupy śmieci. Miasto zabłocone, brudne, źle wybrukowane; miejscami stoją małe kałuże czarnego błota, które nie może spłynąć przez zatkane ścieki ku morzu. Mnóstwo papierków, szczątków z gazet, podeptanych skórek z jabłek i pomarańcz, leży wszędzie, tak na chodnikach jak i na środku ulicy. Między pysznemi powozami, omnibusami, jeżdżą wozy ładowne ogromnemi pakami towarów lub przechadzają się świnie, niewiadomo do kogo należące, z powystrzępianemi przez psy uszami. Świń tu mnóstwo. „Oto jedna z nich, mówi pan Dickens w swym opisie New-Yorku—patrzcie, jak przedziera się między powozami i przechodzącymi. Ma jedno ucho, drugie oberwały psy w zaciętéj walce na placu, gdzie okazała nadzwyczajne męztwo. Szanowna ta świnia postępuje zupełnie tak, jak przystoi na dorzecznego człowieka, z liczby tych, co to żyją tak zwaném traktyerskiém życiem. Co rano w pewnéj godzinie wychodzi z domu, wędruje po mieście, jé co się trafi, a wieczorem akuratnie staje przed bramą swego domu. Jest niedbałą, leniwą, wysoko ceni swą niepodległość, nienawidzi wszelkiego przymusu i jak z równą obchodzi się z każdą inną świnią i t. p.“

Teraz jest zapewne już mniéj tych stworzeń niż było za czasów pana Dickensa, ale i teraz spotkać je można więcéj niż w dziesięciu europejskich miastach, zwłaszcza w dolnych ulicach New-Yorku. Krótko mówiąc, nie widziałem jak żyję miasta nieporządniejszego i z góry zapowiadam, że wszelkie usiłowania w tym kierunku municypalności warszawskiéj nie przyprowadzą do żadnego rezultatu; New-York będzie miał zawsze pierwszeństwo, choćby ze względu na swoje położenie portowe.

A jednak żadne może z miast europejskich nie wydaje tyle na utrzymanie porządku i na potrzeby miasta, ile New-York; ale na nieszczęście jak inne dykasterye urzędowe, tak i municypalność tutejsza składa się z tak biegłych w zawodzie swym złodziejów, że wobec nadużyć ich bledną wszelkie europejskie grynderstwa. Jeżeli np. w jakiém z miast europejskich z oficyalnego ratusza rodzi się prywatne ratusiątko, to tu oficyalna mysz musi urodzić prywatną górę, choćby sama mysz miała niewytrzymać porodu. Grosz publiczny i dobro publiczne są tu niczém więcéj, jak tylko tłustością, którą smarują sobie buty ci, co chcą suchą nogą przejść przez błoto.

Późniéj będę jeszcze miał niejednokrotnie sposobność powrócić do podobnego rodzaju nadużyć, jako téż i do przyczyn, które te nadużycia wywołują, teraz zaś wracam do opisu miasta. Jesteśmy zawsze jeszcze na Broadway. Niedaleko City Hall wznosi się wspaniały gmach pocztowy, urządzony jak nigdzie na świecie. Każdy większy sklep, każda kompania, każdy nawet prywatny zamożniejszy mieszkaniec ma tu swoją osobną skrzynkę oznaczoną pewnym numerem, do któréj zagląda codziennie znajdując listy, przesyłki, a nawet i pieniądze. Podobne urządzenia istnieją tu i w bankach. Za pewną roczną opłatą dostaje się tu wpuszczaną w granit żelazną szufladę, zamykaną na nader skomplikowany zamek, w któréj można przechowywać najbezpieczniéj w świecie papiéry, złoto, kosztowności i tym podobne. Przechowujący przychodzi kiedy chce, wyjmuje ile chce, dokłada ile chce, odcina kupony wtedy, kiedy mu się podoba, słowem trzymając swoje

pieniądze w banku, jest ich panem każdéj chwili. O złodzieja strzegą tu naprzód zamki, potém kraty, a na koniec i straże. Ognia zaś gmachy te massiw murowane obawiać się nie mają potrzeby.

Niedaleko City Hall, w kamienicach otaczającyc *square*, czyli piękny wirydarz, mieszczą się redakcye takich potężnych dzienników jak: Herald, Tribune Times i Staats-Zeitung. Wszystkie te dzienniki odbijają setki tysięcy egzemplarzy dziennie z pomocą maszyn, które nie mają równych sobie w całéj Europie. Herald, własność rodziny Bennetów, uważa się dotychczas za najpierwszy dziennik amerykański. Przynosi on miliony dolarów rocznie właścicielom, zatrudnia tysiące ludzi. Redaktorowie jego uważani są za najpierwsze potęgi w kraju, z któremi tak rząd, jak i pan prezydent, bardzo rachować się muszą. Niezmiernie liczne linie telegrafów przynoszą tu codziennie wiadomości z całego świata i całych Stanów Zjednoczonych. Częstokroć się zdarza, że o sprawach nawet europejskich nietylko Herald, ale i Tribune i Times, który dawno wyścignął angielskiego, mają wiadomości i wcześniejsze i dokładniejsze od dzienników europejskich.

Całe armie reporterów opłacanych na wagę złota i rozproszonych po całym świecie, czuwają, żeby, nic godnego uwagi w świecie nie uszło ich wiadomości; ale też nakład tygodniowy piérwszego lepszego z tych dzienników, przenosi nakład roczny wszystkich np. razem wziętych pism warszawskich.

Między reporterami Heralda znajdują się takie znakomitości, jak np. Stanley, który teraz kosztem redakcyi przebiega wnętrze Afryki. Amerykanie z dumą [illegible]wią, że wielu nawet ministrów europejskich prze-

syła w charakterze reporterów wiadomości polityczne do ich dzienników. Oczywiście jestto bajka, dowodząca jednak na jak wielką skalę prowadzą się tu wydawnictwa polityczne.

A jednak pod względem obrobienia literackiego, dzienniki te ustępują europejskim. Talent pisarski nie odgrywa tu dotychczas tak wielkiéj roli, jak w Europie. W całéj prassie peryodycznéj, przeważa charakter informacyjny nad literackim, pośpiech i dokładność w otrzymaniu wiadomości uważa się tu za rzecz najważniejszą; dlatego dzienniki są raczéj agencyami niż ogniskami skupiającemi siły literackie. Osobistości giną tu w ogólnym organizmie dziennika, tak że pisarze mają niejako znaczenie komisantów, których skutki działalności są zbiorowo wzięte ogromne, ale których imiona rzadko pod względem czysto literackim wybić się na wierzch mogą.

Ta przewaga charakteru politycznego i informacyjnego nad literackim, stanowi poniekąd główną różnicę między prassą amerykańską a europejską. Odpowiada ona dokładnie charakterowi i usposobieniom ludu amerykańskiego, który w dzienniku szuka pozytywnych, związanych z interesami politycznemi, przemysłowemi i handlowemi wiadomości, nie zaś stylistycznéj okrasy, dowcipu lub pisarskiego polotu.

Z drugiéj jednak strony, z téj jednostronności tak ludu jak i jego organów wypływa to, że kiedy u nas np. prenumerowanie dziennika odpowiada więcéj potrzebom czysto umysłowym i uważa się poniekąd za zbytek, bez którego większość mieszkańców po bohatérsku obchodzić się umié, w Ameryce dziennik stanowi taką realną potrzebę każdego człowieka, jak np.

chleb. Tém się tłumaczą owe miliony czytelników i tysiące pism wychodzących nietylko w większych miastach, ale częstokroć nawet we wczoraj założonych osadach.

Z redakcyi dzienników przejdźmy teraz na *Wall-Street* (Uol-strit), ulicę niewielką, dość ciasną, ale może jeszcze od Broadway ważniejszą. Jest to ulica bankierów. Od samego rana ludniéj na niéj niż na Broadway. Tu mieszczą się skarby, za które możnaby zakupić całe kraje. Rozmaite domy handlowe robią tu rocznie tranzakcyi na sto siedmdziesiąt miliardów franków, o któréjto summie dopiero wówczas będziemy mieli jakie takie pojęcie, gdy przypomnimy sobie, że pięcioma tylko miliardami, Bismarck miał nadzieję zrujnować nazawsze Francyą. Napozór jednak, nic nie zdradza ważności téj dzielnicy, chyba tysiące ludzi, zgorączkowane ich twarze i pośpiech, z jakim witają się, mówią i żegnają, wskazuje, iż dzieją się tu rzeczy ważne, dla nich zaś najważniejsze na świecie. Tu także mieści się *stock exchange* czyli giełda albo jeszcze jeżeli kto chce: szpital waryatów cierpiących na *febris aurea*. Spokojnego widza strach przejmuje na widok tego, co się tu dzieje. Gwar tu, wrzask i wrzawa taka, jakby za chwilę miało przyjść do bitwy. Widzisz zaczerwienione twarze, słyszysz ochrypłe głosy. Ludzie przyskakują do siebie i krzycząc jakby w napadzie maligny, wytrząsają sobie pięściami przed oczyma. Jeden stara się przekrzyczeć drugiego. Sądzisz, że tłumy te ogarnęła naraz niewytłumaczona wściekłość, pod wpływem któréj natychmiast poczną się mordować wzajemnie. I któżby domyślił się, że jest to nic więcéj jak tylko sposób porozumienia się handlowego, a owe krzyki i wywijania pięściami służą tylko do tego, żeby

się dać lepiéj zrozumieć. Gdy wreszcie ozwie się dzwonek prezesa na znak, że obroty się kończą, po niejakim czasie ciż sami ludzie wychodzą spokojnie, trzymając się wzajemnie pod ręce.

Prócz banków, prócz stock-exchange, gold-roomu (izby złotéj) i innych giełd: zbożowych, wełnianych i bawełnianych, na całéj Wall-Street nie masz zresztą nic godnego widzenia. Schodz my teraz trochę na dół ku ulicom portowym. Ruch tu mniejszy, nieporządek jeszcze większy, błoto częstokroć nie pozwala przejść przez ulicę. Między ludnością spotykamy coraz więcéj murzynów. Są to furmani, wyrobnicy, tragarze towarów i t. p. Ubrani są po największéj części tylko w spodnie i flanelowe koszule. Wełniste głowy ich, nie znające grzebienia ani nożyczek, wyglądają jak kłęby czarnéj wełny. Niektórzy z nich pracują, inni stoją przed domami z rękoma w kieszeniach, nic nie robiąc, paląc krótkie fajki, poruszając szczękami wypchanemi tytuniem i gapiąc się na przechodzących. Wyglądają wszyscy brzydko i niechlujnie. Kobiety jeszcze brzydsze, różnią się zresztą od mężczyzn, nie noszących zarostu, więcéj ubiorem jak twarzą; mają bowiem takież same spłaszczone nosy, takież same krótkie wełniste włosy i czarną skórę. Czarne owe ladies również są brudne, jak i ich gentlemanowie i na głowach nie noszą kapeluszów, a natomiast noszą wszelkiego rodzaju pakunki, towary, naczynia, a nawet i zapasy żywności. Tam gdzie biały człowiek posługuje się plecami i rękoma, czarny najczęściéj używa głowy, która widocznie stanowi najtwardszą część jego organizmu. Widziałem murzynkę, która kupiwszy pomarańczę, natychmiast zamiast nieść w ręku, umieściła

ją w czuprynie. Pomarańcza chwiała się wprawdzie cokolwiek na prawo i na lewo, ale otoczona tęgą pokręconą wełną spaść nie mogła. Widząc, że patrzę na jéj głowę, czarna miss zaczęła podskakiwać wraz z pomarańczą, nakoniec wykrzyknąwszy: „all right sir!“ ukazała mi szereg białych wielkich zębów i oddaliła się bardzo zadowolona ze swojéj zręczności.

Obok murzynów, w tych dzielnicach miasta tulą się także w mizernych, brudnych nad wszelki wyraz i ciasnych domach, biédni emigranci, którzy, zwabieni wieścią o łatwym zarobku w Ameryce, przyjechali tu, mając zaledwie czém opłacić przewóz za Ocean. Zarobek w Ameryce istotnie nader jest łatwy, ale w głębi kraju, na dalekim zachodzie; w samym zaś New-Yorku panuje przeludnienie i dlatego najbiedniejsi właśnie z emigrantów, którzy nie mają czém opłacić dalszéj, bardzo kosztownéj kolejami podróży, mrą z głodu, chłodu i wszelkiéj nędzy. Dzielnice te przypomniały mi zaułki londyńskie, z tą różnicą, że tu stokroć jeszcze brudniéj, a ludność, stanowiąca szumowiny proletaryatu wszelkich narodów, gorzéj jeszcze wygląda od londyńskiéj. Wszelakie choroby epidemiczne i nieepidemiczne dziesiątkują ciągle tych nieszczęśliwych, którzy, gdyby dostali się do Stanów zachodnich, mało zaludnionych, albo miejscami wcale nie zaludnionych, wytworzyliby ludność roboczą, również dla państwa jak i dla cywilizacyi pożyteczną.

Jedynym ratunkiem dla tych ludzi jest zaciąganie się do wojska, ale ratunek to bardzo niedostateczny, najprzód dlatego, że cała armia Stanów Zjednoczonych liczy tylko dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy, a powtóre, że do wojska mogą się zaciągać tylko ludzie młodzi,

nie obarczeni rodziną. Większość więc żyje bez stałego zarobku, dorywczo, patrząc z zawiścią, a zapewne i nienawiścią na milionerów, którzy już sami nie mogą porachować swych majątków. Taki stan rzeczy liczne wywołuje między tym proletaryatem przestępstwa i zbrodnie, spełniane już to dla chęci chwilowego zysku, już wreszcie, jak mnie zapewniano, z tém tylko wyrachowaniem, żeby się dostać do więzienia, w którém każdy z przestępców ma przynajmniéj życie i pożywienie zapewnione.

Znakomitą większość owych nieszczęśliwych stanowią Irlandczycy, których w całych Stanach ma się do dziesięciu milionów znajdować. Łatwo ich poznać na pierwszy rzut oka, jużto po ubiorach, a raczéj po szczątkach narodowego ubioru, już wreszcie po niebieskich oczach, pięknych blond lub ciemnych włosach, silnéj budowie ciała, żywości czysto-gallijskiéj w mowie i ruchach, któreto cechy tak silnie odróżniają tę rassę od anglo-saksońskiéj, że prawie omylić się nigdy niepodobna. Oddając się pijaństwu, grom i wszelkiéj rozpuście, przy wrodzonych nader żywych namiętnościach, ludzie ci popełnialiby zapewne daleko więcéj jeszcze występków, gdyby nie religijność, która ich nigdy nie opuszcza. Są wszyscy niezmiernie gorliwymi katolikami i dla przyszłych rozkoszy niebieskich znoszą z cierpliwością wszelakie ziemskie niedole i umartwienia.

W Stanach dalszych, zachodnich, jest ich także mnóstwo, ale tam nie cierpią takiéj nędzy, jak w New-Yorku. Niektórzy dorobili się niezawisłego bytu, inni wcale pokaźnych fortun, inni nawet milionów. Są solidarni aż do zbudowania, pomagają jedni drugim, trzymają się zawsze razem, głosują razem, t. j. tak jak

im księża wskażą; nie zapominają o swéj narodowości i metropolii, kochają Irlandyą w dziesiątém nawet pokoleniu, nienawidzą anglików i stanowią żywioł, z którym Ameryka bardzo się już liczyć musi, a w przyszłości jeszcze bardziéj liczyć się będzie musiała.

Powodem tego jest nadzwyczaj szybki rozrost téj ludności. Irlandczycy płodni są jak króliki, amerykanie zaś rodowici przeciwnie. Podczas kiedy w stadłach amerykańskich dwoje, a najwięcéj troje dzieci, stanowi największe przeciętne maximum, pobożne małżeństwa irlandzkie, uważające dzieci za szczególniejsze błogosławieństwo Boże, wydają ich na świat jak maku: co rok prorok, jak mówi przysłowie, a tych *roków* zawsze jest bez końca.

Owa nadzwyczajna mnożność pożyteczna jest dotychczas dla Ameryki, któréj obszary w interesie państwa wymagają zaludnienia. W ogóle irlandczycy grają już ważną rolę w Stanach Zjednoczonych, a przytém są Stanom potrzebni i pożyteczni ze względów, o których sami amerykanie może nie wiedzą, a wiedząc nawet—nie cenią. Oto wnoszą pewien pierwiastek idealny w to na wskroś zmateryalizowane społeczeństwo, utrzymując przez to szalę owych pierwiastków idealnych i materyalnych, w jakiéj takiéj pożądanéj równowadze. Widzę jak w téj chwili uśmiechają się koledzy moi pozytywiści, nie przestaję jednak utrzymywać tego co powiedziałem. Zbytnia przewaga usposobień idealnych jest dla danego społeczeństwa szkodliwa: wytwarza ona marzycielstwo, polityczną donkiszoteryą, wyglądanie niebieskiéj interwencyi, wzdychanie w zimie za wiosną, próżniactwo, ubóstwo i słabość. Wszystko to prawda niezaprzeczona, ale również prawdą

jest, że wszelka jednostronność jest szkodliwą. Jeżeli chcecie narodu bez wszelkich pierwiastków idealnych, oto macie chińczyków. Tam realizm doszedł do najwyższego rozwoju i wsiąknął tak dalece w usposobienia narodowe, że aż zatamował wszelki postęp i wszelkie wytwarzanie się potężnych idei, za które umieją ginąć i giną narody europejskie. Chińczycy zabiwszy w sobie narodową fantazyę, zabili zarazem wszelką inicyatywę, nietylko już w rzeczach społecznych, ale i w wynalazkach, naukach, sztukach: słowem, zatracili w sobie twórczość wszelką, któréj matką jest wyobraźnia.

Być może wreszcie, że natura ich skłonniejszą była do takiego kierunku w jakim poszli; niemniéj jednak wrodzone skłonności nie stanowią jeszcze wszystkiego; jak bowiem pierwotne skłonności mogą wpływać na rodzaj cywilizacyi, tak następnie rodzaj téjże cywilizacyi oddziaływa na nie także w sposób dodatni lub ujemny. Owóż, mojém zdaniem, społeczeństwo amerykańskie, mimo wszystkich swych prawdziwie wielkich przymiotów, wytwarza także cywilizacyę nader jednostronną, charakter zaś irlandczyków stanowi w niéj równoważnik, zarówno dla dobra całego tego społeczeństwa konieczny jak i pożyteczny.

Mają jednak i irlandczycy swoje złe strony. Leniwsi są, zwłaszcza w pierwszém pokoleniu, od amerykanów bez porównania, burzliwsi, pochopni do politycznych awantur; stanowią zatém żywioł, zwłaszcza w Rzeczypospolitéj, bardzo niebezpieczny. Pozostając przytém bez żadnego wyjątku w ręku księży, mogą wytworzyć z czasem potężną partyę klerykalną, która już dlatego w każdém państwie jest szkodliwą, że swoje wyłączne cele za najważniejsze uważa; w Stanach

Zjednoczonych zaś, może przytém z upływem lat popsuć ową harmonię, w jakiéj żyją dotychczas rozmaite wyznania religijne.

Ale wróćmy jeszcze raz do New-Yorku. Jakkolwiek miasto to, ze względu na brak wszelkich pamiątek historycznych, wspaniałych budowli, kościołów, galeryi, muzeów, wreszcie przez swój nieporządek i brak smaku we wszystkiém, niesympatyczne czyni wrażenie, ma jednak i swe strony dodatnie, z których pierwszą i najgłówniejszą jest olbrzymi rozwój cywilizacyi przemysłowéj, przedsiębiorczość i energia mieszkańców, dowodząca niesłychanéj żywotności tego młodego społeczeństwa.

Ów nadzwyczajny rozrost miasta, zarówno jak i wszech-światowe już dziś jego znaczenie dla handlu, objaśnia się nie samém tylko jego położeniem geograficznem. Rio-Janeiro i Buenos-Ayres równie, jeżeli nie lepiéj jeszcze pod względem handlowym są położone, a jednak ani w dziesiątéj części nie mają tego znaczenia, tylko z tego powodu, że ludność ich, pod względem przedsiębierczości i energii, nie może iść w porównanie z Yankesami. Dziś już New-York wraz z Brooklin i Jersey-City liczy przeszło milion mieszkańców, jeżeli zaś nadzwyczajne jakieś okoliczności nie staną dalszemu jego rozwojowi na przeszkodzie, za pięćdziesiąt lat będzie większy niż Londyn i Paryż razem wzięte.

Dwa dni pobytu nie starczyło mi oczywiście na dokładne zwiedzenie tego olbrzymiego grodu, który sam siebie *empire city* nazywa. Poznałem jednak jego części najważniejsze, których poznanie témbardziéj wystarczać powinno, że, jak mnie zapewniano, inne nie różnią się

od nich niczém więcéj, chyba tylko większém jeszcze zaniedbaniem i większym nieporządkiem, dochodzącym do tego stopnia, że na ulicach leżą częstokroć zdechłe zwierzęta, na wzdętych ciałach których, korzystający ze wszystkiego przemysłowcy, przyklejają kartki z anonsami. Jestto szczegół nader charakterystyczny, którego sam wprawdzie nie widziałem, ale o którym czytałem i słyszałem opowiadania naocznych świadków.

Z zakładów publicznych miejskich zasługuje jeszcze na wzmiankę *Central Park*, leżący na Broadway, a będący tém dla New-Yorku, czém lasek Buloński dla Paryża. Jestto park ani brzydszy, ani piękniejszy od innych parków miejskich, nie może jednak, mojém zdaniem, iść w porównanie z Hyde-Parkiem londyńskim, ani nawet z Thiergartenem berlińskim. Zresztą mniéj od tych obydwóch jest odwiedzany, albowiem mieszkańcy w dzień powszedni zajęci są *businessem*, w niedzielę zaś, według amerykańskiego zwyczaju, siedzą po domach.

Pomiędzy kościołami, nie licząc kościołów Brooklinu, który tu miastem kościołów nazywają, nie masz ani jednego, któryby na bliższą zasługiwał uwagę. Najznakomitszy jest *Trinity Church*, założony jeszcze przez anglików. Jestto dosyć obszerny budynek z wysokiemi śpiczastemi wieżami, w stylu nie czysto gotyckim, ale do gotyckiego zbliżonym. Otacza go mały cmentarz, na którym dziś już ludzi nie chowają, ale na którym znajdują się groby kilku znakomitości amerykańskich.

Teatru narodowego amerykańskiego, w wyższém słowa tego znaczeniu, niéma wcale ani w New-Yorku, ani, o ile wiem, w całéj Ameryce. Teatra istnieją

wprawdzie i nawet z wszelkim przepychem urządzone, ale grają w nich i śpiewają po największéj części zagraniczni artyści, europejskie znakomitości opłacone na wagę złota. Oczywiście sztuki przedstawiane są również pióra europejskich pisarzy, a jeżeli czasem trafiają się i oryginalne amerykańskie sztuki, stoją one niżéj wszelkiéj krytyki, i uchodzić mogą zaledwie za niezgrabne początki, które i na przyszłość nie rokują nic wielkiego.

Jeżeli z tego co powiedziałem dotychczas wypada, że New-York, jako miasto, ujemne raczéj niż dodatnie czyni wrażenie, nadmienić teraz wypada, że mieszkańcy jego przedstawiają się jeszcze mniéj sympatycznie. Mają oni wprawdzie wiele niepoślednich przymiotów, ale te dopiéro po bliższém poznaniu ocenić można; na pierwszy rzut oka uderza przedewszystkiém ich brak ogłady, gburowatość i niektóre dzikie przyzwyczajenia, rażące nadzwyczaj każdego świeżego z za Oceanu przybysza. Oczywiście, klassy najwyższe, ludzie bogaci, którzy podróżowali lub znaczną część życia spędzili w Europie, nie różnią się niczém od odpowiednich klass europejskich, ale ogół publiczności, tak jak on się przedstawia odrazu badaczowi, odznacza się takim brakiem ogłady i delikatności w obyczajach, że nawet najzapaleńsi wielbiciele amerykanów zgodzić się muszą iż naród rzeczony pod tym względem niżéj stoi od każdego innego w Europie. Obyczaje owe i przyzwyczajenia, o których teraz będę pisał, poznałem nie przez owe dwa dni, które spędziłem w New-Yorku ale po dłuższém z amerykanami pożyciu.

Przedewszystkiém tedy cudzoziemiec przybyły do Stanów, napróżnoby szukał téj uprzejmości i gotowość

do wskazówek i objaśnień, z jaką spotyka się np. we Francyi. Mieszkaniec Nowego-Yorku wiecznie się spieszy, i zapytany np. o drogę, odpowiada najczęściéj bez namysłu: *O! i domt know* (o! nie wiem), nie dlatego, żeby istotnie nie wiedział, ale że nie chce mu się namyślać i odpowiadać. Grzeczność francuzka jest tu rzeczą zgoła nie znaną, jeżeli zaś nawet trafi się cudzoziemcowi spotkać z pewną uprzejmością, jest ona tak szorstką, tak jakoś niesmaczną, tak pełną gburowatéj poufałości, że mimowoli chce się odpowiedzieć, jak ów szlachcic z pod Radomska: *„plus de confidence que de znajomance!“* Powszechnie jednak o cudzoziemca nikt się tu nie troszczy. Powody tego można nawet łatwo zrozumieć. Paryż i inne miasta europejskie przyzwyczajone są do podróżników bogatych, podróżujących dla własnéj przyjemności i należących najwięcéj do najwyższych klass społecznych. W Ameryce jest co innego. Niezmiernie liczną klassę podróżnych stanowią emigranci biédni, częstokroć z bardzo ciemną przeszłością, sami nakoniec pozbawieni ogłady, i dopytujący się o wszystko celem dopytania się do amerykańskich kieszeni. Z tego powodu rodowity amerykanin patrzy na przyjezdnych z pewną nieufnością, a z drugiéj strony, jeżeli przyjezdny wypadkiem nie jest emigrantem, a jest człowiekiem zamożnym i urodzonym, albo bardzo urodzonym, wówczas patrzy z wysokości swych europejskich pojęć i swego europejskiego znaczenia na owe szorstkie demokratyczne dzieci Ameryki. Wszystko to nie może dodatnio wpływać na uprzejmość w obustronnych stosunkach i opiniach. Jeżeli teraz dodamy jeszcze istotną wrodzoną gburowatość amerykanów,

zrozumiemy łatwo, że zwłaszcza początkowo stosunki z nimi stają się prawie nieznośne.

Wreszcie amerykanie sami wiedzą dobrze o téj gburowatości, niektórzy zwłaszcza oświeceńsi starają się nawet wyleczyć z niéj i siebie i swych braci; większość jednak uważa ją za pewną republikańską i demokratyczną cechę narodową, i skutkiem takiego poglądu, raczéj szczycić się z niéj niż poprawić się jest gotowa.

Jestto równie często spotykany jak i głupowaty objaw miłości własnéj. Tak narody całe jak i pojedyńczy ludzie, przez rozmiłowanie się zbytnie w samych sobie, dochodzą do tego stopnia głupoty, że nawet na wady swoje patrzą przez szkła różowe, jakoby na coś takiego, co szczególniejszy stanowi ich przymiot, którym górują nad innymi. Objaw téj słabości w pojedynczych ludziach, każdemu zaobserwować nader łatwo. Jeżeli pan Jacek może i odważa się wypić odrazu garniec wina, dla ludzi obdarzonych zdrowym rozsądkiem jestto tylko dowód, że pan Jacek jest prosięciem; ale pan Jacek z dumą zawsze wspomina o tych swoich zdolnościach i gotów jest nawet wyzwać na rękę każdego, ktoby mu ich stanowczo zaprzeczał. To uwielbienie nawet ujemnych stron własnych, dochodzi do tego stopnia, że słyszymy często ludzi mówiących: mój paraliż, mój katar żołądka, mój wściekły charakter i t. p. z pewnym odcieniem, nie już pobłażania, ale jak gdyby chluby. Między narodami dzieje się jak wspomniałem podobnie.

Amerykanie pod tym względem nie stanowią wyjątku. Uważają się przytém za najpierwszy naród na świecie; tymczasem większa część wykształceńszych

przybyszów skłonna jest raczéj twierdzić, że w Stanach Zjednoczonych istnieje państwo, ale nie ma narodu w ścisłém europejskiém tego słowa znaczeniu. Według powyższéj opinii, jestto wielki zbiór ludzi wszelkich narodowości, handlujących, sprzedających, pracujących w roli lub przemyśle, urządzonych w wielką spółkę zorganizowanych w pewien kształt państwowy pod takiemi a takiemi prawami, ale pozbawionych wszelkich cech, jakiemi zwykle odznacza się każdy jednolity naród.

Do pewnego stopnia jestto nawet prawda, ale o ile ona jest bezwzględna, nie będę teraz rozstrzygał, chcę bowiem mówić o pewnych poszczególnych zwyczajach, które, jak mam nadzieję, więcéj będą zajmować moich czytelników. W czémże tedy objawia się ów brak cywilizacyi obyczajowéj, o któréj wspomniałem powyżéj? Mogę odpowiedzieć: we wszystkiém; a zresztą, niech sam czytelnik osądzi. Do godziny czwartéj lub piątéj po południu, każdy prawie z mieszkańców, tak New-Yorku, jak w ogóle i całéj Ameryki, pracuje z gorączkową namiętnością nad zrobieniem fortuny, którato, stanowi główną wartość człowieka, co nawet wyraziło się i w języku; nie mówią tu bowiem: człowiek ma tyle a tyle, ale wart jest tyle a tyle. Wieczorem wszelkie zajęcia kończą się i następuje obiad, po którym z kolei odpoczynek. Każdy należący do średniéj klassy amerykanin (bo powtarzam jeszcze raz, że nie mówię o klassach wyższych), wydobywa wówczas z kieszeni kłak tytuniu, ucina go scyzorykiem, pogrąża w ustach i poczyna żuć ze smakiem. Jednocześnie z tą czynnością, siada na biegunowém krześle, zakłada nogi na stół lub na okno i, niechowając scyzoryka,

kraje nim co mu podpadnie pod oczy, chociażby poręcz krzesła, ramę okna; jeżeli się rzecz dzieje w ogrodzie, to kratę werendy, nakoniec stół lub wreszcie cokolwiekbądź innego. Owo krajanie scyzorykiem tak dalece wsiąkło w naturę tych ludzi, że wielu z nich nosi umyślnie na ten cel przeznaczone kawałki drzewa. Częstokroć takie zajęcie służy także do pokrycia głupoty lub braku zasobów umysłowych. Jeżeli amerykanin znajduje się wypadkiem w towarzystwie cudzoziemców, z którymi pod żadnym względem nie stoi na równi, wówczas niezawodnie będzie coś krajał scyzorykiem i milczał pogardliwie, niby dla okazania, że jak prawdziwy republikanin i demokrata nic sobie nie robi z owéj wykwintności i ogłady, których w głębi duszy innym zazdrości i których braku się wstydzi.

Ohydny zwyczaj żucia tytuniu zmniejsza się już wprawdzie, zwłaszcza po większych miastach, coraz bardziéj, ale i dziś jeszcze jest dość powszechny. Rzuciwszy okiem na pierwsze lepsze zgromadzenie ludzi, dostrzeżesz, że większa część mężczyzn porusza systematycznie szczękami, jakby należała do zwierząt przeżuwających, i spluwa co chwila obrzydliwy sos tytuniowy; przyczém policzki ich wypchane od wewnątrz tytuniem wyglądają jak gdyby napuchłe. W hotelach i restauracyach gdzie tylko są marmury, znajdują się także i drukowane ostrzeżenia, proszące publiczności, aby raczyła spluwać w spluwaczki, nie zaś na marmury, które się od tego plamią i psują. Wreszcie spluwaczki znajdują się w ogromnéj ilości wszędzie, tak w mieszkaniach prywatnych, jak i w miejscach publicznych.

Ale gburostwo amerykańskie nie w tych tylko zwyczajach się uwidocznia. Amerykanie wstają od stołu

nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo; witają się prostém kiwnięciem głowy lub ręki; w rozmowie trzymają się wzajemnie za guziki lub klapy od surdutów, co tak dalece jest rozpowszechnioném, że nawet między służącymi a panami ma miejsce: nakoniec, nie zdejmują kapeluszów nawet w mieszkaniach prywatnych, a surduty zrzucają wszędzie, nawet w obec kobiet lub w miejscach, których sama powaga przyrodzona na podobne postępowanie nie zezwala.

W New-Yorku niebyłem wprawdzie dla braku czasu w żadném z urzędowych miejsc publicznych, ale zdarzyło mi się w parę miesięcy późniéj, być na sądzie przysięgłych w Sacramento w stolicy Kalifornii. Cóż powiécie czytelnicy? Sędzia prezydujący siedział na osobnéj katedrze, męczony przez głośną czkawkę, i poruszając jak wół szczękami wypchanemi tytuniem, wodził omdlałym wzrokiem po zgromadzeniu; sędziowie przysięgli bez surdutów, żując również tytuń, leżeli raczéj niż siedzieli na swych krzesłach z nogami pozakładanemi na pulpity; adwokaci również byli tylko w kamizelkach; i publiczność trzymała nogi wyżéj głów, a kapelusze na głowach; wszyscy chrząkali, pluli, jakby pobierali za to osobne pensye, całość zaś zgromadzenia, na mnie przyzwyczajonym do powagi i uroczystości sądów europejskich, zrobiła wrażenie jakiéjś brudnéj niemieckiéj knajpy, o któréj można powiedzieć, że tém oddycha się swobodniéj im prędzéj się ją opuszcza.

Zapewniano mnie, że w miastach pomniejszych, wszystko jeszcze bez porównania gorzéj wygląda. Możnaby wreszcie darować sądom tym ich republikańską prostotę i nieobyczajność, gdyby również republikań-

skiemi były ich sumienia i sprawiedliwość w wydawaniu wyroków. Ale sami amerykanie przyznają, że niemasz więcéj złodziejskiego sądownictwa na świecie, jak ich własne. Jeżeli tu chcesz suchą nogą przejść przez błoto, posmaruj sprawiedliwość, jak mówi stary John, a sprawiedliwość posmaruje ci buty. Jestto jedna z większych prawd na świecie. Zresztą odnosi się to nietylko do sądownictwa, ale do całego systemu administracyi w Stanach Zjednoczonych; nigdzie bowiem zapewne sumienie publiczne nie jest tak uśpione jak tutaj. Przyczyny tego, łatwo czytelnicy zrozumieją. Pensye urzędników w ogóle są bardzo niewielkie, emerytur nie ma wcale, a przy tém ustawiczna walka partyi republikańskiéj z demokratyczną i ciągłe przechylanie się zwycięztwa to na jednę, to na drugą stronę, nigdy nie pozwala jednym i tymże samym osobom utrzymać się dłużéj przy urzędach. Każda partya przychodząc do władzy, wypędza natychmiast wszystkich urzędników dawniejszych z zajmowanych posad, a obsadza je swymi stronnikami, którzy uważają to za nagrodę, i widząc przytém, że dłużéj nad rok lub dwa, miejsca nie zagrzeją, starają się wyciągnąć z niego wszelkie możliwe korzyści.

Jestto system do najwyższego stopnia wadliwy, i wszystkie owe ogromne złodziejstwa, o których tyle piszą gazety tutejsze i zagraniczne, są tylko bezpośrednim jego wypływem. Ale swoją drogą system ten tak dalece zrośnięty jest z instytucyami republikańskiemi Stanów, tak dalece stanowi zasadniczą ich istotę, że odmienić go prawie niepodobna.

Gdyby nakoniec system ten i był wreszcie odmieniony, wyrosłoby z tego złe inne. W każdéj repu-

blice, jakąkolwiek ona jest, należy aby urzędnicy na wszelkich posadach działali w myśli rządu, to jest narodowéj rządzącéj większości; inaczéj zawsze zrodzi się stan rzeczy podobny do tego, jaki przed niedawnym czasem istniał, a pod pewnym względem i dziś jeszcze istnieje we Francyi, gdzie rząd jest republikański, urzędnicy monarchiczni, a w tém rozdrożu między Sasem a Lasem kręci się oszołomiony naród, nie wiedząc jak wyjść z tego zaczarowanego koła i gdzie iść. daléj.

Nie w zmianach tedy systemu, nie w przewrotach instytucyi państwowych leży *salus reipublicae*, ale w radykalnéj reformie wychowania przyszłych pokoleń obywateli i w oddziaływaniu przeciw rozpowszechnionemu w Ameryce mniemaniu, że pieniądz tylko stanowi wartość człowieka, a korzyści materyalne i użycie, jedyny cel, za którym ubiegać się warto. Zrozumieli to amerykanie, należy oddać im sprawiedliwość, i dlatego wychowanie powierzyli po największéj części w ręce kobiét, które z natury bardziéj idealne, oddziaływają téż w tym duchu i na młodzież.

Jestto ten sam wzgląd, dla którego właśnie nie uważałbym za stosowne powierzać u nas wychowania w ręce kobiét, albowiem nasze społeczeństwo stanowi, pod względem usposobień, można rzec przeciwny biegun społeczeństwu amerykańskiemu. Przenoszenie żywcem i na ślepo obcych instytucyi, dlatego tylko że one gdzieindziéj zbawienne są i dobre, może być bardzo dla nas szkodliwém, i ktoby tak czynił, byłby podobny do owego doktora amerykańskiego, który wszelkie słabości leczył aloesem, twierdząc, że czy

pacyent przychodzi do zdrowia, czy umiera, on jako doktór zawsze tylko dopomaga naturze.

Powinni u nas pamiętać o tém ci, którzy, zkądinąd istotnie niosą naprzód chorągiew oświaty krajowéj.

Ale w Ameryce jest rzecz inna. W Ameryce powierzenie wychowania kobiétom ma jeszcze tę nieskończenie dobrą stronę, że wpływa ogromnie na wzrost cywilizacyi obyczajowéj, która tak nizko tu stoi. Nauczyciel mężczyzna nie ma i nie może mieć takiego wpływu obyczajowego na swoich wychowańców, jak kobiéta delikatna i dobrze wychowana, któréj sama obecność każe, tak nawpół dzikim pauprom, jak i ich ojcom, hamować porywy nieokrzesanych namiętności. Łatwiéj to jeszcze zrozumiemy, gdy przypomnimy sobie szacunek, jaki otacza tu kobiéty. Istotnie, pod względem wpływu na obyczaje, powołanie nauczycielek jest w Stanach Zjednoczonych prawdziwą missyą. Ja sam znam pewną szkółkę nad rzeką Cosumnes, albo po indyjsku Makosine, w Kalifornii. Okolica ta jest prawie jeszcze dzika; indyanie, którzy ustąpili z niéj niedawno, tułają się tu i owdzie; mieszkańcy składają się z uboższych farmerów, pastuchów owiec, górników czyli przemywaczy złota i nakoniec z chińczyków, których tu wszędzie jest pełno. Łatwo zrozumieć, jak nieokrzesane i pełne dzikich instynktów jest to niedawno osiadłe i złożone z tak różnorodnych żywiołów społeczeństwo.

Otoż wyobraźcie sobie, że wpośród tych niesfornych żywiołów istnieje szkółka, do któréj mieszkańcy muszą posyłać swe dzieci, a w szkółce jest nauczycielką młoda miss, wątła, drobniutka, delikatna jak mimoza, przyzwyczajona i do innego życia i do innego

otoczenia. Ale trzeba widzieć, jak pierwszy lepszy gbur okoliczny czuje się w obec niéj skrępowany, jak obraca kapelusz w ręku; nie wié co robić, jak usiąść i co myśleć o tém zjawisku, którego oczy jego nie nawykły wcale oglądać. W obec niéj nikt tu sobie nie pozwoli ani grubiańskich żartów, ani przekleństw na oczy i duszę bliźniego, bo każdy instynktownie czuje całą niestosowność takiego postępowania; a ktoby wreszcie jéj nie czuł, tego wkrótce nauczyłyby rozumne pięści i rewolwery sąsiadów. Łatwo z tego wyciągnąć wniosek, że nietylko przyszłe pokolenie, ale nawet i teraźniejsze, pod podobnym wpływem mięknie i uczy się łagodniejszych obyczajów.

Przebiegając ze strzelbą brzegi Kosumny i okoliczne góry kilkakrotnie znęcony ciekawością i—mamże wyznać?—wdziękami nauczycielki, zaglądałem do owéj stojącéj samotnie szkółki. Jest to niewielki dom, obejmujący jednę tylko salę. W sali stoją ławki, urządzone według najnowszéj metody hygienicznéj, na ścianach wiszą mapy Stanów Zjednoczonych, Europy i pozostałych części świata; między mapami zaś wisi napis upleciony z nieśmiertelników przez same dzieci: *„Knowledge is power“* (*nauledż is pauer*); wiedza to siła. Naprzeciw ławek stoi katedra, któréj jednak nauczycielka najczęściéj nie zajmuje, ale chodząc między ławkami, prowadzi swoje wykłady sposobem, można powiedzieć perypatetycznym. Przytém ponieważ dzieci przychodzące znajdują się na rozmaitym stopniu rozwinięcia, każde więc niemal trzeba uczyć osobno. Nauka czytania, pisania, arytmetyki stoi oczywiście na pierwszym planie, ale oprócz tego wykłady obejmują także i zoologią, botanikę, geografią i t. p. System

nauczania przyjęty jest doświadczalny i istotnie niezmiernie praktyczny, znany już zresztą wszędzie. Naukę geografii rozpoczyna nauczycielka od domu, w którym stoi szkoła; przyczém dzieci dowiadują się rzeczy arcy pożytecznych, jak się stawia domy, na co izby są potrzebne i t. d. Poznawszy szkołę, poznają *country*, w któréj szkoła się znajduje, miasteczka, rzeki, następnie całą prowincyą, następnie Stany Zjednoczone; nauczycielka coraz bardziéj rozszerza widnokrąg ich wiedzy, dopóki nie obejmie całéj ziemi. W nauce zoologii i botaniki, dzieci poznają przedewszystkiém faunę i florę własnych okolic, widzą mnóstwo roślin, na które patrzą zresztą codziennie, przechodząc z ferm do szkoły; ale nauczycielka wykłada im szkodliwe lub pożyteczne własności, tak samo obznajmia wychowańców i wychowanki ze zwierzętami, minerałami i t. p.

Jestto system wyborny, dzięki któremu w całych Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w młodém pokoleniu, niéma człowieka, któryby nie umiał czytać, pisać, rachować; nie rozumiał się na polityce: słowem, któryby nie był mniéj więcéj przygotowanym do zawodu obywatelskiego. Jest także równie niepłonna, jak uzasadniona faktami nadzieja, że szkoły takie i nauczycielki wpłyną również na rozbudzenie się uczciwości obywatelskiéj i sumienia publicznego którém teraz chyba młode koty tu się bawią.

Szkół podobnych do wyżéj opisanych jest mnóstwo. Gdzie tylko w pustyni powstaje kilka ferm, tam wśród indyan jeszcze, bawołów, niedźwiedzi, gryzli, jaguarów i grzechotników, powstaje natychmiast i szkoła, do któréj dzieci chodzą, czasem o kilka mil odległości, codziennie. Żadne państwo nie wydaje tyle na

wychowanie, ile Stany Zjednoczone, ale żadne też nie osiągnie w niedalekiéj przyszłości tak znakomitych z wychowania rezultatów.

Wychowaniem młodzieży, zwłaszcza elementarném zajmują się prawie wyłącznie kobiety. O dobrych stronach tego systemu już mówiłem, teraz wspomnę o złych bo każdy medal na świecie ma swoje dwie strony. Oto każda nauczycielka jestto po największéj części *„interesting young lady,“* w któréj samotność rozwija do wysokiego stopnia usposobienie romansowe, młodość zaś i krew gwałtu krzyczy na pustyni. Skutkiem tego zdarza się najczęściej, że jaki młody rycerz pustyni, jaki traper lub fermer, ubrany przez panieńską wyobraźnię w tęczowe kolory bohatérstwa, wsiąka w tę wyobraźnię, jak potoki dżdżu w ziemię, a potém następują *widywania się pod jaworu drzewem*, potém ciche: *jam twój—ty moja—tyś mój* i inne zaimki dzierżawcze, odmieniane przez wszystkie przypadki; potém jeszcze małe: *na wieki, ach na wieki!* a nakoniec jak mówi Słowacki:

„ . . . . . rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Oczywiście skutkiem tych rzeczy, moralność i obowiązki nauczycielskie akurat tyle tracą, ile dyabeł zyskuje. Szczęściem w tym kraju, na mocy interwencyi państwa, takie stosunki są drabiną, z której się albo szyję łamie, albo nieodmiennie idzie przed ołtarz. Dobrze to napisać, choćby na użytek moich ziomków, którzy wszędzie za granicą pod tym względem dziwnie są przedsiębierczy.

A teraz kilka słów o kobietach amerykańskich. Pod wieloma względami kobiety amerykańskie niższe

są od europejskich, i owo dobitne rzymskie określenie: *domiseda, lanifica, pia!* żadną miarą do amerykanek zastosować się nie da. Tu powszechnie taki jest stosunek: mąż pracuje, żona panuje, i używa darów bożych, jak jéj się podoba. Możnaby tu słusznie, na wzór owego starosty austryackiego, który powiesiwszy na drągu kapelusz, kazał się mu kłaniać szwajcarom, powiesić na drągu pantofel. Rozkaz kłaniania mu się jednak byłby zupełnie zbyteczny, bo każdy mąż, jeśliby tylko chciał być szczerym, zdjąłby przed nim kapelusz z własnéj woli. Amerykanki stroją się więcéj jak wszystkie kobiety na świecie. Stojąc przez pół godziny na Broadway w New-Yorku, więcéj widziałem rozmaitych sukien jedwabnych i kaszmirowych, czarnych, żółtych, zielonych, pstrych i czerwonych, niżbym mógł zobaczyć na bulwarach w Paryżu. Nie wiele w tém wszystkiem smaku, ale wiele przepychu. W hotelach, na obiady przychodziły damy postrojone jak na bal, w złotych manelach, zausznicach, naramiennikach i t. p. Są przytém nadzwyczajnie śmiałe, wyzywające i kokietki do tego stopnia, że słusznie można rzec, iż role tu zostały zmienione, i stroną prowokującą jest kobieta. Nie brak tu i niebieskich pończoch, ale w ogóle wieści, jakie krążą o wykształceniu amerykanek w Europie, są do wysokiego stopnia przesadzone. Owszem, przeciętne wykształcenie kobiet w Europie, mojém zdaniem, jest daleko wyższe. Panny tutejsze prowadzą życie nader swobodne, i mało jest takich, których przeszłość nie miałaby pewnéj historyjki, wynikłej już to ze zbyt gorliwego uprawiania związku zwanego flirteszyn (*flirtation,*) już to i bez flirteszyn. „Ja nie patrzę w przeszłość mego męża, niechże i on w moją

niepatrzy:“ oto jest zdanie bardzo utarte między amerykankami, które doprowadziłoby zapewne do większych nadużyć, gdyby temperament ich energiczny ale chłodny i pewna przewaga rozumu nad uczuciem, nie stanowiły bardzo silnego hamulca.

Cudzoziemcy mają tu wiele powodzenia u kobiet, ze względu na swą ogładę i wykwintność, którą nad krajowcami celują; często jednak biorą fałszywą monetę za dobrą, a jeżeli i znajdują istotnie dobrą, to tém gorzej dla nich, bo jak wspomniałem, ołtarz jest tu konsekwencyą lada nie winy nawet, ale lada nieostrożności.

Zresztą kobiety amerykańskie nie są piękne. Brak w ich rysach rassy i dystynkcyi, ale to tém nieznośniejszym czyni ich despotyzm. Despotyzm ten daje się czuć wszędzie: w domach, na kolejach, w wagonach a nawet na ulicach, gdzie powożące się lady, jeżdżą jak szalone, ani dbając że kogoś mogą rozjechać. Prawo nietylko nie kładzie despotyzmowi pewnéj miary, ale bierze go nawet w opiekę. W Kalifornii zapadło niedawno postanowienie, że mąż, któryby bił swą żonę, otrzyma dwadzieścia jeden bizunów ze skóry bawoléj. Dlaczego dwadzieścia jeden a nie dwadzieścia lub dwadzieścia pięć? są to tajemnice amerykańskiéj legislatury. Koniec końcem, kto się nie uwinął zawczasu, temu teraz zamknięta droga na wieki.

Gdyby istotnie surowość mężów przechodziła tu granice, i gdyby prawo takie zapadło wskutek istotnych nadużyć, możnaby je jeszcze wyrozumieć; ale w kraju, gdzie mąż pracuje jak cztery konie, żona zaś kołysze się również cały dzień w biegunowém krześle, po powrocie zaś małżonka przyprawia go z takim

sosem z jakim jéj się podoba, jestto tylko dolewanie oliwy do ognia. Rozsądni ludzie śmieją się tedy z tego niewczesnego wyskoku filantropii, niektóre zaś dzienniki twierdziły, że odtąd wszelki małżonek, mający ochotę wybić połowicę, musi wyjechać z Kalifornii do innego Stanu i nie wracać aż po dokonanéj operacyi. Przepowiadają w skutek tego znakomite powiększenie się ruchu na kolejach, wątpię jednak czy urzędnicy kolejowi, zwłaszcza żonaci, wierzą w tę przepowiednię choć trochę.

Szacunek jakim tu otoczona jest kobieta, łatwo wyjaśnia się tém, że mówiąc językiem handlowym, popyt tu na płeć piękną daleko jest większy od podaży. Kobiet w ogóle w Ameryce jest mało, w nowo zaludniających się zaś okolicach tak mało, że zaledwie jedna na dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn przypada. Tém się tłumaczy, że nawet bardzo nieokrzesani i pozbawieni wszelkiéj ogłady ludzie, obchodzą się tu z kobietą jak z czém szklanném.

Grzeczności jednak amerykańskich nie należy brać za jedno, naprzykład z francuzką, lub w ogóle z europejską. Amerykanin zdejmuje przy kobietach surdut i t. p., słowem postępuje według swoich zwyczajów, które raczéj za niegrzeczność lub lekceważenie poczytałaby każda europejka. Ale gdy francuzka uprzejmość ma najczęściéj na celu zdradę i chęć skorzystania z dobréj sposobności, tu kobieta jest zupełnie bezpieczna: sto pięści i sto rewolwerów podniesie się każdéj chwili na zuchwalca, któryby śmiał jéj w jakikolwiek sposób ubliżyć. Nic dziwnego, że kobiety wiedzą o tém, i uważają się za jakieś wybrane istoty, którym cześć czysto religijna jak Panu Bogu się należy.

W ogóle europejczycy mają pod wieloma względami fałszywe o amerykanach i Ameryce wyobrażenie. Wspomniałem o religijności; niech mi więc wolno będzie pobieżnie i o téj stronie życia tutejszego wspomnieć. Społeczeństwo amerykańskie uchodzi za najreligijniejsze na świecie. Ludzi wątpiących istotnie niéma tu wcale, przepisy religijne zachowywane są najściśléj, w niedzielę i święta głucha martwota upada na wsie i miasta, sklepy są pozamykane, fiakry i omnibusy nie kursują prawie zupełnie; w teatrach nie grają, miejsca publiczne są puste: słowem powaga tu i uroczystość większa niż wszędzie na świecie. Ale wejrzawszy w to bliżéj, widzimy w tém raczéj wpływ zwyczaju, nie wdającego się w żadne rozumowania, niż żywotnéj, gorącéj, świadoméj siebie wiary. Społeczeństwo tutejsze nadzwyczaj jest pozytywne; rzeczami nie mającemi związku z rzeczywistością, z korzyściami materyalnemi: z czémś co się da uchwycić i obrachować, nikt tu nie łamie sobie głowy. Kwestye takie, jak początek wszechrzeczy, istnienie Stwórcy, nieśmiertelność duszy i tym podobne, które odgrywają tak potężną rolę w umysłach młodzieży europejskiéj, uniwersytetów, filozofów i ludzi nauki, a które tak często prowadzą najprzód do filozoficznego bankructwa, a potém do zwątpienia łatwo udzielającego się ogółowi, tu nie mają najmniejszéj wagi. Żaden naród na świecie nie jest mniéj zdolny do wszelkiéj refleksyi filozoficznéj jak amerykanie. Tu każdy więcéj żyje życiem czynów, niż myśli, więc zajęty handlem, przemysłem, rolą i t. p., o racye religijności się nie pyta. Przychodzi niedziela, amerykanin idzie więc do kościoła, bo tak chce zwyczaj; czyta pobożną książkę, bo tak chce

zwyczaj; siedzi w domu, bo wszyscy siedzą w domach: kto go tam wié jednak, czy w téj całéj religijności nie masz więcéj rutyny i mechanicznego przyzwyczajenia niż prawdziwego uczucia.

Z drugiéj strony mnóstwo sekt i emulacya między niemi, walka z potężniejącym coraz katolicyzmem, zabarwia cokolwiek owe uczucia religijne polityką, która bądź co bądź, jeżeli jest bodźcem, to jest bodźcem czysto światowym. Wyznawcy danéj sekty starają się ją podtrzymać i rozszerzyć, muszą więc dawać z siebie przykład. Stronnictwo zawsze przywiązuje do siebie, a wskutek poplątania interesów ogólnych z osobistemi, rodzi stronników, którzy tyloma już węzłami są z niém spojeni, że odłączyć się ani chcą, ani mogą, choćby dla głównéj zasady byli chłodni.

Natomiast każdy amerykanin ową wolność religijną uważa za perłę konstytucyi Stanów Zjednoczonych, a chcąc tę wolność zamanifestować, musi spełniać gorliwie wszelkie obrządki sekty, do któréj należy.

Pierwszy jednak przytoczony przezemnie wzgląd jest najważniejszy. Busines nie pozwala rozstrzygać transcendentalnych kwestyi, zatém nikt ich nie rozstrzyga, i sprawy religijne idą tak, jak każe zwyczaj i pamięć ojców.

Na tém zakończę ten pobieżny rys o Ameryce i amerykanach w ogólności, o New-Yorku zaś w szczególności. Do wielu kwestyi w nim poruszonych przyjdzie mi jeszcze nieraz powrócić. Tu tylko nadmienię, że jakkolwiek wytknąłem wiele ujemnych stron tego społeczeństwa, jednakże o przyszłości jego wcale wątpić nie należy. Posiada ono jeden potężny warunek, oto: wszelką możność rozwoju; młode jest przytém, dzielne,

energiczne nad wszelki wyraz. Wady swoje rozumie i stara się je poprawić, a ponieważ odważne jest, probuje więc wszelkich środków i sposobów. Wiele z tych środków okaże się zapewne błędnemi, ale przed próbą nikt się tu nie cofnie. Postęp nie czeka tu na zmiłowanie Boże i na to, żeby w innych krajach poszli ludzie o sto mil daléj. Nikt tu nie woła na Francyą, Anglią i Niemcy: hej tam chłopyszku czekaj, sprobuję i ja. Tu probują naprzód wszystkiego. Ślepy i spróchniały konserwatyzm, który na widok lada czego, na widok dajmy na to nowo wynalezionych przez panią Ćwierciakiewicz naleśników, kiwa gdzieindziéj głową i mówi: „Mój Boże, za moich czasów nie jadaliśmy naleśników, a jednak“ i t. p., taki konserwatyzm, powtarzam, miałki i drobnostkowy, nie siedzi w kształcie klina w większości głów amerykańskich, dlatego głowy te myślą i obmyślą zapewne dla siebie to, co im się będzie zdawało najlepszém.

W następnym liście przejdę wprost do skreślenia wrażeń moich z podróży koleją dwóch Oceanów.

IV.

Koleją dwóch Oceanów.

I.

Gdym pomyślał, iż będę pierwszym z Polaków, który z naocznych wrażeń opisze wielką koléj dwóch Oceanów, myśl ta tyle nadała energii i pośpiechu moim czynnościom, że już piątego dnia po przybyciu do New-Yorku, znalazłem się wraz z towarzyszem moim, na zachodnim dworcu, z którego koléj wychodzi do Chicago. Załatwiwszy sprawę z rzeczami i wykłóciwszy się z zawiadowcą stacyi, który jako prawdziwy yankee, chciał nam koniecznie sprzedać drogo sznur do obwiązania jednego z pakunków, ruszyliśmy w kierunku Wielkiego Zachodu. Wyjechaliśmy z New-Yorku w nocy; dlatego brzegi Hudson-River widziałem tylko po księżycu. Szczęściem noc była jasna od księżyca i od śniegu, który pokrywał okolicę, mogłem więc dowoli paść oczy przepysznemi widokami rozpościerającemi się po prawéj i lewéj stronie kolei. Ogromna, szeroka rzeka błyszczała jakby taśma srebrna. Na brzegach stały nieruchome, milczące czarne lasy; oko-

lica wydawała się, zwłaszcza po nocy, dość dzika i dziewicza, a fantazya moja zaludniała ją indyanami i bawołami, po których, mówiąc nawiasem, ślady już zatarły się w tych stronach, i o których tu urodzeni i wzrośli mieszkańcy nie wiele więcéj wiedzą od mieszkańców Warszawy albo Lublina.

Jakkolwiek, wskutek stosunków łączących mnie z pewnym młodym tłómaczem geografii Gutego, wiadomości moje geograficzne równają się wiadomościom przeciętnego trzecioklasisty, mającego przeciętną nadzieję promocyi do klassy czwartéj, wyznać jednak muszę, że Amerykę, a przynajmniéj Stany Zjednoczone wyobrażałem sobie jako kraj daleko cieplejszy. W Europie, w Belgii, Francyi, a nawet i Anglii, zostawiłem za sobą wiosnę, wody szeleszczące i zieleniejącą ruń zbożową; tu zaś na szerokości geograficznéj Włoch południowych, śnieg leżał na polach, powietrze było surowe, dojmujące, a drzewa, wśród ciemności nocnych rysowały się w twarde bezlistne kontury. Hudson-River nie była jednak zmarznięta, widziałem bowiem wielkie parowce przerzynające spokojną toń téj szerokiéj rzeki, co, zwłaszcza nocą wspaniały przedstawia widok. Wkrótce jednak rzeka znikła nam z oczu. Pociąg biegł drogą wyżłobioną w skale, któréj wysoko wznoszące się po obu stronach ściany, zakrywały zupełnie krajobraz. Chwilami przelatywaliśmy przez tunele, ale przelatywaliśmy wcale nie z ową osławioną szybkością amerykańską, o któréj tyle poprzednio zdarzało mi się słyszéć i czytać. Przeciwnie nawet, do dzisiejszego dnia tyle już najeździłem się rozmaitemi kolejami amerykańskiemi, iż mogę powiedzieć napewno, że wszelkie opowiadania o szalonéj jeździe są wierutnemi

bajkami. Pociągi amerykańskie, nietylko nie chodzą prędzéj, ale chodzą bez porównania wolniéj od zwyczajnych europejskich; z wyjątkiem tylko nadzwyczajnych pociągów, które bądźto dla fanfaronady, bądź dla oryginalności, lub nakoniec interesu, przebiegają takie naprzykład przestrzenie, jak z New-Yorku do San-Francisco w ciągu trzech dni i trzech nocy.

My jechaliśmy siedm dni i siedm nocy, wprawdzie bez przestanków dłuższych, jak godzinę lub dwie, ale tak, jak jeździ np. u nas kolej Terespolska. Nie wliczam jednak w tę rachubę kilkodniowego przymusowego przestanku na jednéj stacyi, na któréj zasypały nas śniegi. Przez owe siedm dni mieszka się w wagonie, sypia w wagonie, jadą w wagonie, a z czasem tak się do tego przywyka, że potém już i usnąć przez parę nocy nie można bez zwykłego kolejowego huku, i zwykłego kolejowego drżenia. Kto jeździ tak zwanemi *Sleepingcarami*, temu podobna podróż przechodzi dość znośnie; sypia się bowiem na łóżku mniéj więcéj takiém, albo nawet i lepszém, jak w domu; ale kto musi przepędzać noce w zwykłym wagonie, ten cierpi prawdziwe męki; w opowiadaniach bowiem o wygodzie i komforcie wagonów amerykańskich, tyle jest prawdy, ile w wieściach o kolejowéj szybkości. Zwyczajny amerykański wagon pierwszéj klassy, jestto ogromna buda, wzdłuż boków któréj stoją dwa szeregi ławeczek, każda na dwie osoby, środkiem zaś znajduje się miejsce dla przechodzących. Ławeczki te obite zwykle wypłowiałym welwetem, albo obdrapaną zieloną ceratą, są tak wązkie, że z trudnością mogą pomieścić dwie średniéj tuszy osoby, stoją zaś tak blizko siebie, że każdy, opatrzony trochę dłuższemi nogami śmiertelnik,

rzeczywiście nie wié co z niemi zrobić, jeżeli zwyczajem wielu amerykanów, nie zechce ich oprzéć na poręczy następującéj ławki, chwytając w ten sposób, jakby w szczypce, głowę pierwszego lepszego pasażera.

W każdym z dwóch końców wagonów znajduje się przytém piecyk żelazny, w który posługacz kolejowy nakłada dzień i noc tyle węgli, ile się zmieści. Gorąco oczywiście jest nie do wytrzymania, swąd jeszcze większy od gorąca, pasażerowie spacerują po całym pociągu, konduktor raz poraz przetwiera drzwiami, zimny wiatr wpada z całym zapasem reumatyzmów; sąsiedzi żują tytuń, spluwają, jedzą, śpią: wszędzie największy nieład i nieporządek; na podłodze mnóstwo skórek od rozmaitych owoców, skorupek od orzechów, fajansowych spluwaczek, o które potykasz się co krok; jedni gwiżdżą, inni śpiewają, inni chrapią, dzieci wrzeszczą, mężczyzni zdejmują surduty, kobiéty są jak można do rosołu, słowem: istna zarwańska ulica.

Rankiem szczególniéj, wagon taki wygląda jak prawdziwe pobojowisko. Wśród tego chaosu krąży konduktor, wcale nie taki poczciwina jak w Europie, który klasyfikuje pasażerów na: „porządnych“ i „nieporządnych“ i rozsadza ich wedle téj klasyfikacyi, albo któremu daje się papierosa za to, żeby nikogo więcéj nie puszczał do przedziału; ale wielki konduktor, wielka figura, istny kapitan okrętu, który przełazi się ciągle po całym wagonie, siada w *sleeping-carach* lub *drawing-roomach*, zakłada nogi na nieprawdopodobne wysokości, zdejmuje surdut, przysiada się do kobiét, często jest wspaniałym, czasem wyniosłym, czasem majestatycznym: czasem wyniośle poufałym, lub lekko karcącym, a czasem opuchnięty po nieszczęśliwéj zamianie kilkunastu ku-

łaków z jakim traperem, który znowu nie robi sobie nic nawet z osób tak wysoko położonych.

W ogóle na tych kolejach jest tak: jeżeli ty obrazisz konduktora, wyzwie cię na kułaki, popodbija ci oczy i wyrzuci z wagonu: ale jeżeli jesteś silniejszy, to ty możesz zgruchotać mu szczękę i wyrzucić z wagonu. Toż samo ma się rozumiéć i o tych dżentlemanach, którzy palą w piecach lub ścielą łóżka w *sleeping-carach*, choć zresztą, jak wszędzie tak i w Ameryce, kto się sam szanuje i awantury nie szuka, ten jéj nie znajdzie, owszem, jeżeli jest cudzoziemcem, będą go tu na swój sposób szanować.

W *sleeping-carach*, to jest w sypialniach wagonowych, albo jeszcze w tak zwanych: *silverpalace Pulmana*, panuje istotnie pewien komfort i większy porządek. Wieczorem przychodzi murzyn, wyciąga rozmaite szuflady w bokach wagonów i zamienia je w łóżka, które umieszczone są jedne nad drugiemi, w bocznych dłuższych ścianach wagonów, każda zaś jedna para oddzielona od drugiéj adamaszkowemi firankami. Takie dwa łóżka nazywają się sekcyą: łóżko dolne lepsze, górne gorsze; kiedy się podróżuje we dwóch lub we dwoje, zamawia się naprzód taką sekcyę, i ma się na noc jakby własny i to adamaszkowy buduar, podróżujący jednak pojedynczo i nie chcący płacić za całą sekcyę, mają prawo tylko do jednego łóżka, co jest nieprzyjemném i ambarasującém... ponieważ często się zdarza, że jedna i ta sama sekcya wypada nie na dwóch ale na dwoje.

Niéma w tém najmniejszéj przesady. Stary niemiec sprzedający cygara, który jechał razem z nami aż do Omaha, był współwłaścicielem sekcyi, któréj

dolną, wygodniejszą połowę zajmowała również wiekowa i chuda jak śmierć miss. Każdego ranka oboje rzucali na siebie nader niezadowolone spojrzenia, co wieczór zaś biedny niemiec musiał gramolić się na górne łóżko, co czyniąc gniótł pościel dolnego i stękał jakby miał zamiar oddać w téj podróży duszę.

Taki zwyczaj w Europie pociągnąłby zapewne za sobą rozmaite mniéj więcéj skandaliczne następstwa. Amerykanie jednak nie znajdują w nim nic dziwnego. Tłómaczy się to łatwo nadzwyczajną czcią i szacunkiem, jakim tu otoczona jest kobiéta. Każda z kobiét, chociażby najmłodsza, jeśli tylko podróżuje sama, jest pod opieką wszystkich mężczyzn, którzy krwawo, bo poprostu pięścią, rewolwerem, lub w Stanach, gdzie panuje prawo *lynch*, nawet postronkiem mszczą się za wyrządzoną jéj obelgę, choćby to byli prości tylko górnicy, lub farmerowie. Swoją drogą czci téj i uszanowania nie należy brać za jedno z francuzką wykwintnością. Dżentlemanowie, którzy z nami jechali, jakkolwiek należący do wyższych warstw społecznych, bynajmniéj nie uważali za niestosowne chodzić w obec kobiét bez surdutów lub bez butów; a gdyśmy zwracali na to ich uwagę, odpowiadali, że rzecz nie w tém, i że zachowywanie takich czczych pozorów jest tylko blichtrem, poza którym kryje się podstęp i zasadzka. My jednak po staremu, trzymaliśmy się prawideł nie amerykańskiéj, ale naszéj polskiéj i europejskiéj dworności, która przez kobiéty tutejsze za najlepszą jest uważana.

Nazajutrz rano po pierwszéj nocy rozbudziliśmy się dość późno. Większość łóżek w wagonie była już poskładana; niektóre damy ubrane, a nawet wystrojone,

piły kawę lub herbatę na małych stoliczkach stojących między kanapkami; dżentlemenowie w surdutach i bez surdutów wchodzili lub wychodzili z małéj ubieralni męzkiéj, umieszczonéj w końcu wagonu; konduktor siedział pod oknem z rękami w kieszeniach i z zaspanemi oczyma, męczony przez głośną czkawkę, i rzucał niezadowolone spojrzenia na obecnych, jakby dziwiąc się, że nikt nie poczuwa się do obowiązku powinszowania mu tak szczęśliwéj ulgi, jaką jest czkawka w sprawach trawienia; ja zaś poszedłem do okna, aby zobaczyć, jak téż wygląda Ameryka po dniu, przy świetle słonecznem.

Pociąg szedł teraz drogą otwartą i nizką na płaszczyznie, któréj krańce zamykały lasy drzew bezlistnych. Okolica była ludna. Po obu stronach widać było farmy z pięknemi domkami w stylu szwajcarskim, krajobraz zresztą dość podobny do polskiego. Gospodarstwa, o ile tę rzecz można ocenić w zimie, ani mogą się porównać z niemieckiemi, belgijskiemi lub francuzkiemi. Liche zabudowania gospodarskie, brak porządnych płotów zupełny, brak rowów: wszystko to przypomina zapadłe strony Podlasia lub Pińszczyznę. Ziemia znać bardzo urodzajna, ale téż dlatego może niedość starannie uprawna, smutno przedstawia się oku przywykłemu do pysznéj kultury w zachodniéj Europie. Wszędzie tu widać jakby jakiś pośpiech w zakładaniu gospodarstw, znać że nie miały jeszcze czasu ustalić się i przyozdobić. Miejscami, jakkolwiek jechaliśmy ciągle Stanem New-York, najludniejszym i najlepiéj zagospodarowanym ze wszystkich, domki farmerskie samotnie stojące wśród rubieży leśnych, [redacted]locznie świeżo co były wyszły z pod siekiery. Na-

okół ani drzew cienistych, ani sadów owocowych, ani znaku ogrodów; las tylko szczery, lub jak okiem dojrzysz, smutne osmolone szeregi pni wyciętych, miejscami stosy gałęzi i wiórów, tu i owdzie zaś wielkie kałuże pełne wody ciemnéj, błotnistéj, ujęte na brzegach w szarawą ramę brudnego śniegu.

Miejsca takie mimowoli przywiodły mi na myśl sceny trzebieży lasów, jakie tyle razy widziałem u nas; tu jednak mają one inne, mniéj złowróżbne znaczenie. Tu lasów, jeszcze dziś, wszędzie taka jest obfitość, że pionierowie, oczyszczający z nich kraj, prawdziwą mu oddają przysługę. Nieraz téż widzieć można samotnie domki stojące wśród lasów, a naokół domków uprawne już pola, które rok temu porastały jeszcze gąszczem leśnym. Dzień i noc słychać w tych okolicach huk siekiery, wystraszony zwierz i ptastwo cofa się coraz bardziéj na zachód, z każdym dniem niemal nowe przestrzenie z mroku leśnego wychylając się na światło dzienne, oczekują tylko rąk i pługów, ażeby zamienić się w łany zbożowe.

Z tém wszystkiém, z tego com się dowiadywał lub na com własnemi patrzył oczyma, mogę śmiało twierdzić, że amerykanie rodowici nie są w ogóle wzorowymi gospodarzami. Zbyt są ruchliwi, zbyt nie lubiący siedzieć na jedném miejscu, zbyt nareszcie pochopni do handlu. Dlatego jeżeli amerykanin kupuje ziemię, kupuję ją najczęściéj nie dlatego, żeby na niéj osiąść i zostawić ją dzieciom i wnukom swoim, ale zwykle na spekulacyą. Spekulant nabywa kawał lasu, lub dziewiczego stepu, co go bardzo mało, a czasem i nic nie kosztuje, ogradza go płotem, buduje dom, pogrzebie trochę ziemię i jako gotową już niby farmę,

sprzedaje częstokroć z wielkim zyskiem emigrantom, lub też miejscowym kapitalistom. Trzeba bowiem wiedzieć, że o ile w Stanach, a przynajmniéj w niektórych Stanach, ziemia rządowa dziewicza, nieuprawna jeszcze, sprzedaje się za niesłychanie nizkie ceny, albo może być i darmo objętą w posiadanie, o tyle znowu grunta już procentujące, położone zwłaszcza około wielkich miast, dochodzą do wartości nigdy w Europie nie spotykanych. Nie jeden szczęśliwiec, który darmo objął tyle gruntu, ile mu się podobało, sprzedawał go potém za pięćset i sześćset aż do tysiąca dolarów akr, jeżeli w pobliżu wyrosło nagle a niespodziewanie, jak się to często zdarza w Ameryce, jakieś wielkie i handlowe miasto. Tak stało się np. z gruntami leżącemi koło Chicago, w Illinois, które niedawno rozdawano jako nic nie warte weteranom przez rząd w nagrodę zasług, dziś idą prawie na wagę złota.

Wielu jednak spekulantów, dzierżących wielkie przestrzenie w pobliżu świeżo powstających miast, potraciło ogromne majątki, z miastami bowiem nie robią sobie wiele ceremonii w Ameryce. Zdarza się, że miasto powstaje gdzieś na pustyni i rośnie przez niejaki czas jak grzyb, potém, bądź to miejsce okaże się niewygodne, bądź klimat niezdrowy, bądź wyczerpią się bogactwa naturalne okolicy, mieszkańcy nie wiele myśląc pakują na wozy żony, dzieci, rupiecie, i ruszają gdzie oczy poniosą, a miasto jeszcze wczoraj kilkotysięczne, schodzi na nędzną osadę, albo i całkiem marnieje.

Kto jednak zajmie ziemię nie na spekulacyą, ale dla uprawy, a ma przytém jakie takie środki, ten rzadko na niéj traci. Często jaki emigrant, który całe życie klepał biédę w Europie, lub jaki rozbitek z burzy

życiowéj, pragnący ciszy i samotności, kupuje wóz, trochę inwentarza, maszyn rolniczych i sprzętów, potém zabiera żonę, dzieci i rusza na daleki Zachód w pustynią. Wybrawszy gdzieś miejsce, które mu się najlepiéj podoba, w pobliżu zwykle lasu lub rzeki, buduje dom, ogradza kawał pola i siada. Od téj chwili ziemia, którą objął, jest już niezaprzeczoną jego własnością, i każdego, ktoby się na nią targnął, czeka nie proces przed kratkami, ale kula w łeb z ręki właściciela, lub jeżeli w pobliżu znajdują się na pustyni inne osady, rządzące się prawem *lynch*, jeszcze straszniejszy wyrok z rąk regulatorów czyli wykonawców tego drakońskiego prawa.

Otóż tacy osadnicy rzadko dorabiają się milionów, ale téż prawie nigdy nie tracą. Jeżeli nawet niéma komu sprzedać zboża lub bydła, to niéma wprawdzie pieniędzy, ale pocóż pieniądze na pustyni? Jest co zjeść, jest się w co odziać, dzieci wyrastają jak dęby; a dorosłszy wylatują z gniazda i osiadają w pobliżu, i tak całość życia składa się dziko trochę, stepowo, ale spokojnie, bez troski niemal o jutro, i ani się człowiek obejrzy, jak przyjdą wieczorne dni i zachód słońca—życia, pogodny jak na stepie.

Często się jednak zdarza, że w pobliżu takiéj osady na pustyni przybłąka się jakiś drugi osadnik, potém trzeci, dziesiąty, setny; ziemia która przyszła każdemu zadarmo, poczyna nabierać ceny, rosnącéj nadzwyczaj szybko, i po kilku lub kilkunastu latach farma, która nic prócz pracy nie kosztowała właściciela, dochodzi do wartości setek tysięcy dolarów.

Owóż zdarza się różnie. Ale w Stanie New-York, przez który w kierunku wielkich jezior przebiegałem

koleją, i w ogóle w Stanach wschodnich, nie ma już prawie wcale ziemi niezajętéj lub rządowéj, czekającéj na osadników. Każdy zatyłek jest tu wiadomy i rozmierzony, wszystko jest w rękach prywatnych, a ziemia tak z powodu swéj urodzajności, jak i z powodu niezmiernie ułatwionych stosunków komunikacyjnych, równie droga, albo i droższa jest niż wszędzie w Europie.

Gospodarstwa jednak, jak wspomniałem, dalekie są od europejskich. Może być, że gdybym je był widział w lecie, wydałyby mi się lepiéj i weseléj, równie jak i cały krajobraz, który rozciągał się przed memi oczyma zawsze równie jednostajny, płaski, szary, smutny, aż do saméj Syrakuzy.

W Syrakuzie pociąg zatrzymał się pół godziny dla *brekfestu*, czyli rannego śniadania, poczém ruszyliśmy daléj do Rochester, miasta leżącego nad samém Ontario. W miarę jak zbliżaliśmy się do Rochester, krajobraz nie zmieniał się wprawdzie, ale stawał się coraz niższy. Wielka obfitość wód na polach i lasach znamionowała blizkość jezior. Lasy miejscami zajmowały ogromne przestrzenie, ale po największéj części zalane były wodą, co sprawiało złudzenie, jak gdyby drzewa wyrastały z jezior. Z okien wagonu widziałem tu i owdzie mniejsze lub większe stada ptastwa wodnego: kaczek dzikich, cyranek i mew, które aż tu zalatują z morza. Czasem las urywał się nagle, a droga biegła nizkiemi łąkami porosłemi grubą trawą, tatarakiem i zwiędłą zeszłoroczną trzciną. Farmy dość gęste, gęstsze nawet niż wsie polskie, ale otoczone kałużami, wyglądały jeszcze smutniéj niż przed Syrakuzą. Miejscami czarna, uprawna ziemia wydobywała się z pod topniejącego śniegu, błyszcząc napełnionemi

wodą bruzdami. Wiatr wiał cieplejszy: czuć było jakby pierwszy oddech wiosny w powietrzu, słaby jeszcze, ale już życiodawczy i rozpętujący wody z kajdan zimowych. W Rochester nakoniec zabłysnęła nam błękitna, olbrzymia toń Ontario. Sądziłem, że znów przyjechałem nad morze i że znów oglądam te bezbrzeżne przestrzenie, na których mdleje i gubi się wzrok. Droga idzie ciągle brzegiem; miejscami nawet tak blizko, że woda obmywa stopy kolejowego nasypu. Patrzącemu przez okno wagonu wydaje się wówczas, że pociąg biegnie po jeziorze. Od czasu do czasu, na błękitném tle wody i nieba, bieleje żagiel; czasem zdaleka, zdaleka, ukazuje się szara wstążeczka dymu, wychodząca z paszczy niewidzialnego dla oka parowca. Miejscami brzeg oddala się od grobli i wchodzi płaskim obrębem w jezioro. Na obrębach stoją zwykle tuż nad wodą domki, po brzegach zaś kołyszą się poprzywiązywane do pali łodzie, szarpiąc niecierpliwie za sznury, jakby chciały urwać się i uciec na dalekie tonie. Sieci porozwieszane przed domami lśnią jeszcze wilgocią; pod sieciami leżą kupy zielska wodnego: dochodzi nas zapach łuski rybiéj i tataraku. Stada ptastwa pławią się w powietrzu, to niknąc, to czerniąc się, nakształt krzyżyków pozawieszanych w błękicie.

W ten sposób dojechaliśmy do Suspension-Bridge, gdzie zatrzymaliśmy się dla obejrzenia Niagary i sławnych jéj wodospadów. Pociąg ruszył daléj: rzeczy nasze powędrowały w kierunku Huron, my zaś, wraz z jakimś młodym anglikiem, którego nazwiska nie pamiętam, najęliśmy konie i ruszyli przez most do wodospadów. Most ten oddziela Stany Zjednoczone od Kanady; na jednéj więc jego stronie znajduje się ko-

mora amerykańska, na drugiéj angielska; ponieważ zaś wielki wodospad ze strony amerykańskiéj jest nieprzystępny, trzeba więc przejechać w posiadłości królowéj Wiktoryi. Jadąc już przez most, można widzieć całą szerokość obydwóch wodospadów, jednakże, bądźto z powodu mglistego i dżdżystego czasu, bądźto z powodu siły z jaką woda rozbryzguje się spadając z takiéj wysokości, widziałem tylko jakby olbrzymią chmurę mgły, wznoszącą się z przepaści ku niebu. Ale straszliwy huk wydobywający się z poza téj mgły, zwiastował doskonale co się dzieje poza jéj białawą zasłoną.

Przejechawszy most, stanęliśmy wreszcie przed szeregiem domów stojących na wysokim niezmiernie brzegu, tuż koło wodospadu. Wtedy mogłem mu się dobrze przypatrzéć. Rzeczywiście, widok to, na wspomnienie którego mdleje i zwija skrzydła wyobraźnia, a pióro wypada z ręki. Olbrzymia massa wód jeziora Erie, spływając potężną gardzielą ku Ontario, traci nagle grunt pod sobą i spada w dwóch miejscach w otchłań. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że ziemia nie wytrzyma tego ciężaru i uderzenia wód rozszalałych i dzikich, które same wydają się być przerażone. Jest w tém wszystkiém jakieś przedpotopowe barbarzyństwo, jakaś niepojęta siła, a zarazem i okropność, niespotykana nigdzie, bijąca w oczy jakby straszliwym gwałtem zadawanym naturze. Mimowoli przychodzi ci na myśl, że stało się tu coś okropnego, że to jakiś kataklizm natury, i nie możesz oswoić się z myślą, że ten kataklizm nie kończy i nie skończy się nigdy. Niebo tu pochmurne i poszarpane. Gnane wichrem obłoki zbiegają się i rozbiegają jak stada dzikich koni. Naokoło czarne, ponure skały, połupane w demoniczne

zręby. Huk wody ogłusza cię. Ostry wiatr tnie kroplami wodnemi po twarzy. Czasem mgła wybucha nagle u stóp wodospadu i zasłania oku wszystko; to znów niknie, a wtedy widzisz kłęby piany i cały wodospad jak na dłoni.

Chwile te jednak trwają krótko. Zwykle mgła, piana, woda i powietrze zmieszane ze sobą, tworzą taki chaos, że gubisz w nim wzrok i słuch, a nareszcie i świadomość, co się dzieje z tobą samym. Zdaje ci się, że się tu wszystko wściekło. Po pięciu minutach podróżnik czuje się zmęczony, a na czoło występują mu krople potu, które mrozi lodowaty oddech otchłani. Pragnie zawołać: dosyć już! a tam wodospad huczy i huczy, przepaść całą szerokością gardła wypluwa pianę, słychać jakby jakieś jęki, jakby głosy wołające o zmiłowanie; to znów niby śmiechy, przechodzące nagle w ryk wściekłości: rzekłbyś, że to całe piekło rozpętane gzi się w straszliwéj orgii wśród chaosu.

Takie wrażenie, a raczéj takie przez pół tylko świadome siebie poczucie, wywołuje Niagara. Jest w tém poczuciu pewien ucisk, ale jest i rozkosz, jaką sprawia zawsze zapamiętanie się chwilowe, zapomnienie o życiu i oddanie się całkowite naturze. To téż, przezwyciężywszy pierwszy nieład pognębionych myśli, trudno potém oczu oderwać od tego widoku. Otchłań poczyna nęcić i wabić. Jakaś nieprzezwyciężona siła ciągnie widza nad sam brzeg przepaści: chciałby ją mieć tuż, tuż pod stopami, nie oddzieloną nawet calem stałego gruntu. Chciałby pochylić się i zawisnąć choćby przez chwilę między życiem a śmiercią. A tam na dnie, potworne skręty spienionéj wody zdają się otwierać na przyjęcie topielca, to znów bryzgi wyciągają

się nakształt ramion gotowych objąć i porwać. Przepaść mówi: „pójdź!“ ale po chwili instynkt odpowiada jéj: „dobrze, ale z wszelkiemi ostrożnościami!“

Jakoż „z wszelkiemi ostrożnościami“ można zejść na dół pod kaskadę, woda bowiem spada z taką siłą i pędem, że wygina się i tworzy łuk, między stroną wklęsłą którego a skałą, znajduje się miejsce wolne, zawalone tylko pianą i lodami. Żeby jednak tam dostać się, trzeba najprzód przybrać się odpowiednio; dlatego udaliśmy się do domku przewodnika murzyna; który wynajmuje siebie i swoje kostiumy. W chacie murzyna zastaliśmy już jakąś parę angielską, robiącą również wodospadową tualetę. Stara, brzydka i chuda miss, przybrana w obrzydliwy płaszcz i kaptur z pęcherzów rybich, z pod którego widać było jéj koniec nosa i złote okulary, wyglądała jak strach na wróble. My ubraliśmy się w podobneż płaszcze i kaptury, i wreszcie ruszyliśmy całą karawaną. Po chwili murzyn wprowadził nas do małego drewnianego budynku, w którego podłodze czerniał otwór, w otworze zaś schody. Zimno bijące z lodów leżących między skałą i wodospadem i ciemność ogarnęły nas zaraz na wstępie. Brzydkie murzynisko, podobniejsze do gorylla niż do człowieka, szło naprzód, wołając od czasu do czasu: „ho! ho!“ dla wskazania nam drogi w ciemnościach.

Nakoniec, po kilkudziesięciu schodach, blade światło idące z dołu uderzyło o nasze oczy. Weszliśmy do małéj sionki, z któréj wyjście wiodło prosto pod wodospad, ale przewodnik zawołał: stop! i począł przywiązywać do butów naszych podeszwy podbite ostremi żelaznemi gwoździami. Angielska miss zdawała się uznawać to jako cokolwiek *shoking*, ale nakoniec dała

się nakłonić i spuściwszy oczy, czy też okulary, wyciągnęła skromnie do murzyna nogę, a raczéj szpadę, mającą kilka cali szerokości, ale za to koło jednego łokcia długości. Potem weszliśmy pod wodospad. Nie wiém dlaczego wewnątrz huk wydaje się mniejszy, jak zewnątrz; szarawe światło dzienne wnika przez zasłonę wody, napełniając całą jaskinię ponurym jakimś pół-mrokiem, pół-blaskiem. Skała stanowiąca tylną ścianę, czarna, popękana; grunt złożony z wielkich złamów lodu: wszędzie dziko i pogrzebowo. Wązkie wstążeczki wody oderwane od ogólnego wodospadu, spadają z szelestem na lody; powietrze przesiąknięte jest mgłą i kroplami; wiatr, który nie wiem jak się tu dostaje, dmie jakby w kuźni dyabelskiéj; zimno przenika przez pęcherzowe płaszcze i paletoty. Mimo mniejszego huku, niepodobna się usłyszéć i zrozumiéć. Po ogromnych i ślizkich jak szkło bryłach lodu, zbliżyłem się tuż do wodospadu, albowiem ostre kolce moich butów, usuwały wszelkie niebezpieczeństwo. Przewodnik zaczął coś wołać, ale widziałem tylko jego gesta i poruszenia ust, głos zaś ginął wśród ryku.

Nic piękniejszego, jak wodospad widziany od wewnątrz z dołu. Kiedym spojrzał w górę, zasłona wód wydała mi się nieruchomą, niby jedną ogromną szybą lodową, i gdyby nie wrzenie u dołu, sądziłbym, że istotnie zamarzła. Ale kłęby piany, które od czasu do czasu dostawały się z zewnątrz, rozpraszały wszelkie złudzenie. Potém spojrzałem na dół. Jakąż to niezgłębioną przepaść musiały wybić w ziemi te wody spadające od wieków z takim impetem. Wszystko tam na dole wre, kipi, rozbija się, burzy, słowem: istne piekło wodne. Cofnąwszy się z lodowatego krań-

ca, odetchnąłem głęboko jakby po nadmiernéj pracy. Wnętrze jaskini wydało mi się spokojne. Małe wstążeczki przeciekającéj wody rozbijały się w brylantowe krople o lodowiska, z wdziękiem i łagodnością, stanowiącą prawdziwe przeciwstawienie temu sabbatowi ryczącemu o kilkanaście kroków daléj. Oczy me tak dalece już oswoiły się z pół-mrokiem, że widziałem dokładnie każdy złam i każdą szparę czarnéj skały, również jak i kępki mchu, lśniącego wilgocią w szczelinach.

Czas było wracać, bo zimno i wilgoć stawały się coraz dotkliwsze, ale tymczasem nasi anglicy opóźniali powrót, pakując do wszystkich kieszeni ułamki skały. Sądzę, że gdyby mogli, schowaliby do kieszeni całą Niagarę, aby ją przenieść do British Museum, tak jak to zrobili z akropolem greckim. Wyszliśmy wreszcie. Przez drogę towarzysz mój począł się kłócić z młodym anglikiem, który dowodził koniecznie, że wodospad leży w Anglii, ponieważ Kanada jest Anglią; a kiedy wreszcie powiedzieliśmy mu, że Anglia ustępując niedawno prawa rybołóstwa na jeziorach, amerykanom, zrzekła się niejako przez to prawa do jezior—umilkł, zły widocznie czy rozgniewany, nie wiém, czy na Jankesów, czy na nas. Wyszedłszy na zewnątrz jamy na powierzchnię ziemi, nie ujrzeliśmy znów wcale wodospadu, wszystko bowiem zasłaniał białawy tuman mgły, którym było przesiąknięte całe powietrze. Zwiedziliśmy jeszcze domy leżące nad brzegiem. W jednym z nich jest muzeum, zawierające niezbyt osobliwe zresztą osobliwości Niagary, jako to: muszle, skamieniałości, kości zwierząt porwanych przez pęd wody, fotografie okolicznych widoków i tym podo-

bne. W rzeczywistości, domy te są to pułapki na podróżnych, którym sprzedają tu na wagę złota rozmaite, niby pamiątkowe drobiazgi. Na dobitkę, sprzedaje je młoda i tak ładna miss, że prawie niepodobna oprzeć się pokusie; każdy więc kupuje zwykle dziesięć razy więcéj niż zamierzał. Potém prowadzą jeszcze podróżnych na górę muzeum, gdzie jest mała wieżyczka stanowiąca rodzaj obserwatoryum, z którego widać jak na dłoni całą okolicę. Ściany i balustrada wieżyczki pokryte są tysiącami napisów w języku angielskim, francuzkim, włoskim etc. Widziałem także napisy polskie i rossyjskie, każdy bowiem uważa sobie za obowiązek, zostawić tu swoje nazwisko, również jak i datę odwiedzin.

Co do mnie, jako dobry kolega, przekazałem wiekopomnéj nieśmiertelności na ścianie nietylko swoje nazwisko, ale i wszystkich znajomych, jakich na razie mogłem sobie przypomnieć, wszystkich kuzynek, kuzynów, a nawet i ich potomstwa. Młody anglik obok swego imienia Henry, wypisał jeszcze imię Mary, poczem otoczywszy wszystko nader skomplikowanym zakrętasem, oddalił się o kilka kroków, przypatrując się z zadowoleniem swemu dziełu. Potém zeszliśmy na dół, gdzie nas porwano, posadzono na pniu i odfotografowano w ciągu pięciu minut, wraz z naszemi pęcherzowemi kostiumami, za co kazano sobie dobrze zapłacić. Tymczasem ściemniło się. Wodospad objawiał się coraz bardziéj nieprzenikniona zasłoną mgły; począł zacinać drobny deszczyk. Siedliśmy i pojechaliśmy napowrót do Suspension-Bridge. Na końcu mostu wpadli na nas celnicy amerykańscy, wymagając oclenia wszystkich zakupionych rupieci. Ale

dolar wsunięty w rękę naczelnika komory, uspokoił jego republikańską troskliwość o dochody Stanów Zjednoczonych, i ruszyliśmy daléj w spokoju. W Suspension-Bridge rzuciliśmy ostatnie spojrzenia na wodospady, które raczéj już tylko słyszeć niż widzieć się dawały. Pociąg amerykański nadszedł wkrotce i ruszył przez Kanadę w sam kąt zachodni Ontario, do Hamilton, zkąd ciągle Kanadą jechaliśmy na całą noc do Detroit, nad samym brzegiem Erie.

Kraj podnosił się bardzo nieznacznie, ale ciągle; Erie bowiem leży o sto kilkadziesiąt stóp wyżéj nad Ontario. Niagara jest właśnie tylko zlewem wód Erie do Ontario, któryto zlew trafiwszy na skałę uciętą nagle, tworzy wodospad. Od Ontario znów grunt zniża się lekką pochyłością, aż do Oceanu, z którym jeziora łączą się przez wspaniałą, najszerszą może na świecie, rzekę Świętego Wawrzyńca.

Rankiem nazajutrz przybyliśmy do Detroit, miasta leżącego w Michiganie niedaleko Erie, nad rzeką łączącą wody Huronu z Erie. O tém Detroit wiedziałem z geografii tylko że istnieje, więcéj nic. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy wyszedłszy z dworca na ulicę, ujrzałem miasto ogromne, niezmiernie schludne i tak piękne, jakiego dotąd nie widziałem w Ameryce. Godzina była ranna, więc wszystko spało jeszcze. Szliśmy wielką ulicą, pełną kościołów, jak się zdaje katolickich. Po obu stronach ulicy stały, niezwykłe z czerwonej cegły domy, ale śliczne pałacyki, oddzielone od ulicy złoconemi sztachetami. Za sztachetami widać było klomby zieleniejących się już kwiatów; jodły i ciemnozielone piramidalne świerki, między któremi odbijały wdzięcznie białe ściany, i uma-

lowane różową zorzą wielkie szyby pałacyków. Gdzieniegdzie przed domami murzyni robili porządek śpiewając zcicha i paląc fajki. Wyszliśmy na obszerny plac, stanowiący rynek miejski. Na środku jego wznosił się piękny posąg któregoś z generałów ostatniej wojny z Południem. Na około zwykłe już kamienice, ale wspaniałe i ozdobne z ogromnemi sklepami, których okiennice nie były pozamykane. Rynek wrzał już życiem. Wozy zaprzężone mułami hurgotały po bruku, wioząc warzywo. Wróciliśmy wreszcie na dworzec. Pociąg odchodził za pół godziny; mieliśmy więc jeszcze czas zjeść śniadanie, na które dano nam bardzo dobrą zupę ze ślimaków, gotowanych na mleku. Do śniadania usługiwał nam metys. Pierwszy to raz widziałem człowieka, w którego żyłach płynęła krew indyjska. Byłto dżentleman dobrego wzrostu, o czerwonawéj skórze, grubych prostych włosach, tak czarnych, że przechodziły aż w kolor błękitny, i dobrotliwéj twarzy. Czoło miał wązkie, kości policzkowe trochę wystające, zresztą rysy dość regularne, przypominające twarze naszych druciarzy. Za każdém wydaném mu zleceniem powtarzał z powagą: „yes sir!“ i usługiwał równie zręcznie jak szybko. Kiedy po śniadaniu wsunąłem mu, sprzecznie ze zwyczajami amerykańskiemi, w rękę napiwek, spojrzał nań, potem zawoławszy: „o! yes sir!“ uśmiechnął się uradowany, i z własnéj ochoty zaniósł nam futra i podróżne torby do wagonu.

Ruszyliśmy przez Stan Michigan; ku jezioru tegoż nazwiska, nad którego południowo-zachodnim krańcu leży Chicago. Kraj, przez który przejeżdżałem, niezmiernie podobny do Prus polskich. Mnóstwo wię-

kszych i mniejszych jezior, rzek, strumieni, nadzwyczajna obfitość wód; słowem, wszędzie widać, że jestto jedno wielkie pojeziorze, ponad którém przed wielu laty szumiały fale. Lasy wszędzie dość wielkie. Bliskość wielkich zbiorów wody działa widocznie ocieplająco na klimat, bo śniegu nie widzieliśmy prawie nigdzie, drzewa po lasach wypuszczały pędy wiosenne, a trawa zieleniała się na nizkich łąkach. Od czasu do czasu zapuszczałem wzrok w głąb kraju, ciekawy czy nie ujrzę gdzie czerwonoskórnych, których liczne pokolenia żyły niedawno jeszcze koło jeziora, a jedno z nich zostawiło w nazwie Huron, wieczną po sobie pamiątkę, ale znikły nawet ich ślady. Niema ich nietylko w Michigan, ale w sąsiedniém Ohaio (Ohio), Indyanie i Illinois. Indyanin, dzik, niedźwiedź, kujota i jaguar, ustępują coraz daléj i daléj na zachód przed białemi, lub giną w rozpaczliwéj z nimi walce.

We dwadzieścia cztery godzin po wyjeździe z Detroit, przybyliśmy wreszcie do Chicago. Ogromne to miasto leży na południowo-zachodnim brzegu jeziora Michigan, i stanowi port dla wszystkich statków krążących między Kanadą a Stanami Zjednoczonemi. Przed kilku zaledwie laty zostało prawie zupełnie zniszczone przez pożar, odbudowywa się jednak na nowo z niepojętą szybkością. Wszelako tu i owdzie widać jeszcze ślady pożogi. Gdy przyjechaliśmy, zapadł wieczór; mimo to natychmiast wyszedłem z hotelu na ulicę. Po rozczarowaniu, jakiego doznałem w New-Yorku, po brudach i nieładzie osławionego Empire City, Chicago robi wrażenie i przyjemne i majestatyczne. Miasto imponuje. Ulice nadzwyczaj szerokie, domy wszędzie ogromne, poważne, budowane i urządzone z przepy-

chem: chodniki wysoko wzniesione nad poziom ulicy, zadziwiają szerokością i ogromem płyt kamiennych, z których zostały ułożone. Słowem, wszystko tu ogromne; rzekłbyś: miasto zbudowane przez olbrzymów i dla olbrzymów. Ma ono swoje cechy oryginalne. Znać że jest nowe, budowane według najnowszych wymagań. Czytałem kiedyś opis fantastyczny miast, tak jak one będą wyglądać w wieku XX-stym. Otóż Chicago przypominało mi ten opis. Wszystko tu prawidłowe, prostopadłe, prostokątne, wszystko pod sznur; wszędzie nieznane jeszcze gdzieindziéj ulepszenia. Po wszystkich ulicach krzyżują się szeregi słupów telegraficznych, o ogromnéj ilości drutów. Na sznurach również drucianych, poprzeciąganych między domami wpoprzek ulicy, wiszą szyldy z rozmaitemi napisami. W mroku wieczornym, który nie dozwalał dojrzeć drutów, szyldy owe wydawały się, jak gdyby zawieszone w powietrzu. Spojrzawszy w głąb' ulicy, widzisz ich całe szeregi większych i mniejszych o rozmaitych barwach, rzekłbyś: miasto przystroiło się chorągwiami, jakby na jaką uroczystość.

Na chodnikach ruch ogromny. Tłumy ludzi białych i kolorowych biegną w rozmaite strony, z tym czysto amerykańskim pośpiechem, oznaczającym zacietrzewienie się handlowe; środkiem ulicy ciągnie mnóstwo powozów i fiakrów, słychać dzwonki tramwajów, nawoływania woźniców: wszędzie ścisk i wrzawa, zdradzająca wielką bujność życia tego młodego miasta. Wieczór wreszcie zapadł zupełny, ale widno było jak w dzień, od tysiącznych płomieni gazowych. Wystawy olbrzymich sklepów płonęły jakby istne ogniska. Wybrawszy pierwszą lepszą ulicę, szedłem

gdzie mnie oczy poniosą. W niektórych miejscach szeregi domów przerywały się nagle, a natomiast widać było puste place, pokryte okruchami cegły i rumowiskiem, oznakami niedawnego pożaru. Miejscami zdawało się, że tu zakładają nowe jakieś olbrzymie miasto. Jakem okiem mógł dojrzeć rusztowania i rusztowania, nie wykończone domy, spoglądające pustemi jamami okien, wszędzie mury spiętrzone jedne nad drugiemi, stosy cegły i wapna; aż oto daléj znów ulica już wybudowana i wykończona, słychać turkot i wrzawę ludzi, błyszczą płomienie gazowe: słowem, miasto odrodzone jak feniks z popiołów.

Co przedewszystkiem uderza w tych miastach amerykańskich, to ich żywotność, a zarazem nieprawdopodobna niemal energia mieszkańców. Przyszedł pożar, niesłychany w nowszych czasach, miasto spłonęło jak nabój prochu; mieszkańcy rozproszyli się, handel upadł, przemysł również; majątki poszły w ruinę, ludzie zostali bez dachu, chleba; potém upłynęło kilka lat, miasto już stoi na dawném miejscu: czterysta tysięcy mieszkańców znajduje w niém pracę i życie; wznoszą się domy, pałace, kościoły, fabryki, hotele, sklepy; kwitnie zamożność, wre ruch, praca i życie; za kilka jeszcze lat, już i śladów pożogi nie będzie, a spali się miasto jeszcze raz, to i odbudują go jeszcze raz, jeszcze dwa i dziesięć razy, bo energia tych ludzi przezwycięża wszelkie nieszczęścia i wszelkie wypadki.

Nadzwyczajny swój wzrost zawdzięcza jednak Chicago, prócz energii mieszkańców, jeszcze i przepysznemu położeniu handlowemu. Leżąc nad Michiganem, ta królowa jezior panuje nad całym systemem

wód łączących Kanadę ze Stanami Zjednoczonemi. Cały handel owych mórz wewnętrznych leży bezpośrednio w jéj ręku. Można rzec, że jestto port położony we wnętrzu lądów, dlatego też ciągnie jednocześnie korzyści tak z lądowego, jak i z portowego swego pochodzenia. Następnie, jako wielkie miasto, najdaléj wysunięte na Zachód na kolei dwóch Oceanów, łączy New-York z San-Francisco; cywilizacyą z dalekim Zachodem. Wschód wysyła produkta swego przemysłu, Zachód produkta naturalne; Chicago zaś jest wielkiem targowiskiem, gdzie się odbywa zamiana.

Idąc ulicą gdzie mnie oczy poniosą, wszedłem w dzielnice pustsze i cichsze. Potém miasto urwało się, jakby ucięte, a natomiast zobaczyłem toń Michiganu. Osrebrzone światłem księżyca fale łamały się o nizki bulwark, tuż pod memi nogami. Zdala szumiał gwar miasta, a tu spokojniéj było, przestroniéj, powietrzniéj, ciszéj, tylko plusk wody, a od czasu do czasu gwizdanie dalekiego parowca, przerywały uroczystą i bardzo pożyteczną ciszę.

Wróciłem wreszcie do hotelu, tak zwanego Palmerhouse, gmachu zbitego z wielkich płyt marmurowych, z prawdziwie babilońskim przepychem. Wszystko kapie tu od złota, jedwabiów i aksamitu. Oczy moje nawykłe przed chwilą do pustéj i mrocznéj przestrzeni wód, mrużyły się pod nadmiarem światła i owego zbytku, kipiącego jak bukiet piany na kielichu szampana. Ale téż ten hotel, to największa osobliwość Chicago. I tu, jak we wszystkich miastach Ameryki, niemasz pamiątek historycznych, zaklętych w kamień lub marmur zabytków przeszłości: kościołów, muzeów. Wszystko to nowe, dzisiejsze; wszędzie jutro

jest wszystkiém, a wczoraj znaczy pustynię, odwieczne lasy i wielką ciszę pustyni.

Następnego dnia oglądaliśmy jeszcze miasto, poprawdzie jednak, do poznania większości amerykańskich miast, parę godzin wystarczą, nie wiele więc widzieliśmy nowego. Ale dzień upłynął znowu: nazajutrz świtaniem puściliśmy się w dalszą drogę.

Illinois, przez którego północny kraniec jechaliśmy cały dzień jest krajem uprawnym, gęsto zaludnionym, którego całą różnicę od poprzednio opisywanych Stanów, stanowi coraz większy brak lasów i w ogóle drzew, co okolicom smutny nadaje pozór. Po obu stronach kolei widać jednak farmy stojące jedna przy drugiéj i uprawne pola.

Tak w Illinois, jak i w leżącym na północ Wisconsin, istnieją dosyć znaczne osady polskie [1]), zamieszkane po największéj części przez chłopów, zostających pod wodzą proboszczów. Osady te, mimo iż dosyć ludne, są przecież mniéj więcéj biedne; mieszkańcy zaś tu i owdzie żyją z ograniczeniem wielu potrzeb i tęsknią do kraju. Przyczyną tego jest brak znajomości języka, zwyczajów i wogóle warunków miejscowych, bo zresztą ziemia urodzajna i wielka obfitość komunikacyi, zapewniają osadom wszelkie warunki pomyślności i rozwoju.

Po upływie dwunastu godzin, przybyliśmy na granicę Illinois i Aioda (Jowa), do stacyi, a raczéj osady Clinton, leżącéj tuż nad brzegiem Mississipi.

Był zachód słońca. Wspaniały, lubo niezbyt jeszcze w tém miejscu szeroki „Ojciec wód“ błyszczał w olbrzymich skrętach i rozkrętach, jakby ogromna złota wstęga, niknąca w dali w ciemnych lasach.

---

[1]) *Szczegółowe o nich wiadomości patrz w osobnym liście.*

Brzegi jego zarosłe dziko i malowniczo. Znać nie wiele jeszcze lat upłynęło, jak biały człowiek położył swą żelazną rękę na téj okolicy. W samém Clinton, drewniane domy jeszcze nie zczerniały od słońca i od wiatru. Osada to, jakby wczoraj dopiero założona; nieliczne domy stoją na czarném błocie: tu i owdzie świecą wielkie kałuże. Stosy wiórów leżą jeszcze przed domami. Daléj widać nowo rozpoczęte budynki, kupy desek i pni wyciętych w nadbrzeżnych lasach. W niektórych pniach sterczą krzywe pionierskie siekiery: wszędzie nieład i nieporządek, jako zwyczajnie w osadzie, która się dopiero wznosi. Nieporządek ten powiększa jeszcze kręcące się bydło i trzoda chlewna, uwalana w czarném błocie, podnosząca za zbliżeniem się pociągu chrapliwe nozdrza z kałuży. Pierwsza to osada, w któréj znać życie czysto pionierskie, ale kto wié, czy za lat kilka nie zmieni się w znaczne miasto, czemu położenie na przecięciu się wielkiéj kolei z Mississipi, bardzo sprzyjać się zdaje.

Na wodach „Wielkiego ojca“, wszędzie widać ruch ogromny. Widziałem galary, komiegi i szuhaleje obładowane rozmaitym towarem, spławianym prawdopodobnie do St. Louis, a może i daléj. Flisacy i majtkowie tych statków, przybrani w flanelowe koszule i w obdarte kapelusze, silni, wysocy, przedstawiają doskonały typ amerykanów kresowych, żyjących na pograniczu cywilizacyi i pustyni, o których tyle zdarzyło mi się czytać w powieściach Coopera, Bret Hearta i innych. Ich zarośnięte podgardla, energiczne twarze, rewolwery sterczące w tylnéj kieszeni spodni: wszystko to nadaje im pozór jakiś istotnie powieściowy, romantyczny i nawpół rozbójniczy. Płyną

po największéj części z Wisconsin, albo z dorzeczy „Wielkiego ojca“ wód, po brzegach których, życie jest jeszcze dzikie i stepowe. Znać też po nich to życie: piją dużo i biją się o lada co; namiętności ich niepohamowane wybuchają za lada powodem; ale zresztą są to ludzie uczciwi i sprawiedliwi, lubo sprawiedliwość ich w stosowaniu prawa innych, na okrucieństwo czasem zakrawa.

Jowa jednak należy już do Stanów ucywilizowanych, a Wielki Zachód właściwie rozpoczyna się dopiero za Missouri, od dość dużego miasta Omaha, przez które także przechodzi koléj dwóch Oceanów. Nie chcąc jednak uprzedzać geografii w opowiadaniu, wracam do Clinton. Po półgodzinnym przestanku pociąg wyrusza daléj. Droga idzie teraz krajem zupełnie bezleśnym i podnosi się ciągle, zbliżamy się bowiem do olbrzymiego płaskowzgórza obejmującego cały środek Stanów Zjednoczonych, a stanowiącego stepy, czyli tak zwane tu pererye. Po obu stronach drogi mkną jeszcze farmy, ale już rzadsze niż w Illinois. Miejscami, przy świetle księżyca widzę pola obsiane kukurydzą, któréj wysokie łodygi czarne, zwiędłe i smutne, sterczą jeszcze od przeszłego lata. W miarę jak pędzimy na Zachód, kraj staje się coraz pustszy. Jowa, lubo przecięta już kolejami na wszystkie strony, stanowi niby przedsionek téj olbrzymiéj pustyni, obejmującéj przestrzeń od Missouri aż do Sierra Nevada. Kraj równy wszędzie, płaski, miejscami tylko powyginany w lekkie doliny i wzgórza. Drzewa nigdzie ani śladu. Oko gubi się w oddaleniu, nie znalazłszy przedmiotu, na którymby mogło spocząć.

Krańce cywilizacyi znać nawet i po towarzystwie, jakie zapełnia wagony. Zamiast starannie przybranych, mniéj więcéj eleganckich gentlemanów, pociąg napełnia się jakiemiś brodatemi i wąsatemi postaciami, w podartém odzieniu, z brudnemi węzełkami rzeczy przy sobie i z rewolwerami za pasem. Rozmowa wre głośna i burzliwa; czasem słychać klątwy; kłęby dymu unoszą się pod sklepieniem wagonów; drzwi trzaskają otwierane i zamykane silnemi rękami; w rozmowach słychać często powtarzające się nazwiska Sioux i Pawnis, które to nazwy oznaczają Indyan zamieszkujących Nebraskę i Dakota.

Sądziłem, że im daléj na Zachód, tém pociąg będzie stawał się pustszy, tymczasem ze zdziwieniem spostrzegam prawdziwe tłumy, osób czekające na każdéj stacyi. W wagonach, w końcu, zrobiło się tak ciasno, iż nikt nie mógł się poruszyć. Po europejsku rzeczy biorąc, było to towarzystwo jak najgorsze. Zawsze owi brodacze z rewolwerami sterczącemi w tylnéj kieszeni, ale o twarzach coraz dzikszych. Tłum ten i w ogóle cały ów ruch wydał mi się czémś niezwyczajném; dlatego usłyszawszy tuż obok mojéj ławki pasażera mówiącego po francuzku pytałem coby to znaczyło. Odpowiedział mi, że wszyscy ci ludzie ciągną do Omaha, a ztamtąd przez Sioux City do Czarnych gór, gdzie świeżo odkryto kopalnię złota. Byli to więc minerowie, albo raczéj awanturnicy wszelkich stanów, którzy porzucili inne zajęcie dla spodziewanych bajecznych zysków w górach. Pasażer francuz mówił mi, że mnóstwo takich partyi już się udało ku Black Hills, a codzień nadciągają jeszcze nowe. Nie brak w nich nawet kobiet z dziećmi przy pier-

siach, które czasem jadą same, a czasem towarzyszą mężom. Na bocznych kolejach Jowy panuje ruch podobny, słowem we wszystkich pogranicznych stanach, słyszysz tylko okrzyk: „Black Hills! Black Hills!“

A tymczasem ten raj wymarzony, nie jednemu grobem się stanie, tak bowiem i cały kraj wokoło jak i Czarne góry, są własnością Siouxów, najliczniejszego z plemion indyjskich na północy, mogącego wystawić dziesięć tysięcy wojowników. Własność Czarnych gór została im przyznana i zagwarantowana dawniéj jeszcze przez rząd Stanów Zjednoczonych, dlatego topór wojenny długo leżał pogrzebany między czerwonemi a białemi. Ale teraz rzeczy się zmieniły. Tłumy białych awanturników, nie pytając o układy rządowe, rzuciły się w góry. Rząd wprawdzie w takich razach nie daje im opieki, ani posyła wojsk na ich obronę, ale awanturnicy zbrojni i przywykli do boju z indyanami, mniéj jeszcze dbają o pomoc niż o układy, i zabierają co im się podoba. Taki stan rzeczy, który zresztą w całych Stanach jest ogólny, przyprowadził indyan do rozpaczy.

Naprożno wysyłają poselstwa, które pargaminami, pieczęciami i podpisami dowodzą swéj własności. Rząd niéma siły utrzymać awanturników, co więcéj, gdy kraj jest już zajęty, gdy powznoszą się farmy i miasta, rządowi nie pozostaje nic innego, jak tylko usankcyonować zabór i doliczyć do Stanów jedno więcéj terytoryum. Tak dzieje się w Dakota, w Nebrasce, w Kansas, w Indian Territory: słowem wszędzie. Rząd wyznacza dzikim ziemię, a biali ją zabierają, i wytępiwszy indyan, zakładają nowe Stany. Ale w obec tego, cóż pozostaje czerwonoskórnym? Oto

wojna i wojna, bez nadziei zwycięztwa, tylko o śmierć. Dziś czerwoni wojownicy wiedzą już, że nie wytrzymają boju z „Długiemi nożami," jak nazywają białych, idzie więc im o to, aby nie zginąć bez zemsty i żeby na tamtym świebie złożyć u nóg Wielkiego Ducha jak najwięcéj krwawych skalpów zdartych z głów najeźdźców. Krótko mówiąc, rassa ta dzielna, choć dzika ginie nieubłaganie na całéj przestrzeni Stanów. Z cywilizacyą, która zresztą pod najgorszą postacią im się przedstawia, pogodzić się nie umieją i nie mogą, więc cywilizacya ta ściera ich z powierzchni ziemi równie nieubłaganie, jak brutalnie.

Teraz przyszła koléj na Siouxów. Wojownicy ich pomalowali się ochrą i stanęli w gotowości do boju, który obecnie już się rozpoczął! Gazety przepełnione są opisami dramatycznych zajść w Czarnych górach, które to opisy częstokroć umyślnie przesadzone podsycają tylko nienawiść białych, i zamiast odstraszać, zachęcają tylko wszystkie niespokojne duchy do odszukania krwawych awantur i do zemsty nad czerwonoskórnymi. Niektóre z tych wieści brzmią jak prawdziwe romanse. Oto naprzykład słyszałem opowiadanie o pewnéj pannie, pięknéj jak lilia i bogatéj, która wyszła za mąż wbrew woli rodziców, za biednego emigranta. Rodzice nie dali nic, małżeństwo żyło więc w biedzie. Piękna Nelly prała białemi rączkami bieliznę, młody małżonek zaś był pedlarem, to jest nosił i sprzedawał po domach towary. Aż przyszły wieści o kopalniach w Black Hills. Nie wiele myśląc, młody małżonek zabrał ukochaną Nelly i puścił się w góry. Raz, ze strzelbą na ramieniu, oddalił się od obozowiska, aby coś upolować na wieczerzę—

i więcéj nie wrócił. Nelly pozostała sama, bez opieki i środków ratunku wśród awanturników najgorszego gatunku. Szczęściem w blizkości obozu, co wieczór błyszczało ognisko traperów, to jest stepowych strzelców, którzy całe życie włóczą się po preryach, polując i walcząc z indyanami. Otóż pewnéj nocy przy ogniesku traperów zabłysła blada twarzyczka Nelly.

— Jestem sama, biedna i zmęczona—rzekła im. —Kochałam, ale czerwonoskórzy porwali mi tego, któregom kochała. Udaję się do was. Przyjmijcie mnie, bom samotna i ratujcie bom nieszczęśliwa!

Półdzikie serca starych traperów poruszyły się litością. Nietylko przyjęli biedną Nelly, ale pokochali ją jak córkę i strzegli jak źrenicy w oku. Zaraz nazajutrz ruszyli na poszukiwanie zaginionego oblubieńca i znaleźli go w wigwamach Siouxów, schorzałego, zbitego, bliższego śmierci niż życia, a bliższego śmierci témbardziéj, że pal męczarni dla niego stał już przed wigwamem wodza gotowy. Traperowie nocą przyczołgnęli się aż tuż do namiotów i podniosłszy okrzyk wojenny uderzyli na czerwonoskórych. Z pomocą szesnastostrzałowych karabinów, wkrótce ułatwili się z indyanami. Oblubieniec był ocalony, ale bohaterska Nelly otrzymała śmiertelny postrzał w piersi, z ręki uciekającego indyaniną. Konającemi ustami pożegnała się z oblubieńcem, ze swemi „ojcami“ i zmarła. Odtąd oblubieniec przestał już złoto kopać, traperowie porzucili myśliwstwo, i całe swe życie poświęcili tylko zemście. Wielu już indyjskich obozowisk popioły wiatr rozwiał, wielu wojowników poszło polować na niebieskie stepy do wielkiego ducha, wiele zginęło skwawów i dzieci, ale mściwi traperowie

nie porzucili jeszcze krwawego dzieła, i dotąd nocami krążą nakształt wilków lub złych duchów, koło indyjskich wigwamów.

Taka jest historya Nelly, godna pióra Coopera lub Gabryela Gerry. Niezawodnie prawdy w niéj niewiele, a może i nic wcale; to tylko pewna, że na owe gorączkowe stosunki, wśród których miała wykwitnąć, patrzyłem własnemi oczyma. W wagonach pędzących do Omacha, a ztamtąd przez Sioux City do Czarnych gór, nie brakowało nawet i dobrych myśliwców, o jakich wspomina historya Nelly. Kilku z nich siedziało spokojnie w Smoking-wagonie, kurząc fajki lub drzemiąc. Ubrani byli w futrzane czapki, w pasy ze skóry bawoléj, i w futrzane kaftany. Obok jakiś długowłosy gambuzino wygrywał na gitarze. Chwilami zdawało mi się, że śnię lub czytam powieść. Nagle jednak, jeden z moich zmysłów, podrażniony w okropny sposób, przekonał mnie, że wszystko to jest najregularniejszą rzeczywistością.

Było to jeszcze w Jowa, ale już na zachodnim jéj krańcu i pośród nocy. Wjechaliśmy w okolicę skunksów, i czy to pociąg przejechał jedno z tych zwierzątek, czy téż znajdowało się ich mnóstwo w pobliżu, dość że tak okropny zapach napełnił wagony, iż prawie niepodobna było oddychać. Osłoniwszy nosy chustkami, czuliśmy tę obrzydliwą woń nawet w ustach. Próbowałem otworzyć okno: było to jeszcze gorzéj. Chciałem przynajmniéj wynagrodzić sobie przykrość widokiem zwierzątek, ale przez okno wagonu widziałem tylko step porosły wrzosem i oblany światłem księżyca, zresztą ani żywéj duszy. Francuz mówił mi, że w najbliższéj stacyi zapewne je ma-

ją, żywe lub przynajmniéj skóry, że zatem będę je mógł widzieć. Ztąd wpadliśmy na rozmowę o tych zwierzętach. Skunks, a raczéj dość brzydko nazwany po polsku: śmierdziel amerykański, jestto dość duże, mające około jednéj stopy długości, zwierzę drapieżne z rodzaju kun. Żywi się ptakami, jajami, oraz niszczy mnóstwo szczurów, chomików, ziemnych wiewiórek i świstaków czyli stepowych piesków, z którego to względu jest nawet pożyteczny, zwierzątka te bowiem robią ogromne szkody w polach. Niektóre gatunki, a mianowicie tak zwany czarny skunks, dostarcza dość drogich i pięknych futer, które dobrze są znane w Warszawie. Ale skunksy z Jowy są łaciaste, białe z czarném, lub nakrapiane biało na grzbiecie, pod brzuchem zaś i na piersiach zupełnie białe.

Z przyczyny téj pstrocizny, skóry na nic nieprzydatne, nikt więc na nie nie poluje i dlatego mnożą się jak im się samym podoba. Między zwierzętami nie mają groźnych nieprzyjaciół, a raczéj mają doskonałą broń przeciw najgroźniejszym, w owym okropnym zapachu i w łatwości, z jaką zatruwają nim przy każdém silniejszém wzruszeniu powietrze. Francuz, który dobrze znał zwyczaje indyjskie, spędził bowiem między czerwonymi czas dość długi, zapewniał mnie, że indyanie jednakże jedzą je z wielkim apetytem. Z początku nie chciałem temu wierzyć, teraz jednak przekonałem się, że tak indyanie, jak chińczycy jedzą wszystko, co tylko jest dość miękkie, żeby się dało pogryźć.

Po pół godziny drogi przyjechaliśmy wreszcie tę zapowietrzoną okolicę skunksów. Przez okna wagonu wpływało czyste, chłodne, stepowe powietrze. Aż téż

i noc poczęła blednieć. Na wschodnim krańcu nieba pojawił się biały pasek przedświtu. Nie był on jeszcze świetny, ani złoty, ani różowy ale już zdawał się mówić stepom i niebu: „*fiat lux!*“ Wyszedłem na platformę wagonu. Długa smutna droga kolei, ginąca w oddali z szeregiem słupów telegraficznych w kształcie krzyżów, coraz więcéj i więcéj wychylała się z cienia. Zresztą brzasku nie witały tu ani głosy ptaszków, ani szmer liści błyszczących od rosy porannéj. Okolica tu martwa, głucha, pusta, bez drzew i wody. Ciszę przerywał tylko gorączkowy oddech lokomotywy, która zdawała się pożerać przestrzeń z jakąś zawziętością i gniewem.

Długo jeszcze wpatrywałem się w drogę, którą, wychyliwszy się z wagonu, mogłem widzieć doskonale, aż do krańców horyzontu. Nic smutniejszego jak taka droga na stepie. Do słupów telegraficznych przybijają tu u góry poprzeczne ramię dla dzwonków, co, jak wspomniałem, słupom nadaje kształt krzyżów. Otóż spójrzawszy naprzód, widzisz tylko szarą, nieskończoną równinę, porosłą wrzosem, przytrząśniętą miejscami śniegiem a na równinie krzyże i krzyże, jak okiem dojrzysz, całe szeregi smutne, cmentarne—i nic więcéj prócz tych krzyżów, które zdają się być szlakiem wiodącym w krainie śmierci lub mogilnikami na grobach wędrowców.

Bo téż i są nagrobkami. Stoją one na mogiłach pierwotnych dzieci téj ziemi. Gdzie tylko taki krzyż się pojawi, tam giną ludy, lasy, bizony, ginie dziewiczość ziemi, a wczorajsza wielka cisza zmienia się w gwar handlujących, kupujących, oszukujących i oszukiwanych. Na grobach indyan, uczony professor wykłada prawo narodów; w legowisku lisa zakłada kancelaryą adwokat;

tam gdzie wilk mieszkał, duchowny pasie owieczki—i hejże ha! owa ludzka gonitwa za wszystkiém, co wydaje się szczęściem, gonitwa tak skuteczna, jak psa za własnym ogonem.

Ale nim te wszystkie szopenhaurowskie i hartmanowskie myśli przeszły mi przez głowę, zrobił się dzień prawie zupełny. Światło w wagonach stawało się coraz więcéj różowe, aż wreszcie omdlało zupełnie. Zbójeckie twarze awanturników wydawały się blade i pomęczone: tymczasem pociąg stanął: dojechaliśmy do Ketchum, małéj stacyi leżącej na skraju Jowy, niedaleko od Omaha.

I tu czekały nowe tłumy awanturników, tak że musiano przyprzęgać wagony, co zabrało sporo czasu. Była to dla mnie prawdziwa radość połączona z niespodzianką, w Kotchum bowiem ujrzałem po raz pierwszy dzikich indyan.

Wysiadłszy z wagonu, natychmiast dostrzegłem o kilkanaście kroków od stacyi sporą kupkę ludzi, tworzących koło i przypatrujących się czemuś z ciekawością. Spytałem coby to miało znaczyć? Odpowiedziano mi, że jestto poselstwo Siouxów, jadące na wschód do Granta, lub co prawdopodobniéj do gubernatora Jowy, lub nakoniec jakiegoś generała, głównodowodzącego wojskami koło Blak-Hills. Inni twierdzili, że są to indyanie wezwani na wystawę do Filadelfii. Wyszukałem mego francuza, który umiał po angielsku, po siouxowsku, słowem: Bóg wié po jakiemu, i obaj pobiegliśmy natychmiast do indyan. Sześciu wojowników, nie młodych już, siedziało w kuczki, koło ogniska, ułożonego z suchych wrzosów. Ubrani byli potrochu w skóry, a potrochu w lichą odzież europejską, lub w derki z literami U. S. (United States), które rozdaje im rząd Stanów. Niektórzy mieli *włosy rozpuszczone*, równe, proste, czarne i twarde;

inni pozatykali w nie pióra i kawałki wstążek lub innych jaskrawych materyi. Po największéj części byli uzbrojeni w kentuckie rajfle, wszyscy zaś mieli małe siekierki, zwane przez nich tomahawkami, i większe lub mniejsze noże. U pasa niektórych wisiały skalpy, to jest włosy zdarte wraz ze skórą z głów nieprzyjaciół; włosami temi były także ozdobione szwy ich ubioru. Siedzieli spokojnie, nieruchomie i milcząco, zupełnie jakby bronzowe posągi. Tłumy otaczające ich były w ogóle usposobione nader nieprzyjaźnie; ciągle można było słyszeć: *Goddam you! Peste on you!* i inne narodowe przekleństwa. Ale właśnie od téj niesforności białych, dziwnie odbijał spokój czerwonych wojowników. Nie patrzyli się na nikogo, nie dziwili się niczemu; twarze ich były spokojne, jakby pogrążone w zamyśleniu, wyraz zaś oczu do najwyższego stopnia obojętny, powiem nawet: apatyczny.

Jednakże indyanie mają tak gwałtowne namiętności, jak wszystkie dzieci przyrody; ale, wedle wyobrażeń indyjskich, niewiasta tylko lub lichy i niegodny téj nazwy mężczyzna, okazują co się dzieje w ich duszy. Prawdziwy wojownik umié panować nad sobą; podczas gdy w duszy jego wre zwierzęca wściekłość, umié spoglądać na swą ofiarę owym spokojnym nieruchomym wzrokiem, od którego krew krzepnie w żyłach. Nawzajem, gdy nieprzyjaciele schwytawszy go, przywiążą do pala męczarni, wówczas nie wydaje bólu najmniejszém drgnieniem muskułu; przeciwnie: powinien wówczas podniecać ich wściekłość obelgami i wspomnieniem krwawych krzywd, które im w życiu uczynił.

Takie są wyobrażenia indyjskie. Oczywiście, istnieje zapewne bardzo mało wojowników, którzy mają dość siły woli, aby w danym razie odpowiedzieć godnie powyższemu ideałowi. O Siouxach mówią nawet, że nie są tak waleczni, jak Apaches i Comanches, mieszkający na południu [1]). Bądź co bądź jednak, i oni starają się zastosować przynajmniéj pozory owego stoicyzmu, stanowiącego dziwną i przedziwną cechę téj rassy nawpół dzikiéj jeszcze, która jednak wytworzyła pewne pojęcia i wyobrażenia, właściwe tylko ludom bardzo wysoko rozwiniętym umysłowo.

Z tém wszystkiém jednak, wojownicy Siouxów nie odpowiedzieli zupełnie temu ideałowi indyanina, jaki wyrobiłem sobie czytając powieści Coopera, Bellware'a i Sp. Po bliższém przyjrzeniu się im, wyglądali obdarto, nadzwyczaj brudno i niechlujnie. Wydawali przytém zapach mało co lepszy od skunksów, który jednak, szczęściem łagodzony był przez dym palących się wrzosów. Gdyśmy zasiedli wraz z francuzem bez wszelkich powitań i ceremonii przy ognisku, twarze wojowników pozostały równie nieruchome; nie obdarowali nas ani jedném spojrzeniem. Gdy jednakże wydobyłem sporą paczkę cygar i czekolady, i gdy francuz oświadczył (co mi wytłómaczył późniéj), iż: młody wojownik z północy, który należy do innego pokolenia białych, przyjaznego czerwonym, przychodzi

---

[1]) W czasie wojny, która wkrótce potém wybuchła, Siouxowie zadali kłam temu mniemaniu, wódz ich bowiem Siedzący Byk, pokonał w krwawéj bitwie wojsko amerykańskie pod wodzą generała Custera, który zginął. W rezultacie Siouxowie zostali zwyciężeni; Siedzący Byk zaś schronił się do Kanady.

zawrzeć znajomość z czerwonymi braćmi i składa im podarki: stoicyzm wojowników zniknął jak mgła. Twarze ich i oczy pozostały wprawdzie równie nieruchome, ale ozwało się przygłuszone chrapliwe: *halo!* ogromne bronzowe łapy wyciągnęły się łapczywie w kierunku podarków, i tak czekolada jak i cygara znikły natychmiast w paszczach moich nowych sprzymierzeńców. Przez chwilę słychać było tylko chrupotanie nieszczęsnych tabliczek czekolady, ofiarowanych mi przez piękne rączki jeszcze w Warszawie, potém nastała uroczysta cisza.

Teraz już lody były złamane. Mogłem rozmawiać do woli, ale nim zdążyłem spytać o imiona braci moich i skomponować jakieś efektowne dla siebie, lokomotywa zagwizdała i trzeba było wracać. Francuz jednak zdążył dowiedzieć się, że ogromne śniegi spadły na wysokich stepach i że zapewne „wielkie wozy białych“ będą musiały się zatrzymać. Chciałem dowiedzieć się także, jak długo „czerwoni bracia moi“ bawią w Ketchum i dokąd jadą, ale nie było już czasu, bośmy go dużo zmarnowali siedząc z początku przy ognisku, w obowiązkowém milczeniu.

Po drodze do wagonów, awanturnicy poczęli robić wymówki mnie i francuzowi za to, żeśmy jak z ludźmi rozmawiali „z temi łotrami, czerwonymi dyabłami, rozbójnikami“ etc. Odpowiedzieliśmy im, a raczéj odpowiedział francuz, żeby patrzyli swego nosa, i wsiedliśmy do wagonu. W wagonie rozmowa toczyła się wszędzie o czerwonych. Trudno zrozumieć do jakich granic dochodzi nienawiść i pogarda kresowych amerykanów względem indyan. Prawda, że ciągła walka na śmierć i życie, grabieże i rozboje zaostrzają do

wysokiego stopnia wzajemne stosunki, ale też prawda także, że pograniczni biali zupełnie nie uważają indyan za ludzi; wytępianie zaś ich poczytują za zasługę w obec ludzkości. Człowiek biały, według pojęć pogranicznych, ma takież same prawo tępić indyan, jak grzechotniki, szare niedźwiedzie i inne szkodliwe stworzenia. Podczas więc gdy, od czasu do czasu, brukowi filantropowie w New-Yorku wyprawiają filantropijne maskarady, ze sprowadzonemi indyanami, na kresach wre ustawicznie wojna bezlitośna i najokrutniejsza, o jakiéj można pomyśleć. Trzeba bowiem wiedzieć, że kresowscy, lubo względem siebie lojalni a nawet uczciwi, w stosunku do czerwonoskórych nie są niemniéj dzikiemi. Indyanin nie ma litości, to prawda; ofiara, która wpadnie w jego ręce, napróżno używałaby wszelkich ludzkich zaklęć i próśb: czerwony wojownik patrzy na nią nieruchomemi oczyma, błagania przyjemnie tylko łechcą jego uszy; męka ofiary sprawia mu rozkosz, nasyca się nią i przez chwilę jest szczęśliwy. Ale biali również postępują z niemi: indyanin zdziera skórę z głowy jeńca, jako wojenne trofeum, biali przyjęli od czerwonoskórych ten zwyczaj i również skalpują swych jeńców. Z tém wszystkiém, gdyby mnie kto spytał po czyjéj stronie leży słuszność; to sądząc według zasad prostéj, opartéj nie na sofistyce, ale na sercu i sumieniu sprawiedliwości, odpowiedziałbym, że słuszność leży po stronie indyan.

Spojrzyjmy bowiem co to jest i jak się im przedstawia owa cywilizacya, do któréj przyjęcia głoszą ich niezdolnymi. Więc, oto najprzód: rząd Stanów gwarantuje im ziemię, obywatele zaś, z których łona rząd wyszedł, odbierają im ją mimo rządu. Na pierwszym

więc kroku spotykają się z kłamstwem i krzywoprzysięztwem; jako zaś proste dzieci natury nie umieją odróżnić rządu od narodu, i z tych wszystkich stosunków wynoszą jedno tylko poczucie: głębokiéj krzywdy. Zresztą indyanin w cywilizacyi widzi tylko stratę tego wszystkiego, co stanowiło sposób do życia jego i jego przodków. Najprzód odejmują mu cały obszar stepów bez końca, a dają kawałek ziemi, któréj on nie umié uprawiać. Dają mu derkę, a zabierają wolność. Piękna zamiana! Dziki wojownik, siedząc na grzbiecie mustanga, przebiega stepy, poluje, walczy, oddycha całym obszarem piersi: jemu to życie dzikie, stepowe, potrzebne, jak ptakowi powietrzne przestrzenie; on bez tego obejść się nie może: schnie i umiera. Pomyślmy zatém co zyskuje, a co traci, przyjmując tak zwaną cywilizacyą. Przedewszystkiém mrze głód, na swoim kawałku roli: ciż sami bracia, którzy prawili mu o cywilizacyi, pogardzają nim teraz, tak jak w Europie cyganem, a w rezultacie nic téż innego nie pozostaje mu, jak cygańskie życie: żebranina i małe złodziejstwa, i wegetowanie z dnia na dzień, wśród którego podleje do ostatka.

Nakoniec, jacyż to są ci apostołowie cywilizacyi, z którymi się spotyka: najprzód kupiec, który go oszukuje; daléj awanturnik, który mu zdziera skórę z głowy; daléj traper, który przed jego wigwamami poluje na bawoły, dostarczające czerwonym pożywienia, i wreszcie amerykański komissarz rządowy z papierem, na którym między liniami napisano: *mane, tekiel, fares!* dla całego plemienia.

Spotykałem potém na wielu stacyach w stepach Nebraski i Wyomingu, tak zwanych ucywilizowanych

indyan. Jestto jeden obraz nędzy i rozpaczy: mężczyzni obdarci, brudni, upodleni; kobiéty wyciągają wychudłe ręce do wagonów. Spytacie, dlaczego jedni i drugie nie pracują? Nie umieją: nikt się nie troszczy zresztą o to, żeby ich nauczyć. Wyrzekli się wojny z białymi, rozbojów, polowań, a dostali za to... derki... i pogardę.

Nakoniec, najpierwszym bezpośrednim produktem, który wszyscy dzicy otrzymali od cywilizacyi, jest: wódka, ospa i syfilis; cóż dziwnego więc, że patrząc na cywilizacyą ze stanowiska tych najpierwszych dobrodziejstw, nie wzdychają do niéj, bronią się i giną.

Przedewszystkiém zaś giną. Całe te plemiona, czy to przyjąwszy cywilizacyą, czy żyjąc w stanie dzikim, znikają z powierzchni ziemi z zastraszającą szybkością. Nie mogą się cywilizacyi ani oprzeć, ani unieść na słabych ramionach jéj ciężaru. Objaw to spotykany u wielu ludów dzikich. Uczony nasz rodak Strzelecki, sprawdziwszy go, zmienił na prawo naukowe, które anglicy: „Strzelecki law“ przezwali, i które stale dziś już jako pewnik przyjęte jest przez antropologią. Co do indyan jednakże, a przynajmniéj co do niektórych ich pokoleń, są bowiem wielkie między niemi różnice, gdyby zamiast spotykać się z mętami cywilizacyi, zetknęli się z lepszą, łagodną i ochraniającą a nie niszczącą jéj stroną, możeby nakoniec przywykli do niéj i ocaleli od zguby. Cywilizacya taka winna jednakże być nader łagodną nauczycielką, i naginać zwolna a nie odrazu łamać. Zmiana sposobu życia, stałe osiedlenie i zajęcie się rolą, które w obec dzisiejszych stosunków, przedstawiają się jako konieczność narzucona gwałtem nie przygotowanym do niéj

plemionom, przyszłyby wówczas zwolna, jako naturalne następstwa stopniowego rozwoju.

Zdaje mi się nawet, że owo prawo naukowe o koniecznéj zagubie ludów, spotykających się z cywilizacyą, daje się wyjaśnić, nie absolutną niezdolnością tych ludów, ale tém właśnie, że nie mają czasu cywilizować się tak, jak cywilizowały się ludy europejskie, to jest drogą ciągłego i stopniowego rozwoju. Żyjąc częstokroć w stanie zupełnie pierwotnym, czasem nawet ludy żerujące (*Sammel-Völker*), dzikie plemiona spotykają się odrazu z cywilizacyą wysoką, rozwiniętą, subtelną— słowem: z cywilizacyą absolutnie dla nich zatrudną; nic więc dziwnego, że zamiast pod jéj wpływem podnosić się i oświecać, tumanieją, głupieją, i w rezultacie rozbijają sobie o tę zbyt twardą na ich zęby cywilizacyą głowy.

Wracając jeszcze raz do indyan: słyszałem od ludzi doświadczonych, a późniéj przekonałem się osobiście, że są to plemiona względnie dość nawet rozwinięte umysłowo. Nie stoją naprzykład wcale o wiele niżéj od kałmuków, baszkirów i innych plemion koczujących na stepach Rossyi i Azyi; mają swoje podania, swoję mitologią, a nawet swoję poezyą, zawierającą się w pieśniach wojennych, pieśniach śmierci i tym podobnie. Podania niektóre są nawet nader zręcznie ułożone i dowodzą pewnego sprytu, umiejącego korzystać z zewnętrznego materyału, jakiego dostarczają ludzie i przyroda. Gdy wielki Maniku (mówi jedno z podań) postanowił stworzyć człowieka, wziął glinę, wyrobił kształt ludzki i postanowił go wypalić w ogniu. Ale pierwszym razem przepalił na węgiel, twór jednak zostawił przy życiu, i odtąd powstał

czarny murzyn; drugim razem nie dopiekł, i powstał biały człowiek; trzeci raz dopiéro, nauczony doświadczeniem, umiał zachować miarę: nic nie dopiekł, nie przepalił, i ztąd powstał twór doskonały, prawdziwie piękny: czerwonoskóry.

Jest w tém podaniu pewna trafność, polegająca na umiejętném skorzystaniu z koloru trzech rass ludzkich. Daléj, sam sposób wyrażania się indyan, w najzwyklejszéj nawet mowie, pełen porównań i metafor, do wysokiego stopnia jest poetyczny i dowodzący pewnego wyrobienia się myśli. W niektórych indywiduach wrodzona inteligencya poprostu jest zadziwiającą, ale w ogóle wszyscy są nader przenikliwi, umiejący odróżnić prawdę od kłamstwa, choćby najbardziéj cukrowego. Cechy te mieszają się wprawdzie z drugiéj strony z naiwnością prawie dziecięcą.

Nakoniec plemiona te, bądź co bądź, wyrobiły już pewną cywilizacyą, mogłyby więc postępować i daléj, mogłyby stanąć przy mądréj pomocy, i na wysokości naszéj cywilizacyi—gdyby nie to, że ta *nasza* wynalazła postępowanie o wiele krótsze: zamiast słabszych popierać i wzmacniać—zabija.

Wśród takich myśli przybyłem do Omaha, na granicę Jowy i Nebraski, to jest mniéj więcéj na połowę drogi łączącéj dwa Oceany; dalszy opis podróży, to jest z Omaha do San-Francisco odkładam do następującego listu.

V.

Koleją dwóch Oceanów.

II.

Nieraz zdarzyło mi się czytać opis rozmaitych wypadków i niebezpieczeństw, na jakie narażeni są podróżni, jadący koleją dwóch Oceanów z New-Yorku do San-Francisco. Może przed dwoma laty gazety doniosły, że indyanie zapalili dziewiczy las, przez który przechodził pociąg, co widząc maszynista, nietylko jakoby pociągu nie wstrzymał, ale wpadł całą siłą pary w owo morze płomieni, które rozstąpiło się przed prądem powietrza. Pociąg przeszedł szczęśliwie, podróżni lubo poparzeni trochę, zostali uratowani.

Co więcéj, w illustracyach francuzkich i niemieckich widziałem nawet ryciny, dopełniające tego efektownego opisu. Obecnie, kiedy już przejechałem całą długość téj kolei, tak opis sam jak i ryciny, służą mi tylko za dowód, do jakiego stopnia dochodzą humbugi i kłamstwa, przedostające się z gazet amerykańskich do naszych, albo powstające z opowiadań podróżników, którzy przyjechawszy do jakiegoś portu nad Atlantykiem, opisują z taką pewnością Stany Zjednoczone,

jakby ich całą długość i szerokość z piérwszej lepszéj wieży kościelnéj gołém okiem objąć można.

Na zbicie naprzykład powyższéj wieści o pożarze dziewiczego lasu, dość mi będzie przytoczyć małą rzecz: oto, w Stanach wschodnich, bliższych New-Yorku, w których są lasy, nie dziewicze wprawdzie, ale dość znaczne niéma wcale indyan, w zachodnich zaś, poczynając od Jowy, podróżnik literalnie nie widzi ani jednego drzewa, aż do lesistéj granicy Kalifornii i Nevady, czyli na długości mniéj więcéj takiéj, jaka oddziela Warszawę od Madrytu. Jowa, Nebraska, Wyoming, Utah i Nevada w środkowych swych częściach, jestto jedna olbrzymia i bezdrzewna pierya, porosła tylko trawą, wrzosem i gdzieniegdzie w jarach stanowiących koryta strumieni, nędznemi krzakami wierzbiny.

Przedewszystkiem jednak, najczystszy typ stepu przedstawia Nebraska. Podróżnik, któremu sprzykrzyły się zaludnione, upstrzone farbami okolice Stanów wschodnich, i który pragnął widzieć pustynię, znajduje tu czego szukał. Czasem tylko, przy saméj linii kolei tuli się mały domek jakiego zabłąkanego aż tu osadnika; zresztą pustka i pustka, jedna, bezbrzeżna, milcząca równina, na któréj wzrok niéma na czém spocząć i pada wreszcie jak ptak, który słabemi skrzydłami chciał przelecieć przestrzenie Oceanu.

Chwilami, kiedy pociąg zatrzymywał się na czas dłuższy, opuszczałem stacye i biegłem na step, który zaczyna się tuż za sztachetami mizernego, zwykle drewnianego domu, zastępującego tu miejsce banhofu. Śnieg chrzęścił pod nogami, wiatr pochylał wierzchołki wrzosów i szyszki ostów wystające po nad śniegiem; zresztą milczenie panowało głębokie: nigdzie ani ptaka,

ani zwierzęcia, ani żadnéj żywéj istoty. Cisza ta jednak i pustosz ma swój głęboki urok. Rzekłbyś, nietylko wzrok, ale i dusza i myśl gubi się w tych stepach, porzuca drogi, któremi chodzić zwykła, zapomina o swojém *ja*, zlewa się z otoczeniem, i przez chwilę zdaje się żyć nie własném życiem, ale całą potęgą stepów, w któréj tak roztapia się jak kropla wody w morzu.

Z takich to uczuć i wrażeń, z téj łatwości, z jaką człowiek zlewa się z naturą, powstały wszystkie panteistyczne systemy. Człowiek na łonie natury i w obec natury, nie może oprzeć się poczuciu, że stanowi z nią jedno i toż samo, że w nim i w całém otoczeniu jest tylko jedna wielka dusza, a życie odrębne, ludzkie, to stan przejściowy, po którym nastąpi zlanie się z ogółem i nie byt osobisty a wiekuisty byt ogólny.

Jestto powtarzam, pierwsze i niejako wrodzone poczucie; dlatego téż i wszystkie bez wyjątku pierwotne religie, są tylko różnemi formami panteizmu. Późniéj dopiero, gdy wyrobione już sztucznie życie odejdzie daleko od natury, pochłonie swemi sprawami uwagę człowieka i przysłoni mu prawdę pierwotną, wówczas i bogi stają się ludźmi, i dusza odrębną, samoistną jednostką; ale początkowo, czy to weźmiem mitologią Greków, czy słowiańską, czy buddaizm indyjski, dostrzeżem w nich czysty tylko panteizm, który ani bogów nie zwie istotami, ani nie obiecuje życia odrębnego po śmierci.

Co więcéj, w każdéj naturze ludzkiéj leży tęsknota do zlania się z naturą i osobistego niebytu. Życie jednostkowe, bądź co bądź męczące jest i pokutnicze, dlatego oto buddysta nirwanę niebem swojém nazywa.

Nie jest ona dla niego absolutną nicością, przeciwnie nirwana to tylko wszech-życie i wypoczynek wielki, i jakoby sen wieczny, nigdy nieprześniony, a nicość i niebyt tylko dla jednostek.

Ale to, co stanowi istotę buddaizmu, téj w pierwotnéj zasadzie najnaturalniejszéj ze wszystkich religii, leży jako mniéj więcéj jasne poczucie w każdym człowieku. Tém tylko poczuciem i tą tęsknotą za wszechżyciem, w przeciwieństwie do życia jednostkowego, można wytłómaczyć i ów niepojęty urok, jaki wywierają na nas te zjawiska natury, które mniéj więcéj przypominają nieskończoność.

Lubimy naprzykład morza, stepy, a jednak według zwyczajnych prawideł estetyki, kładących spokojną harmonię jako pierwszą zasadę piękności, nie masz w nich nic estetycznego. Cóż bowiem jest w téj bezbrzeżnéj równinie stepowéj?—Nic. Pustka tylko. Szara dal zlewa się z niebem na krańcu widnokręgu — milczenie w około: głusza, śmierć prawie. A jednak step nęci i wabi. Chciałbyś siąść na koń i puścić się nim, i gonić i gonić;—chciałbyś ot wykąpać się w nieskończoności, i rozłożyć ręce na koniu i krzyczeć: hej! hej stepy! i zapamiętać się w nich i obłąkać i żyć.

Czémże wytłómaczyć ten niepojęty urok? Oto właśnie dlatego, że tam tak pusto i bezbrzeżnie i nieskończenie, że tam wszystko jest tylko wszystkiém, że tam jednostkowe odrębne objawy życia nikną, że tam tylko *jedna wielka dusza:* dlatego step tak nęci i pociąga. Jestto niby odbrzask nirwany i wszech-życia a tęsknota za niém leży w ludzkiéj duszy.

Dlatego step tak nęci i pociąga.

Wracając na stepy Nebraski, a raczéj: stepy środkowe Stanów, sprawiają one niezmiernie potężne wrażenie z powodu swéj dzikości i ogromu. Rozległe są na całe tysiące mil na północ, południe, wschód i zachód; prócz bowiem wyżéj wymienionych Stanów, obejmują prawie wszystkie na zachód od Mississipi, z wyjątkiem Kalifornii. Jestto, jak powiedziałem już, olbrzymie płaskowzgórze, wznoszące się z obu stron coraz bardziéj ku własnemu środkowi, któryto środek, a zarazem i kość pacierzową, stanowią tak zwane Rocky Mountains (Góry skaliste). Góry te biegnąc z północy na południe, dochodzą najwyższéj wysokości we Wyoming, potém przebiegłszy jeszcze Colorado i New-Mexico, zniżają się coraz bardziéj, przechodząc stopniowo w pagórki, tworzące kilka pasm w samym Mexyku.

Prócz tego systemu gór, na zachód od nich biegnie inne pasmo, tak zwane Sierra Nevada. Są to góry, których odrośla pokrywają całą Kalifornię, w któréj jak również i na północy, w Oregonie, pojedyńczo brane, rozmaite noszą nazwy. Na północy (Oregon, Washington, Idaho) i na południe (New-Mexico, Arizona), Sierra Nevada styka się prawie ze Skalistemi, w środku zaś Skaliste wyginają się półkolem na wschód ku Mississipi, Sierra Nevada zaś na zachód ku Oceanowi Spokojnemu. Między temi dwoma półkolami leżą Stany lub terytorya: Idaho, część Oregonu, część Wyomingu, Nevada, Utah, cała Arizona i część Nowego-Mexyku. Szczupłe wody Sierra Nevady staczają się wszystkie do Oceanu Spokojnego, wody zaś gór Skalistych, płynąc na wschód ku Atlantykowi, tworzą owe wielkie rzeki amerykańskie (Missouri, Mississipi) albo téż ich do-

pływy. Skutkiem tego, kraj zawarty między dwoma półkolistemi pasmami gór stosunkowo jest bezwodny. Niewielkie rzeki, albo giną w stepach, albo wpadają do środkowych jezior, nie mając nigdzie przystępu do brzegów morskich. Step, tu i owdzie, przechodzi w pustynię zupełnie nieurodzajną; miejscami sól występuje na powierzchnię gruntu. W Stanie Utach znajdują się wielkie zbiorniki słonéj wody (Salt L. i Utah L.). Również często napotykamy je i w Nevadzie, jak np. Tahoe, Pyramid i Humbold L. L.

Mianowicie południe Utach i Nevady, prawie zupełnie jest bezwodne; dopiéro w Arizonie i New-Mexyco znajdujemy mniéj więcéj, liczne dopływy Colorado River i Green River. Step téż tu piękniejszy, obfitszy w trawę, miejscami w drzewa, chociaż w ogóle ustępuje jednak stepom położonym na wschód Rocky Mountains i ciągnącym się aż do Missouri i Mississipi, t.j. stepom Nebraski, Kanzas, indian Territory i Texasu.

Obecność dwóch wyżéj wymienionych rzek, i stosunkowo wielka ilość ich dopływów, sprawiają że wschodnie te stepy, jakkolwiek i one nie mają dostatecznéj ilości wody, są jednak wilgotniejsze od zachodnich i w ogóle nadzwyczaj urodzajne. Cuda opowiadają o żyzności ziemi w Nebrasce, Kanzas, Indian, Territory i Texasie. Z tém wszystkiém są to ziemie prawie jeszcze puste, zamieszkałe tylko przez rozmaite pokolenia indyan i wszelkiego rodzaju dzikie zwierzęta.

Miejscami w międzyrzeczach mają się na nich znajdować olbrzymie lasy, na całéj jednak długości linii kolei żelaznéj tak w stepach wschodnich, to jest z téj strony gór, jak w zachodnich, z tamtéj strony gór leżących, nie widziałem literalnie ani jednego drze-

wa, prócz zasadzonych w małéj zresztą ilości koło stacyj kolejowych.

Wszędzie step i step, porosły tylko rodzajem wrzosów, burzanami i jakąś szyszkowatą rośliną, któréj szyszki do naszego szaleju podobne. Widok w ogóle uroczysty, ale nadzwyczaj smutny. Prawda że pierwszy raz widziałem owe stepy w połowie marca, to jest w czasie, kiedy wszystko na nich jeszcze zdrętwiałe jest snem zimowym. Stepy Jowy, Nebraski, Wyomingu, Utah i Nevady, jakkolwiek położone pod 42° szerokości północnéj, t. j. mniéj więcéj na równoleżniku Portugalii, Hiszpanii i południowych Włoch, zimę jednak mają długą i ostrą, Czytelnikom zapewne wiadomo jest, że pod tąż samą szerokością w Europie ciepléj jest niż gdziekolwiek indziéj; ale istnieje i inna ważniejsza jeszcze przyczyna, dla któréj wymienione stepy mają klimat tak ostry: oto wysokość ich położenia nad poziom morza. Wspomniałem już, że poczynając od systemu wielkich jezior, a ściśle biorąc od Mississipi, płaskowzgórze wznosi się ciągle tak że w Wyomingu i Utach dochodzi kilkunastu tysięcy stóp nad poziom morza, to jest do linii wiecznych śniegów. Z tém wszystkiém, wznoszenie się owo tak jest nieznaczne i łagodne, że podróżnik znalazłszy się na wysokości Mont-Blanc lub Gotarda, nie spostrzegł nawet, że jechał pod górę. Pozornie pociąg pędzi ciągle po równinie, i dopiero zaspy śniegowe i tak zwane śnieżne domy, to jest ogromne drewniane galerye, wśród których idzie kolej, ukazują na rzeczywisty stan rzeczy.

Nebraska położona jest wprawdzie znacznie niżéj, ale i w niéj, a szczególniéj na zachodnim jéj krańcu, zima trwa do połowy kwietnia. Latem za to upały do-

chodzą tu do stu kilkunastu stopni Fahrenheita. Promienie słoneczne, padając prawie prostopadle na step niepokryty cieniem drzew, rozpalają go jak piec hutniczy. Trawy, osty, burzany i bodziaki schną jak pieprz, i opadłszy na ziemię, wikłają się ze sobą w jedno zbite, wyżółkłe podścielisko. Mniejsze, rzeki, czyli tak zwane kryki, a nawet i większe (*river*) wysychają zupełnie, liście wierzbiny czernieją, skręcają się koło własnych grzbietów i dają się pokruszyć w ręku. Najmniejszy wiatr nie ochładza rozpalonego powietrza; niebo bezchmurne, siwe jakieś, zdaje się oddychać płomienistym oddechem na ziemię; grunt stepowy pęka. Wówczasto stepy stają tak puste i milczące, jak sama śmierć. W żółtém podścielisku nie dostrzeżesz ani motyla, ani żadnego owadu; na wytężonéj kopule nieba nie waży się na skrzydłach ptastwo, dziki zwierz zaś cały dzień spoczywa w legowisku.

Nawet jaguar i puma, czyli płowy lew stepów, rzadko odważają się krążyć w godzinach południowych, w których upał dochodzi największéj siły. Wielkie szare niedźwiedzie, najstraszniejsze rozbójniki stepowe, udają się w góry, gdzie śnieg nigdy nie topnieje, lub wloką się leniwo za śladami bizonów, szukających schronienia w korytach rzek, których upał nie zdołał wysuszyć zupełnie. Męczący wpływ upału znać i na bizonach. Ogromne łby ich, z kudłami nabitemi na kilka cali grubo kurzem, gliną i poplątanemi roślinami stepów, schylają się co chwila, bodąc rogami twardy grunt stepowy, jakby w poszukiwaniu wody; wielkie stare samce, przewodniki stad, ryją z niecierpliwością racicami ziemię, lub podnosząc chrapliwe nozdrza, wietrzą na wszystkie strony, czy czasem w rozpalonym powie-

trzu nie poczuję chłodnego powiewu wilgoci, idącego z rzek i jezior. Oczy ich błędne i zaszłe krwią, oraz powywieszane języki, znamionują wściekłość i pragnienie.

Wieczorem dopiéro, gdy wielki czerwony krąg słoneczny stacza się za krańce widnokręgu, rozpoczyna się na stepach życie nocne. Tu i owdzie słychać złowrogie gardłowe wrzaski kaguarów, czasem ozwie się ryk szarego niedźwiedzia, po którym na chwilę milknie wszystko; a potém znów powiew wiatru przyniesie lękliwe skomlenia kujotów czyli małych wilków stepowych, idących w ślad za wielkiemi rozbójnikami, i żyjących z resztek ich biesiad.

Największy jednak ruch panuje koło rzeki i jezior, których woda mimo upałów nie wysycha. Ukrywszy się w pobrzeżnéj trzcinie lub sitowiu, można jak na dłoni widzieć całe menażerye wszelkiego rodzaju zwierząt. W czerwonych promieniach zachodzącego słońca rysują się z dziwną dokładnością ogromne czarne sylwety bizonów, biegnących truchtem po wysokim stepie ku wodzie, i nurzających się w niéj z lubością razem ze łbami; tu i owdzie, w lekkich i wdzięcznych podskokach zbliżają się stada malowniczych antylop, za niemi chyłkiem ciągną drapieżcy; czasem zaś rozchyla się trawa i krzaki, i wśród zarośli ukażą się na chwilę zdobne w pióra głowy indyan. Siedząc prawie w kuczki na koniach, zbrojni w dziryty, czerwoni wojownicy obejmują pałającemi oczyma ów świat zwierzęcy, który za chwilę ma stać się ich łupem.

W godzinach jednak upału, kiedy wszystko na stepie milczy i zasypia, i gdy nawet indyanin chroni się pod cień wigwamu, jedna tylko istota odważa się narazić głowę na promienie słoneczne, a tą istotą jest

biały człowiek. Nieraz w porze największego żaru, wśród atmosfery przepełnionéj subtelnym pyłem, zobaczysz wielkie wozy, zwane tu okrętami preryi, zaprzężone w trzy, cztery, a nawet i w sześć par mułów. Karawana taka dzwoni i brzęczy zdaleka, nad każdém bowiem chomontem zawieszają po cztery dzwonki, których odgłos zachęca pociągowe zwierzęta i dodaje im siły. Wierzchy wozów pokryte pasiastém płótném, w wozach zaś siedzą kobiety, dzieci, leżą sprzęty domowe; za karawaną skwaterowie, często murzyni lub metysi, dopędzają stadka krów i owiec, trzaskając z długich biczów, wykrzykując: „ho! ho!“ lub przeklinając upał i siebie wzajemnie. Obok każdego zaprzęgu idzie zwolna, ze sztućcem przez plecy *„trawveller,“* ubrany we flanelową koszulę i obszerne, zasłaniające go od słońca *„sombrero.“*

Co to za ludzie? to osadnicy ciągnący na „Daleki Zachód“ wraz z żonami, dziećmi i całym dobytkiem. Sami często nie wiedzą dokąd jadą. Czasem umieją wskazać Stan lub okolicę. „Jedziemy do Kanzas, Kolorado, lub Nebraski (mówią), albo też w głuchy step. Jak znajdziemy ziemię, trochę drzewa i wodę to i osiądziem.

Nie potrzebuję mówić, jak dalece niebezpieczna jest taka podróż. Wprawdzie kilkunastu ludzi dobrze uzbrojonych i odważnych, niepotrzebuje się obawiać całych setek Siouxów, Pawnisów lub Uronów, jeżeli tylko pilnuje się dobrze i nie da uchwycić się w zasadzkę. Indyanin nie napada nigdy, jeżeli wie, że małe stosunkowo łupy i małą ilość skalpów przyszłoby mu wielką stratą opłacić. Zresztą w obec dzisiejszego stanu rzeczy i wobec solidarności, z jaką jedni biali mszczą się za drugich, czerwoni wojownicy, jeżeli nie bronią swych

siedzib, nie bardzo śmią nastawać na życie nawet pojedyńczych podróżników, ale natomiast kradną i łupią ich jak mogą.

Szczególniéj konie i muły stanowią łatwą dla nich zdobycz, kradną je z taką zręcznością, że wędrowcy stepowi dzień i noc czuwać muszą nad swoim dobytkiem; jeżeli zaś osiądą w pustyni w pobliżu wigwamów, czuwanie owo nie kończy się nigdy. Nowy osadnik zapowiada wprawdzie zwykle, że każdego indyanina, którego ujrzy w takim a takim promieniu od swéj fermy, zastrzeli jak psa, niepytając czy winien, czy nie winien; ale i to nie pomaga wiele, i trzeba ustawicznie strzedz się od napadów, od kradzieży, a nawet i od pożarów; indyanie bowiem częstokroć palą zboża białych, przez prostą chęć szkodzenia. Takie stosunki istnieją szczególniéj w Indyan-Terrytory, która to ziemia, oddana czerwonym, zaludnia się teraz, mimo zakazów rządowych, coraz obficiéj białymi osadnikami.

Największém jednak niebezpieczeństwem takiéj podróży wozami przez stepy są zdarzające się częstokroć w lecie pożary stepów. Czasami indyanie wzniecają je umyślnie, często zaś wynikają one z zaniedbanych ognisk podróżnych, albo wprost powstają ze zbytecznego żaru słońca. Nic bardziéj nieprawdopodobnego do wiary, jak szybkość z jaką płomień biegnie, gnany powiewem wiatru po preryi. Suche podścielisko trawy zwanéj: *blue grass*, pali się jak siarka. Płomień zaledwo zrodzony z iskry w jedném miejscu, chwyta łakomie szyszki ostów, potrząsa liściami burzanów, pożera żywiczne dziewanny, przeskakuje puste przestrzenie, rozrzuca złote iskry na wszystkie strony, huczy i pędzi jak gdyby ze wściekłością, szaleje i do-

gania uciekające napróżno zwierzęta, które nawpół zduszone dymem i żarem, padają z wywieszonemi językami jeszcze przedtém, nim płomień zdołał je objąć i pójść daléj po ich zwęglonych trupach. Biada podróżnikowi, który nocą dostrzegłszy na krańcu horyzontu czerwony pasek światła, niby świtanie zorzy, nie zapali natychmiast stepu przed sobą i nie schroni się na świeżo wypalone gorące jeszcze przestrzenie. Jeśli spostrzeże się zapóźno, nim skrzesze ognia, hucząca czerwona fala przyleci niby na skrzydłach i niemasz już wtedy dlań ratunku, bo choćby płomień go nie spalił, udusi go dym, żar i brak powietrza.

Ten jednak łatwy sposób ratunku, polegający na zapaleniu stepu przed sobą, ma swoją złą stronę: oto wznieca nowy pożar, a raczéj rozszerza go do nieskończoności, skutkiem tego płomień obejmuje niezmierzone przestrzenie. Nic smutniejszego nad widok takiéj spalonéj preryi. Step zmienia się jakby w jeden pokład popiołu i węgla, martwota pada na niego absolutna, a gorące i tak promienie słońca, operując na czarny grunt, wzniecają taki żar, że poprostu niepodobna w nim oddychać.

Z drugiéj jednak strony, pożary użyzniają stepy do wysokiego stopnia. Wiosną, po deszczach zimowych, gdy wilgotna ziemia zieleni się pierwszą runią, na przestrzeniach spalonych porasta najbujniéj i najobficiéj. Nieraz pokazywano mi już późniéj takie całe pasy, któremi poprzedzającego lata przeszedł ogień, i istotnie odróżnić je łatwo po zieloności ciemniejszéj i trawach, w których człowiekowi siedzącemu na koniu, widać tylko głowę i ramiona.

Nie sposób wypowiedzieć, ani opisać całego uroku, jaki stepy mają na wiosnę, gdy słońce potopi śniegi, ziemia przesiąknie nadmiarem wilgoci, wszystkie strumienie (kryki) wystąpią ze swoich łożysk i zalawszy, płytko ale szeroko, ogromne przestrzenie, przeświecają rzeźwą wiosenną wodą wśród traw i zarośli. Wszystko wówczas wzrasta prawie w oczach, strzela pękami i rozkwita. Step wydaje się, jak jeden stubarwny dywan. Więc najprzód wszystkie szlaki, któremi przechodziły wozy, porastają ślicznym kwiatem barwy złotawo-żółtéj, który tam tylko wyrasta, gdzie ziemia była stratowana kopytami i gdzie padł na nią nawóz zwierzęcy. Szlaki te, niby złote wstęgi, wiją się po całym stepie: to rozchodzą się, to kołują, to znowu krzyżują ze sobą, i wreszcie nikną w oddali. Gdzieniegdzie step porasta jakby bylicą wysoką, cienką, o kwiatkach srebrnych i drobnych jak perełki, które to podobieństwo powiększają jeszcze kropelki przezroczystéj żywicy, zwieszające się na nich ku ziemi; w inném miejscu tuż obok białych barw, błękitnieją wielkie dzwonki stepowe, koloru naszego habru; daléj gatunki rozchodników i rosiczek, mienią się i pstrzą, to żółto, to czerwono; miejscami całe przestrzenie zajmują dzikie tulipany. Tam znów szczególne kwiatki, podobne do dzbanuszków i zawierające świeżą wodę, a raczéj rosę nocną, pochylają gościnnie ku podróżnikowi pełne naczyńka. Nakoniec, mnóstwo kwiatów, o barwie jednakiéj lub nakrapianych, mnóstwo powoi mieni się i plącze wśród traw, wikła się ze sobą, tłoczy się, wyrasta, jedno na drugiém kwitnie, cieszy się, kocha, szaleje, słowem: prawdziwy potop roślinności znanéj i nieznanéj, tysiącznych nazw i gatunków. Wszy-

stko to dochodzi do takiéj wysokości, że w téj zielonéj i pstréj fali z głową schować się można. Tysiączne wonie, to miodowe, to upajające, jakby lilii i heliotropów, to znów mocne i korzenne, uderzają o powonienie. Dzielny orzeźwiający zapach trawy, to góruje nad innemi, to znów ustępuje pola oddechom kwiatów.

W kwiatach i nad kwiatami, w trawie i nad trawą porusza się i roi cały odrębny świat zwierzęcy. Czasem ujrzysz, jak trawa poczyna poruszać się szybko wązkim szlakiem, aż nagle ukaże się groźny łeb bizuna lub śliczna główka antylopy o wielkich smutnych oczach i promiennych rogach, a ukazawszy się na chwilę zniknie znowu, jakoby w topieli. Pod nogami smyrgają nstawicznie pieski ziemne, i małe szkódne skrzeczki, zwane tu goframi. Czasem gdzie trawa mniejsza, siądzie na tylnych łapach młody zajączek, wytrzeszczy oczy, nastawi uszy, i poruszywszy groźnie wąsami, chowa się, jak gdyby przekonany, że już dostatecznie przeraził wędrowca; nakoniec, od chwili do chwili usłyszysz złowrogie, suche kołatanie dzwonków grzechotnika, który wiąc groźnie ogonem, ucieka jednak coprędzéj, wiedząc, że gdziekolwiek człowiek go ujrzy, tam zabija go bez miłosierdzia.

Znajdują się miejsca na stepie, które można nawet widzieć i z pociągu, gdzie owe pieski ziemne pozakładały sobie całe obozowiska. Są to szeregi kopców, tuż przy sobie stojących, z otworami wiodącemi do dość obszernych jam pod ziemią. Między kopcami kręcą się ustawicznie mali ich mieszkańcy, to gryząc się, to swawoląc, to znosząc trawę lub korzonki. Niektóre siedzą na tylnych łapkach w samych otworach, i poważnie

przypatrują się wszystkiemu, co dzieje się w obozie, zupełnie jak wiejskie gosposie stojące we drzwiach chaty. Trochę zdala od obozu stoją straże baczące „*ne quid respublica detrimenti capiat,*“ słowem: wszystko jak gdyby w porządném i uorganizowaném społeczeństwie ludzkiém.

Obozów takich widziałem już bardzo wiele, ale dlatego właśnie nie radzę zbliżać się do nich niebacznie podróżnemu. Już o kilkadziesiąt kroków, można dostrzedz leżące na słońcu jakieś ciemne, wydłużone ciała, poruszające się od czasu do czasu leniwo. Ni mniéj ni więcéj, jak tylko są to grzechotniki, których w każdém obozowisku jest nieprzebrane mnóstwo. Napozór, groźni ci sąsiedzi zdają się żyć w najlepszéj zgodzie z małymi republikanami; niektórzy jednak ludzie bywalcy w stepach mówili mi, iż węże jedzą małych republikanów, ci zaś nie umiejąc sobie poradzić, muszą ich cierpieć, uważając zapewne przytém za swych kapłanów lub bogów.

Wiosną stepy zaludniają się także wielką ilością ptastwa, które przylatuje tu z okolic lesistych, trzyma się jednak głównie w pobliżu rzek zarośniętych wierzbiną. Na szczerym stepie jednak, raz wraz spotkać można małe, szare sowy, siedzące z zamkniętemi pod nadmiarem światła oczyma, i jakoby ogłupiałe pośród dziennego blasku. Żywią się one myszami, szczurami i owemi goframi; dla tego szczególnie w miejscach już zamieszkałych są bardzo szanowane. Prócz sów, w powietrzu pławią się na rozpostartych skrzydłach wielkie orły i mniejsze jastrzębie, kobusy i sokoły. Z głową zwieszoną na dół i oczyma utkwionemi w step, wiszą one czasem po całych kwadransach nieruchomo

nad trawą, a ponieważ słońce rzuca ich cień na ziemię, zdaje się więc, jakby się we własny cień wpatrywały.

Nieraz także, i w Kalifornii, już widywałem z daleka wielkie czarne i świecące się ptaki z głową czerwoną, zupełnie, zwłaszcza z pewnéj odległości, podobne do naszych indyczek. Z początku brałem je nawet za dzikie indyki, i dopiéro postrzeliwszy jednego, przekonałem się, że są to sępy, tak zwane scierwniki. Głowa ich goła, wydaje się z daleka jakby zdobna w indycze korale. Żywią się padliną i oczyszczają tak stepy, jak i okolice już zaludnione od wyziewów zgnilizny.

Jednakże, daleko jeszcze liczniejszy od drapieżnych, jest ród śpiewaków. W godzinach rannych, cały step grzmi gwizdaniem, śpiewem, świegotem, słowem: jednym ogromnym konceptem tych samouczków-artystów. W ogóle jednak ptaki tutejsze inaczej śpiewają od naszych. Wielki np. skowronek kalifornijski, dochodzący rozmiarów naszéj przepiórki, zdobny wydłużonym dziobem i złotą piersią, nie śpiewa tak jak nasz długo i melodyjnie, ale siadłszy gdziekolwiek, gwizdnie raz i drugi, jakby na psa, i już kontent. Inne śpiewają i czyrykają dość wdzięcznie, najpiękniéj jednak ze wszystkich, tak zwany podrzeźniacz, albo jeszcze inaczéj drozd żartowniś.

Jestto szczególny ptaszek! Trzymają go wszędzie w klatkach, dlatego mogłem mu się dowoli i zblizka przypatrzeć. Wzrostu naszego skowronka, nie odznacza się wcale świetném upierzeniem; cały jest szary, z małemi tylko białemi lusterkami na szkrzydłach. Ma on jednak inne talenta, które zastępują znikomą piękność zewnętrzną. Oto, nietylko śpiewa nadzwyczaj

wdzięcznie, ale naśladuje wszystkie głosy, jakie gdziekolwiek usłyszy.

Słysząc miauczenie kota, natychmiast poczyna miauczeć jak kot; słysząc szczekanie psa, zaczyna szczekać jak pies. Co więcéj chowany w domu, nawet kaszle i chrząka naśladując w tém ludzi.

Raz bawiąc już w Kalifornii, zaszedłem do jednego znajomego farmera, i spostrzegłszy klatkę z przedrzeźniaczem, wiszącą nadedrzwiami, stanąłem przed nią i począłem mruczeć. Ptaszek natychmiast spuścił się z wyższego prętka na niższe, wychylił główkę przez pręty przekrzywił ją trochę, przymknął jedno czarne jak paciorek oko i zdawał się słuchać uważnie. Po chwili jakby już pojął o co chodzi, wskoczył na wyższy pręt, nadął się, i usłyszałem najdokładniejsze w świecie mruczenie, które trwało dopóty, dopóki ptak idąc moim przykładem, nie zaczął się śmiać z kolei tak serdecznie, jak gdyby usłyszał coś najdowcipniejszego.

Zwykły śpiew jego, dość do słowiczego podobny, nie tak jednak donośny, dźwięczny i słodki. Na stepach przelatuje ustawicznie z jednéj rośliny na drugą, kołysze się na ostach i śpiewa, albo téż drażni się po swojemu ze zwierzętami i z innemi ptakami, naśladując ich głosy.

Ale całe to życie stepowe, barwne i gwarne trwa dosyć krótko: z chwilą gdy następują upały, wszystko odlatuje lub chowa się w pobrzeżu zarośla i milknie aż do następnéj wiosny; potém przychodzi jeszcze jesień, równie prawie piękna choć równie krótka jak wiosna, a po jesieni znowu milczenie śmierci obejmuje całą krainę; w powietrzu roją się płatki śniegowe; step drętwieje i obumiera, i chyba tylko suche osty zaszelesz-

czą czasem pod tchnieniem wiatru lub lokomotywa pędząca na zachód, gwałtownym i zziajanym oddechem przerwie na chwilą panującą ciszę.

Wyjątek od powyższego prawidła stanowią oczywiście, stepy Stanów południowych, które, jak np. w Indyan-Territory, mają wieczystą wiosnę, albo prawie ciągłe upały, jak w dolnym Texasie. Natomiast w Stanach posuniętych bardziéj na północ, na szczytach Rochy-Mauntains, panuje wieczna zima i śniegi leżą nawet w lato. Nebraska ma klimat pośredni, pory roku nader wybitne, zimę ostrą, w lecie zaś wielkie upały.

Kraina ta, jakkolwiek jeszcze zupełnie pusta, ma jednak wielką przyszłość przed sobą. Przedsiębiercy amerykanie dziś już myślą o zakładaniu w niéj ogromnych gospodarstw hodowlanych, nakształt takich, jakie istnieją w stepach południowéj Ameryki, w Argentynie, w Paragwaju i Uragwaju. Dziś koléj rozdaje ziemię leżącą tuż nawet koło stacyi za bezcen i na dziesięcioletnią wypłatę, daléj zaś od linii, można osiadać nie pytając się nikogo, ani téż nie płacąc nikomu.

III.

Dnia 11 marca przybyłem wreszcie do Sydney, wielkiéj stacyi leżącéj jeszcze w Nebrasce, ale już na zachodnim jéj krańcu. Dworzec kolejowy przybrany jest w Sydney głowami bizunów zastrzelonych z pociągu; stacya bowiem leży na szlaku, którym te zwierzęta w pewnych miesiącach roku ciągną całemi dziesiątkami

tysięcy na południe. Niedaleko Sydney pociąg przechodzi przez okolicę antylop, których istotnie takie jest mnóstwo że łatwo dostrzedz je z okien wagonów. Prócz antylop, mieszkają tu także indyanie Pawnis, którzy przyjeżdżają czasem na stacye kolejowe dla wymiany skór i kupna rozmaitych drobiazgów.

Step podnosi się ciągle. Jesteśmy już na kilka tysiący stóp nad poziomem morza, jakkolwiek prawie nigdzie nie można dostrzedz, żeby pociąg szedł pod górę. Na stepie śnieg i mróz. W wagonach palą znowu na gwałt w piecach; wszystko zdradza blizkość Rocky-Mountains.

Tegoż samego dnia, wieczorem przybywszy do Pine-Bluffs. Jest to granica Nebraski i Wyominga. Charakter krajobrazu zmienia się zupełnie, i ze stepowego przechodzi w górzysty. Pociąg biegnie zawsze jeszcze równiną, ale po obu stronach widać góry z wierzchołkami pokrytemi śniegiem, lub skały, spiętrzone nieraz w nader fantastyczne kształty przypominające ruiny zamków nad Renem. Okolica dzika i ponura. Z wagonów widzimy znowu antylopy i obozowiska piesków ziemnych. Zbliżamy sie do Cheyenne, stacyi we Wyomingu, ale przed przybyciem do niéj przejeżdżamy przez pierwszy „śnieżny dom," ciągnący się na kilka wiorst długości. Owe „śnieżne domy" są to niezmiernie długie galerye pokryte dachem i strzegące linii kolejowéj od zasp śniegowych. Tyle słyszałem o nich opowiadań i podziwiań, że doznaję zupełnego rozczarowania. Prawda, że galerye owe są bardzo długie, ale za to zbite w najprostszy sposób z desek i z belek: belki pospajane bretnalami, w dachu mnóstwo dziur: słowem, całość budowana tak, jak u nas budowano przed kilkudziesięciu laty

chałupy. Budowa taka może być zresztą zupełnie wystarczającą, ale w żadnym razie nie zasługuje na to, ażeby ją za ósmy cud świata uważać.

Wyjechawszy ze śnieżnego domu, mamy przed sobą wspaniały widok. Na prawo od pociągu widać jak na dłoni Czarne góry (Black Hils), do których przez Omaha i Sioux-City pojechało tylu ludzi. Jest-to osobna grupa, stojąca na równinie oddzielnie od innych pasm, tak jak nasze Tatry. Wśród krajobrazu przypruszonego śniegiem, i na tle ołowianego nieba góry te istotnie wydają się czarne jak noc, a przytém mroczne jakieś, tajemnicze i groźne. Tylko wierzchołki najwyższych szczytów pokryte są śniegiem, zresztą czarna ich barwa nie ma nawet śladu tego błękitnego odcienia, który miewają zwykle góry. W téj chwili są one świadkami strasznych dramatów rozegrywanych między czerwonoskórymi a białymi [1]).

Przybywamy wreszcie do Cheyenne. Cała ludność stacyi jest zgorączkowana i wzburzona. Jedni przez drugich opowiadają nam, że wczoraj miała miejsce bitwa górników ze Siouxami, w któréj górnicy ponieśli porażkę; stracili ośmiu zabitych i kilkunastu rannych a prócz tego wszystkie konie, woły i zapasy żywności. Prawdopodobném jest, że nim przez Omaha i Sioux-City dostawią nowe zapasy, zapanuje między nimi głód i nędza, przez Cheyenne bowiem zapasy iść nie

---

[1]) W chwili, w któréj to piszę (druga połowa lipca), w Czarnych górach i ich pobliżu, wojna wre już na dobre, nie między górnikami i indyanami, ale już między rządem Stanów Zjednoczonych i temiż. Wedle ostatnich depesz, wojska pod wodzą generała Custer, poniosły dotkliwą klęskę.

mogą, bo jakkolwiek ztąd do Czarnych gór najbliżéj, ale droga niedostępna.

W Cheyenne pociąg zatrzymuje się kwadrans. Przez kilka minut słuchałem opowiadań o walce, potém zaś podziwiałem wielkiego szarego niedźwiedzia *gryzzli*, który, zaawanturowawszy się zbyt blizko stacyi, został zabity przez jéj mieszkańców, a raczéj rozstrzelany ze wszystkich rajfli, jakie tylko się znalazły. Jestto potwór mający przeszło stopę szerokości we łbie, tak zaś ogromny, że gdy postawiono go na zadnie łapy, ludzie zwykłego wzrostu dochodzili mu do ramion. W ogóle, w pobliżu Cheyenne, ma się znajdować ich bardzo wiele.

Cheyenne leży już bezpośrednio w systemie Rocky Mountains; wysokość jéj wynosi 6,041 stóp nad poziom morza, czyli prawie tyleż ile naszéj Łomnicy. Daléj, poza stacyą śnieżne domy ciągną się prawie bez przerwy, śniegi wszędzie ogromne. Małe przystanki: Hazard, Otto, Granite-Canon i Bufor, leżą coraz wyżéj. Nakoniec dojeżdżamy do stacyi Cherman najwyższego wzniesienia na całéj linii, leżącego na 9,000 stóp nad poziom morza.

Nic smutniejszego nad widok téj stacyi. Na łyséj, niewielkiéj płaszczyznie stoi dom z dachem grubo pokrytym zaspami; powietrze rzadkie i tak przenikające, że mimo futer drżymy od zimna. Śnieg pada tu prawie ciągle, wicher wyje i kręci tumanami śniegowych płatków; w niektórych miejscach sterczą nagie czarne skały, z których dziś wiatr zwiał śniegi, a jutro nowych naniesie. Nie rozumiem jak ludzie mogą żyć i mieszkać stale w tych miejscach, w których piersiom

poprostu braknie oddechu, w uszach dzwoni, a osobom słabszym krew pokazuje się ustami..

Dnia 11 marca poczynamy zwolna spuszczać się na dół, ale i z téj strony gór, spadek nadzwyczaj jest nieznaczny. Zawsze jeszcze znajdujemy się na kilka tysięcy stóp nad poziomem morza. Jestto już koniec Wyomingu. W południe tegoż dnia przybywamy do Green-River, która niedaleko ztąd w górach bierze początek. Okolica wszędzie skalista, skały zaś przybierają tak fantastyczne kształty, że jestto najciekawsza niemal część drogi. Niektóre podobne są do obelisków, inne do piramid; tam znów stoi zamek: przysiągłbyś, że wzniesiony ręką ludzką, bo nie brak mu ani wież, blanków strzelniczych, ani nawet obwodowego muru. Ale oto znów zmiana, i skały zniżają się i jak okiem dojrzysz, tworzą mury, długie, proste, a tak regularne, jak gdyby budowane pod linię i cyrkiel.

W Utah, niedaleko od stacyi Echo, znajdują się jednak najosobliwsze formacye. Jest tu tak zwana Dyabla Brama i Dyabla Ścieżka. Obie zresztą podobne do siebie zupełnie, a różniące się tylko wielkością. Są to skały, idące pod górę dwoma grzbietami, zupełnie równoległe, i tworzące przez to głębokie korytarze, tak dzikie i demoniczne, że istotnie dyabeł nie mógłby sobie nigdzie na świecie znaleźć odpowiedniejszego pomieszkania.

Nakoniec, przejechawszy jeszcze jedno ramię rzeki, a może tylko dopływ Green-River, przybyliśmy do Ogden, stacyi a zarazem i miasta w Utah. Niedaleko od Ogden, ale w bok od wielkiéj linii, leży Słone jezioro i Salt-Lake-City, stolica Mormonów. Na nieszczęście, na parę godzin przed nami przyszedł tele-

gram, że droga jest zasypana śniegiem, i że na drugi dzień dopiéro będzie wolna. Niezrażony tém, chciałem doczekać owego drugiego dnia aby koniecznie zwiedzić to osobliwsze miasto, gdy tymczasem nadeszły nowe telegramy, grożące, że za parę dni, i na wielkiéj linii komunikacya może być na długo przecięta, ponieważ niepamiętne śniegi spadają ciągle w górach. Nie było więc rady. Śpiesząc się do San-Francisco musiałem wyrzec się odwiedzin u Mormonów, obiecawszy sobie tylko, że z powrotem zatrzymam się między niemi, choćby kilka dni.

Tymczasem pokazało się, że byłbym lepiéj zrobił, zatrzymawszy się odrazu w Ogden, zaledwie bowiem posunęliśmy się o jeden dzień drogi, do małéj i nędznéj stacyi Tuano, na któréj zwykle pociąg zatrzymuje się trzy minuty, przyszła wiadomość, że dalsza droga nie jest do przebycia, śniegi bowiem na przestrzeni kilku mil zasypały ją na kilkanaście łokci grubo.

— Co będziem robić?—pytali mnie moi towarzysze.

— Krótka rada. Wróćmy do Ogden, a ztamtąd do Salt-Lake-City.

Uradowani tym pomysłem, idziemy do kassy i pytamy: kiedy pociąg odchodzi do Ogden.

— Ztąd pociąg nie odchodzi. Do Ogden idzie tylko wielki pociąg wychodzący z San-Francisco do New-Yorku—odpowiada kassyer.

— A kiedyż przyjdzie pociąg z San-Francisco?

— Gdy droga będzie wolna.

Pospuszczaliśmy głowy. Trzeba było zostać i czekać zmiłowania Bożego w Tuano. Trudno sobie wyobrazić coś nudniejszego jak owo Tuano! Jestto pięć czy sześć chałup skleconych z desek i stojących na

śniegu. Siedzieć tam, kiedy ma się przed sobą uroczą Kalifornię, równało się śmierci. A tymczasem nikt nam nie mógł powiedzieć jak długo musimy pokutować. Może tydzień, może dwa dni, może dziesięć. Oto była odpowiedź.

Słyszeliśmy wprawdzie, że sześć lokomotyw przyszło od strony San-Francisco, cztery przybyłe z Ogden sami widzieliśmy przechodzące przez Tuano. Wszystkie one, uzbrojone w ogromne pługi, poszły rozbijać zaspy śniegowe, ale mogło się i to także zdarzyć, że co maszyny oczyszczą, to śnieg zasypie na nowo.

Z nudów pierwszego dnia strzelaliśmy ze cztery godziny z rewolwerów; nad wieczorem pożyczywszy rajfli od mieszkańców stacyi, udaliśmy się na polowanie, powiedziano nam bowiem, że w poblizkich górach są niedźwiedzie. Z owego polowania wróciliśmy późną nocą, niewidziawszy ani śladu niedźwiedzia, zmęczeni natomiast i przeziębli, bo nieraz przyszło nam zapadać w śnieg po szyję.

W ten sposób upłynął dzień, porobiliśmy znajomości w naszym *sleeping-karze*, w którym jechało arcydystyngowane jakieś towarzystwo. Trudnoż-bo i nie zrobić znajomości, żyjąc z kim, mieszkając i sypiając w jednym wagonie. Ale znajomości te nie były zbyt ponętne, najmłodsza bowiem z „ladies," mogła liczyć mniéj więcéj czterdziestkę, nie biorąc w rachunek podlotków.

Amerykanie poczęli się urządzać, jak gdybyśmy mieli już na zawsze tu pozostać. Jakoż zanosiło się na wcale niekrótką kwarantannę. Dzień upływał za dniem, a każdego wieczora kładliśmy się z myślą: jutro może już obudzimy się w Nevadzie.

I budziliśmy się... w Tuano.

Wkrótce wielka zażyłość zapanowała między mieszkańcami naszego wagonu. Razem chodziliśmy na obiad, wieczorem pijali herbatę w wagonie, i potém do godziny zwykle jedenastéj, śpiewaliśmy chórem narodowy amerykański „*Georgia-marsh*," potém murzyn Charles urządzał łóżka i szliśmy spać.

We dnie program również był postanowiony. Rano: strzelanie z rewolwerów; nagroda dam: pomarańcza. Udało mi się pozyskać ją zaraz drugiego dnia. Po strzelaniu spacer koło wagonów i turniéj damski, polegający na chodzeniu po szynach. Dama, która najdłużéj utrzyma się na szynie i przejdzie największy kawał drogi, otrzymuje nagrodę gentlemanów: pomarańczę.

Trzeba było widzieć nasze ladies, jak podkasawszy sukienki, szły ze sobą o lepszę i obsuwały się co kilka kroków na ziemię.

Nakoniec czwartego dnia, ktoś puścił wieczorem wieść, że w nocy pojedziemy. Z radości zaimprowizowaliśmy pick-nick, który odbył się bardzo uroczyście u piekarza; potém, pełni najlepszéj nadziei, położyliśmy się spać i nazajutrz rankiem rozbudzili się... w Tuano.

Tym razem upadliśmy już na duchu, bo groziło nam jeszcze i inne niebezpieczeństwo. Oto w Tuano kończyły się zapasy żywności. Był jeszcze dostatek sucharów, cukru, kawy, herbaty i kalifornijskich jabłek, ale mięsa poczęło już brakować, przyjść zaś z Ogden nie mogło, bo i od Ogden droga była zasypana.

Na szczęście, tegoż dnia wieczorem przyszła już pewna, bo telegraficzna wiadomość, że lokomotywy

z pługami rozbiły nakoniec śniegi, i że za chwilę będą w Tuano.

Nigdy nie zapomnę téj chwili, gdy nadeszły. Był już wieczór, i wieczór ciemny bardzo, tylko odblask od śniegów rozpraszał ciemność. Nagle usłyszeliśmy zdala lokomotywy, a wkrótce ujrzeliśmy je w pomroce. Byłto raczéj cały pociąg, złożony tylko z maszyn. Pierwsza z nich uzbrojona olbrzymim pługiem, cała obsypana śniegiem, nosiła na sobie wyraźne znamiona ciężkiéj pracy. Zbliżały się, bijąc we dzwony, hucząc, gwiżdżąc, sypiąc snopami iskier z kominów i buchając kłębami dymu. Ten gwar, bicie we dzwony, szum pary i odgłos gwizdania, dziwnie majestatyczne sprawiały wrażenie. Zdawało się, że czarne te potwory święcą w ten sposób tryumf, że są to głosy radości po trudnéj walce i zwycięztwie; zdawało się, że lokomotywy zmęczone są i zziajane, wściekłe jeszcze po walce, ale pijane własną siłą i radosne. Sądziłbyś, że żyją i czują, a owe odgłosy tryumfu powiększały jeszcze złudzenie. Jakaś nieopisana potęga biła od tego czarnego korowodu maszyn i kominów, który przesunąwszy się koło nas nakształt szeregu olbrzymich, powracających jak gdyby z ruji zwierząt, nikł i topniał zwolna w ciemnościach, jak nocne olbrzymie widziadło.

Gwar tylko, huk i bicie we dzwony, dochodziły długo jeszcze naszych uszu z ciemnéj oddali, potém wagony nasze zadrgały, potém uderzyły o siebie i posunęły się zwolna naprzód.

Wkrótce byliśmy już w Newadzie, którą jechaliśmy jeszcze cały dzień i noc następną.

Gdyby Gustaw Doré urodził się w Ameryce, powiedziałbym, że wzory do swych krajobrazów piekła brał z okolic, które przebywaliśmy teraz. Nic tak nie przygniata duszy ciężarem, nic tak nie przejmuje zwątpieniem i zniechęceniem, jak te szeregi nagich czarnych skał, otaczających równinę, przez którą przechodzi pociąg. Wyobrażam sobie, że tak muszą wyglądać umarłe pola księżyca. Bo też istotnie, wszystko tu jest umarłe. Roślinności ani znaku, ani jednego nigdzie żywego stworzenia, skały zdają się trupami skał, płaszczyzna jednym wielkim cmentarzem. Chwilami nawet przychodzi na myśl, że cała ta kraina śpi jakimś martwym letargicznym snem, że to kraina zaklęta i przeklęta przez złego ducha. Jedziesz i jedziesz cały dzień, a krajobraz nie zmienia się wcale; wiecznie ta płaszczyzna, chłodna, zdrętwiała, otwiera się przed tobą w nieskończoność, a po bokach ciągle takież same uśpione albo martwe góry. Do zniechęcenia przybywa jeszcze uczucie nudy, i zdaje ci się, że i ciebie sen ogarnie także, że uśnie wszystko, i czekać będzie przebudzenia wieki całe, w głębokiéj i nieprzerwanéj ciszy.

Nawet nazwy w téj dziwnéj krainie smutne są jakieś i złowrogie. Oto na prawo od pociągu, te posępne góry nazywają się Batle Mountains, czyli Górami bitwy. A i ta cała płaszczyzna, to ciągłe pole walk, które niedawno jeszcze toczyły się między białymi a indyanami. Do wszystkich miejsc przywiązane jakieś smutne wspomnienia. „Tu wyrżnęli całą karawanę pionierów“—mówi ci świadomy miejscowości podróżnik. Tam znów zginęło odrazu do dwustu indyan, tam zaduszono ich dymem w pieczarach. A to co znowu? mogiła, naokół grobu czarne sztachety i krzyż z napisem: „Jenny.“

Kto to była ta Jenny? Jakaś biedna dziewczyna! Nazwisko jéj stoi wypisane także na krzyżu, ale uleciało mi już z pamięci. Zdarzyło się przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze nie istniała koléj, że śnieg zasypał w tém miejscu karawanę podróżnych. Wszyscy upadli na duchu; dzieci i kobiety pochorowały się na tyfus: głód doszedł do najwyższego stopnia: wówczasto Jenny, chodząc od namiotu do namiotu, pielęgnowała chorych i krzepiła upadłych. W nocy rozpalała ogniska, we dnie wygrzebywała mech z pod śniegu i gotowała go na pokarm; słowem: była aniołem opiekuńczym obozu. Ale potém upadła pod brzemieniem: rozchorowała się sama i umarła—inni ocaleli, bo ratunek nadszedł tego samego dnia jeszcze, w którym skonała Jenny. Wdzięczni pionierowie usypali jéj mogiłę i postawili na niéj krzyż. Dziś stoi on koło samego nasypu kolei, tak że z wagonu można przeczytać na nim napis.

Oto jest historya Jenny. Przejeżdżaliśmy koło jéj grobu w południe, wieczorem zaś przybyliśmy do wielkich słonawych jezior, leżących już na zachodnim krańcu Nevady. Jedno z nich nosi nazwę Humbold-Lake, drugie Pyramid, trzecie Tahoe, czwarte Walker. W blizkości ich brzegów, grunt pokryty jest wszędzie solą i prawie zupełnie pozbawiony roślinności. Krajobraz nie różni się wiele od poprzedniego, wody te bowiem szare, nieruchome, mało przezroczyste, wydają się również jak gdyby ujęte snem zaklętym.

Zima widocznie tu także długa i ostra: miejscami śnieg leżał na płaszczyznie; wierzchołki gór całkowicie były nim ubielone; ustawicznie przytém dął ostry i przenikliwy wicher, który wnikał nawet do wagonów, migotając płomieniami lamp. Wyszedłszy na chwilę na

platformę, wróciłem zziębnięty i zniechęcony do najwyższego stopnia. Jeżeli i Kalifornia podobna jest do Nevady, myślałem sobie, po cóż do niéj pędzę przez całe dnie i noce, czyż po to, aby ujrzawszy ją jutro, marznąć, zniechęcić się i rozczarować, tak jak dzisiaj?

Z tą myślą strudzony na ciele i umyśle, udałem się na spoczynek. W nocy marzyło mi się, że jeszcze stoimy w Tuano, dlatego budziłem się co chwila: nakoniec gdy pierwsze promienie słońca zajrzały przez zielone firanki sleeping-karu, ubrałem się i wyszedłem przed wagon.

Z początku zdawało mi się, że śnię jeszcze. Nevada wraz ze swemi dantejskiemi widokami, z zimą i mroźnym wichrem znikła; byłem w lasach, w ślicznych rozrosłych na górach sosnowych lasach, wesołych, wonnych i jak gdyby uśmiechniętych w różanych promieniach poranku. Ciepły wiosenny oddech oblewał łagodnie moją twarz. Nademną rozpościerało się błękitne niebo; tysiące strumieni szemrało po górach; w lasach brzmiał świergot ptastwa; boki czerwonéj skały, wśród któréj szedł pociąg, pokryte były kwieciem, połyskującem rosą nocną: słowem wszędzie wiosna, i przebudzenie, i życie, i wesele.

Byliśmy w Kalifornii.

Pociąg spuszczał się szybko po zachodnich stromych stokach Sierra-Nevada. Wkrótce, co żyło wyległo na platformy wagonów, na wszystkich twarzach znać było radość i zachwyt. Ludzie uśmiechali się naturze, natura ludziom. Okolica stawała się coraz wdzięczniejszą. Nigdzie nie widziałem dotąd takiego bogactwa barw i takiéj zarazem ich harmonii. Niebo błękitne jak we Włoszech, ciemno-zielone lasy, jaśniej-

sze doliny porosłe trawą, czerwone skały—wszystko to mieni się i gra w słonecznych blaskach jak tęcza. W głębokich przepaścistych wąwozach, nad samym brzegiem których przechodzi linia kolei, szumiały obfite wody wiosenne. Tu i owdzie widać było długie, drewniane śluzy, ciągnące się całemi milami, w których przemywają złoto. Grupy chińczyków o czarnych długich warkoczach, uwijały się koło śluz, sypiąc w nie złotodajny piasek i ziemię. W dolinach, na ciemném tle lasów, bielały białe domki farmerów, stada krów i owiec malowniczo rozrzucone po pochyłościach gór, pasły się wśród trawy i kwiatów; czasem mignął jeździec siedzący na wysokiém siodle z lassem okręconém w około kuli, i znikał w skrętach lesistéj drogi.

W miarę jak spuszczaliśmy się na dół, kraj stawał się coraz piękniejszy i coraz widoczniéj południowy; przed domkami, stojącemi tuż przy linii, widać było ogromne kaktusy i inne rozwinięte już i okryte powodzią kwiatów drzewa; mnóstwo nieznanych mi wielkich roślin wiło się naokoło drogi, lub czepiało się śluz, pokrywając je miejscami prawie zupełnie. Nakoniec góry znikły, a natomiast wjechaliśmy w łąki, porosłe tu i owdzie ogromnemi dębami. Niektóre z tych łąk stały pod wodą, inne tak były okryte przez tulipany, że prawie nie widać było trawy. Nad wodami unosiło się tysiące dzikich kaczek, cyranek i nurków. Na polach ogrodzonych wszędzie płotami, widziałem całe stada zajęcy, które uciekały w podskokach za zbliżeniem się pociągu lub téż chowały się w trawę, wystawiwszy z niéj tylko uszy i wąsy; różnobarwne ptastwo przelatywało z drzewa na drzewo, napełniając radosnym gwarem powietrze.

O godzinie jedenastéj w południe przybyliśmy do Sacramento, stolicy Kalifornii. Na dworcu czekały całe tłumy ludzi, pragnące widzieć pociąg, który niedawno wydostał się z niewoli śniegowéj. W tłumie tym kręciło się mnóstwo chińczyków o przypłaszczonych nosach i długich sięgających ziemi warkoczach, zakończonych splotami czarnego jedwabiu. Wyszedłszy z wagonu przypatrywałem im się z ciekawością, która zdawała się ich bawić, uśmiechali się bowiem, poznając zapewne we mnie cudzoziemca, który ich poraz pierwszy w życiu widział.

Po kwadransie przestanku, ruszyliśmy daléj. Droga szła przez parę minut, tuż prawie nad brzegiem złotodajnéj Sacramento-River, która z wiosną bogata w wodę, toczyła poważnie swe czerwone fale, zalewając brzegi, a nawet i domki stojące niedaleko brzegów. Po chwili jednak rzeka znikła nam z oczu, a natomiast po obu stronach drogi, ukazały się niewielkie wzgórza, pokryte kwiatami i zielonością. Kraj stawał się coraz ludniejszy, fermy coraz gęstsze, a kultura coraz staranniejszą. Chwilami zdawało mi się że jestem w Saksonii lub Belgii, ale gorące promienie słoneczne, widok roślin, które w tamtych krajach za egzotyczne uchodzą, wywodził mnie natychmiast z błędu.

Nakoniec po kilku lub więcéj godzinach drogi, na krańcu widnokręgu błysnęły błękitne fale morskie. Sądziłem, że to już Ocean Spokojny, była to jednak tylko jedna odnoga, nad którą leży San-Francisco i jego przedmieście Oacland, które minęliśmy nie zatrzymując się wcale. Pociąg pędził daléj jak szalony, i łatwo wystawić sobie moje zdziwienie, gdy wyjrzawszy oknem, ujrzałem po obu stronach wagonów fale morskie, dzikie

kaczki i mewy, słowem, gdy ujrzałem się wraz z pociągiem poprostu na morzu, a raczéj na długim z półtoréj lub dwie mile drewnianym moście, którego końca nie mogłem nawet dojrzeć z platformy. Wyznaję, że ten sposób podróży wydał mi się cokolwiek zanadto amerykański, zwłaszcza, że nie wiedziałem jak długo przyjdzie nam tak podróżować. Nakoniec jednak w połowie zatoki, most skończył się i pociąg stanął: podróż nasza również była skończona. Pozostawało tylko wsiąść na parowiec i przebyć drugą połowę zatoki, na przeciwległym brzegu któréj, we mgle morskiéj szarzało widne już dla oka San-Francisco.

Opis tego miasta, jak również i opis całéj Kalifornii, odkładam do następnych listów.

Pisałem w południowéj Kalifornii, w górach Sierra-Madre.

VI.

Szkice amerykańskie.

I.

W obecnym liście powiem znów kilka słów o społeczeństwie amerykańskiém i o różnicach tego społeczeństwa od europejskiego. Różnice te tak są wielkie i tak zasadnicze, że skutkiem nich, nietylko budowa społeczna Stanów Zjednoczonych, ale i w ogóle życie i obyczaje mieszkańców tego państwa, dla świeżo przybyłego europejczyka, są niezrozumiałe. Weźmy naprzykład demokracyą tutejszą i europejską. Pierwsza od drugiéj różni się przynajmniéj o tyle, o ile praktyka od teoryi. W Europie, każde państwo, w którém prawo wyborcze jest dla wszystkich jednakowe, a procent od dochodu stanowi podstawę opodatkowania [1]), nazywa

---

[1]) Pomijam tu pewne ograniczenia, ścieśniające prawie wszędzie prawo wyborcze, do tego stopnia, że prawdziwą zasadą jego jest *census*, pomijam również tak zwane podatki pośrednie, obciążające w znacznéj części niektóre tylko klassy, o czém patrz Adam Smith, Ricardo, etc. etc.

się demokratyczném. Z tego określenia wypada, że w Europie, zwłaszcza na Zachodnie, istnieje większość państw demokratycznych. Nie na różnicach jednak wyłącznie instytucyi oparta jest odrębność demokracyi amerykańskiéj od europejskiéj, i aby tę odrębność we właściwém świetle okazać, zauważę przedewszystkiém że demokratyczne państwo nie jest jeszcze bynajmniéj demokratycznem społeczeństwem, i że o ile pierwsze napotykamy w Europie często, o tyle drugie nie istnieje prawie wcale.

Jako przykład przytoczę Francyą. Nikt nie zaprzeczy, że od czasów wielkiéj rewolucyi, budowa tego państwa jest demokratyczną, a jednak każdy zgodzi się ze mną, że mimo napisów na wszystkich kościołach: „*égalité, fraternité etc.,*“ pierwszy z tych wyrazów w sensie nie państwowym, ale obyczajowym, jest tylko bajką Lafontaine'a. Czyż bowiem doktor, kupiec, urzędnik, robotnik prosty wieśniak, żołnierz, nauczyciel, bankier są w życiu towarzyskiém i w praktyce tegoż życia sobie równi? Czyż we Francyi, jak zresztą i wszędzie, nie istnieją obok siebie dwa światy, odrębne i tak zamknięte jeden dla drugiego, jak kasty indyjskie: świat ludzi prostych, świat bluz i sukman— i świat ludzi wykształconych: wykwintny, estetyczny, pański? Czyż nakoniec ludzie należący do tego drugiego świata, nie uważają się istotnie za coś lepszego od należących do pierwszego? Niepodobna temu zaprzeczyć, tak jak każdéj oczywistości. Co więcéj, takie stosunki rozwinęły się, bo musiały rozwinąć się na mocy historycznéj i ekonomicznéj konieczności. Są one naturalne, bo odpowiadają rzeczywiście istniejącym różnicom społecznym.

W Ameryce jest inaczéj. Demokracya tu nietylko jest państwowa, ale i obyczajowa: nietylko istnieje jako instytucya i teorya, ale jako praktyka. Tu ludzie, rozmaitych wymienionych przezemnie stanów, są istotnie i najprawdziwiéj sobie równi: mogą ze sobą żyć, mogą się ze sobą przyjaźnić, należą do jednego towarzystwa, siadają przy jednym stole; słowem: nie stoją na różnych szczeblach drabiny społecznéj, poprostu dlatego że tu drabiny i szczebli nie ma wcale a jest tylko jeden poziom, na którym stojąc, nikt nikogo głową nie przenosi. Ów podział na świat ludzi prostych i nieprostych nie istnieje w Stanach Zjednoczonych, i istnieć nie może dla wielu rozmaitych powodów, o których pokrótce nadmienię.

Jest jedna główna zasada demokracyi obyczajowéj to jest poszanowanie pracy. Tam, gdzie każda praca jest jednakowo szanowaną i jednakowo świętą, tam niéma racyi dzielić przedstawicieli prac na niższych i wyższych społecznie. Otóż my europejczycy nie mamy i nie możemy mieć najmniejszego pojęcia, do jakiego stopnia wszelka praca szanowaną jest w Ameryce. Pod tym względem amerykanie mają niezaprzeczoną wyższość nad każdem społeczeństwem europejskiém. Powiedzmy prawdę, że u nas owe teorye o równości pracy są czczemi frazesami, nie budzącemi żadnego echa w praktyce. U nas człowiek należący do owego świata wyższego, jeśli okoliczności narzucą mu jako jedyny sposób życia pracę ręczną, mimo wszystkiego co się mówi i pisze, zniża się i w opinii własnéj i ludzkiéj; poprostu traci swoją kastę, zrywa wszelkie węzły łączące go z warstwą, do któréj poprzednio należał, i przechodzi do tak zwanych niższych klass

społeczeństwa. W Ameryce niéma to miejsca. Tu, prawdę rzekłszy, klassy społeczne w sensie europejskim nie istnieją; istnieje tylko rozmaity: „*basiness*," ale gentleman, który zajmuje się wyrabianiem obuwia jest równie szanowany, jak gentleman trudniący się adwokaturą, dla téj prostéj i niezachwianéj przyczyny że opinia nie robi najmniejszéj różnicy w poszanowaniu szewctwa i adwokatury. Nauczcie się w Europie szanować tak pracę, a porównacie ludzi, nietylko państwowo, ale i obyczajowo lepiéj jak wszelkie instytucye.

Owo niesłychane poszanowanie pracy, to pierwszy powód, dla którego nie istnieje tu podział na dwa światy, a zarazem klucz do zrozumienia demokracyi amerykańskiéj, która początkowo wydaje się poprostu niepojętą. Da się wytłumaczyć ów szacunek i historycznie i ekonomicznie. Przyczyna historyczna leży w tém, że tutejsze społeczeństwo wytwarzało się z wychodźców, należących do niższych, po największéj części rzemieślniczych klass narodu, które zawsze utrzymywały się jedynie z pracy ręcznéj; przyzwyczajone więc były w niéj widzieć główną wartość człowieka i najdzielniejszą swą broń i największą zasługę. Co się tyczy przyczyny ekonomicznéj, równie ona jasna i naturalna. Mała liczba ludzi, w stosunku do niezmiernych obszarów kraju, i wielka ilość potrzeb, których z powodu braku rąk zaspokoić było niepodobna, wyrobiły niesłychaną cenność każdéj pracy, a ztąd otoczyły ją nie istniejącém nigdzie uznaniem, które przeszło i na jéj przedstawicieli. Mówiąc językiem handlowym: popyt na pracę przenosił tu dziesięciokrotnie jéj podaż, bezpośrednim skutkiem czego była wysoka jéj cena nietylko materyalna, ale i moralna.

To objaśnia wszystko. Ten nierówny stosunek pomiędzy żądaniem pracy, a ofiarowaniem jéj, istnieje do dziś dnia w większości stanów, a zatém do dziś dnia nie zmienia się i jéj uznanie, które prócz tego, ze świadomością jest podtrzymywane przez opinią publiczną i wychowanie, jako główny i szczególniejszy przymiot narodowy.

Z drugiéj strony, przy samorządzie, który pozwala na to, aby dane usposobienie ogółu odbijało się natychmiast i w instytucyach, możliwem było zaprowadzenie urządzeń państwowych w duchu tego poszanowania pracy, a zatém w duchu czysto i wyłącznie demokratycznym. Do takich instytucyj publicznych należą przedewszystkiem szkoły. W Europie, mimo iż zrozumiano oddawna potrzebę oświecenia klass niższych, główna uwaga jednak zwrócona jest nie na szkoły elementarne, mające na celu oświatę, ale na zakłady naukowe wyższe, poświęcone naukom ściśle wziętym. Ależ nie potrzeba dowodzić, ze owe wyższe zakłady nieprzystępne są prawie zupełnie dla większości klass społecznych, stanowiących tak zwany świat prosty, czyli że wychowanie państwowe ma na celu przeważnie nie cały naród, ale tylko świat wyższy, intelligentniejszy, pański. Wytwarza to istotnie takie różnice w rozwinięciu umysłowém ludzi, że w obec nich, równość towarzyska i obyczajowa jest niemożliwa.

W Ameryce znowuż jest inaczéj. Szkoły mają na celu nie tyle naukę, ile ogólną oświatę. Istnieją wprawdzie wyższe specyalne zakłady naukowe, ale uwaga społeczna zwrócona jest głównie na szkoły elementarne, w których uczy się cały naród. Dlatego téż można powiedzieć, że nauka stoi, na ogół wziąwszy

niżéj w Stanach Zjednoczonych niż w Europie—oświata bez porównania wyżéj. Rozlewa się tu ona niezmiernie szeroko i obejmuje wszystkich bez żadnego wyjątku. Dodać należy, że i zakres nauczania elementarnego jest tu nierównie szerszy niż w Europie. Szkoła elementarna nietylko uczy czytać i pisać. Każdy amerykanin wynosi z niéj, prócz sztuki czytania i pisania pewne wiadomości z dziedziny matematyki, geografii, nauk przyrodzonych i wreszcie nauk państwowych. Dalszém kształceniem jego zajmują się gazety i praktyka społeczna. Łatwo zrozumieć, że obywatel, który jest wyborcą, który należy do pewnéj partyi, i którego interesa najbezpośredniéj z losami tejże partyi, są związane, przez samo ocieranie się o życie polityczne i przez bezpośredni w niém udział, wyrabia w sobie nietylko już pewne specyalne wiadomości i poglądy ale zgoła wyższą intelligencyą i wyższe rozumienie wszystkiego co go otacza.

Skutkiem tego, człowieka tak ciemnego, jak każdy „prosty człowiek“ w Europie, jak np. nasz chłop, albo francuzki, trzebaby tu szukać chyba między wyzwolonymi niedawno murzynami. Tu z pierwszym lepszym z brzegu farmerem, rzemieślnikiem, furmanem lub majtkiem, możesz pogadać choćby i o rozmaitych formach rządu, o polityce zagranicznéj, o monecie papierowéj i brzęczącéj [1]), słowem, o czém chcesz, byle nie o literaturze i sztukach pięknych. O wszystkiem tém słyszał w szkołach, czytał w gazetach, nad wszystkiém musiał się zastanawiać jako wyborca; słyszał

[1]) Kwestya obecnie niezmiernie żywo roztrząsana w Ameryce.

wreszcie tysiące mów politycznych „spiczów“ republikańskich i demokratycznych, w których mu każdą rzecz pokazywano ze wszystkich stron i kładziono jak łopatą w głowę. Poglądy jego nie zawsze będą głębokie, czasem mogą nawet zdradzać przyrodzoną głupotę, nigdy jednakże nie zdradzą absolutnéj ciemnoty. Nie ma w tém co mówię najmniejszéj przesady. Każdy przeciętny amerykanin jest człowiekiem nie uczonym, ale rozwiniętym, i takiego odskoku między umysłami, na jaki co krok trafiamy w Europie, tu nie spotykamy nigdzie.

Krótko mówiąc, oświata rozlana tu szerzéj, a wydział jéj bez porównania więcéj równomierny. Ludzie tu są bliżsi siebie umysłowo, porozumienie się więc między niemi jest łatwiejsze. Specyalność osadzona na takim gruncie, nie może już być powodem do wynoszenia się jednych nad drugimi, bo jeżeli np. doktor ma rozmaite wiadomości, których nie posiada szewc, to za to doktor nie umié robić obuwia; obaj jednak są ludźmi rozwiniętymi, w obec czego specyalności ich schodzą do znaczenia odrębnych tylko „businessów,“ nie mogących wpływać na wzajemne stosunki.

Oto drugi powód umożliwiający towarzyską i obyczajową równość między ludźmi.

A teraz przejdźmy do trzeciego.

W Europie świat *wyższy* różni się od świata *niższego*, nietylko zajmowaniem się pracą więcéj umysłową, nietylko zamożnością, nietylko wykształceniem, ale także i uobyczajeniem. Wypływa to koniecznie jedno z drugiego. Istotnie obyczaj wykwintny, estetyczny, jakby dawniéj powiedziano: trefny, może zaszczepić się i przyjąć tylko na gruncie przygotowanym

odpowiednio. Ta delikatna roślina potrzebuje niezmiernie starannéj uprawy umysłowéj, umożliwiającéj subtelne poczucie wszystkiego co jest estetycznem, przyzwoitém i wykwintném, a co grubém i nieokrzesaném W Europie téż, w świecie wyższym, w którym istnieją odpowiednie warunki, uobyczajenie towarzyskie doszło do tego stopnia wysokości, o jakiéj Ameryka marzyć jeszcze nie może. Oto dlaczego świeżo przybyłemu europejczykowi, amerykanie wraz ze swemi przyzwyczajeniami, ze swojém żuciem tytuniu i zakładaniem nóg na okna, wydają się narodem barbarzyńskim.

Cywilizacya obyczajowa, jeśli będziem brać pod uwagę tylko kulminacyjne jéj punkta, albo mówiąc czysto po polsku: szczyty, wyżéj stoi w Europie. Ale téż za to, jakaż przepaść oddziela w naszym starym świecie uobyczajenie wyższych klass narodu od niższych. Weźmy dwornego kawalera i postawmy go obok chłopa, a będzie nam się zdawać, że ci ludzie z dwóch różnych planet pochodzą: różnica będzie tak silna, że znowu, gdybyśmy za miarę cywilizacyi obyczajowéj chcieli brać obyczaje niższych warstw narodu, moglibyśmy powiedzieć, że cywilizacya obyczajowa niżéj stoi w Europie niż w Ameryce. Stoi więc niżéj i wyżéj, czyli zważywszy wszystko dochodzimy do téj saméj wypadkowéj, do któréj doszliśmy mówiąc o świecie, to jest że w Europie udział w uobyczajeniu rozmaitych warstw narodu, jest do wyższego stopnia nierównomierny: na dolę jednych przypadło wszystko— na dolę drugich nic. W Ameryce tak samo jak nie ma zbyt wielkich różnic w oświacie, tak nie ma ich i w obyczajach. Taż sama logika, która w Europie wytwarza te różnice, tu je znosi. Obyczaj nigdzie nie jest

tak wykwintnym, jak w wyższym świecie europejskim; nigdzie zaś tak pierwotnym i nie rozwiniętym, jak w niższym. Jest to trzeci powód równości obyczajowéj i towarzyskiéj między ludźmi.

Rozumiejąc te trzy powody, to jest: 1) poszanowanie pracy, 2) brak zbyt wybitnych różnic w wykształceniu, 3) brak zbyt wybitnych różnic w obyczajach, można dopiéro zrozumieć demokracyą amerykańską i w ogóle amerykańskie życie. Pamiętam, że kiedy przed kilkoma miesiącami wynajęty furman, który miał nas zawieźć do jednego z milionowych farmerów, po przybyciu na miejsce, zamiast zostać przy koniach, wszedł z nami razem do salonu, i siadłszy na kanapie począł bawić córkę gospodarza domu; w mojéj europejskiéj głowie fakt ten nie chciał się żadną miarą pomieścić, témbardziéj, że nie umiejąc jeszcze po angielsku, nie mogłem ocenić jego rozmowy. A jednak miejscowym wydało się to zupełnie naturalnie, bo dla nich furman, jako furman, był tylko gentlemenem mającym swój „business“ w utrzymywaniu koni, zresztą równym zupełnie każdemu innemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych. Dziś już i mnie nie zdziwiłby fakt podobny; wiem bowiem, że jeżeli milioner amerykański stoi niżéj w wykwintności obyczajów, od milionera europejskiego, za to furman amerykański stoi dziesięciokrotnie wyżéj od furmana europejskiego.

Tąż samą zasadą, mniéj więcéj posuniętéj równości intellektualnéj i obyczajowéj, tłómaczą się tu tysiączne inne fakta codziennego życia, na które świeżo przybyli podróżnicy europejscy wytrzeszczają zdziwione oczy. Służący zasiadają tu wszędzie do stołu ra-

zem ze swymi pracodawcami, i nie tworzą bynajmniéj innego towarzystwa: na balach publicznych wiejskich, postrojone córki farmerów, tańczą z parobkami swych ojców, jako z „gentlemenami“ zupełnie na równi stojącymi ze sobą towarzysko; konduktorowie na kolejach żelaznych, w chwilach wolnych od służby, bawią wykwintne podróżujące damy; garsonowie w restauracyach gawędzą na stopie zupełnéj równości z gośćmi: słowem, nigdzie prawie różnicy, wszędzie jeden ogół, jedno wielkie towarzystwo, do którego cały naród należy, i wszędzie stosunki tego rodzaju, iż początkowo zdaje się, że tu ludzie uwzięli się, żeby we wszystkiém postępować odwrotnie, jak w Europie.

Daléj owo poszanowanie pracy, o którém poprzednio wspomniałem, pozwala aby ludzie zajmowali się wszelką pracą, bez ubliżenia sobie, ani swojéj godności, ani nakoniec swojéj pozycyi socyalnéj. Bardzo wielu wysokich nawet urzędników, obok swych urzędów, trudni się to handlem, to przemysłem, to nakoniec rzemiosłem, o tyle oczywiście, o ile czas im na to pozwala. Po wyjściu z urzędu, każdy bez wyjątku chwyta się za jakiś „business,“ w wyborze którego, nie zważa wcale czém był poprzednio. Sam znam w San-Francisco, byłego pełnego generała dywizyi, i byłego wojennego gubernatora Stanu Georgia, który obecnie ma wielki szynk piwa, wódek etc., i własnoręcznie podaje nieraz kufle i kieliszki swoim gościom. Przyznacie, że według europejskich pojęć jestto coś niepodobnego prawie do wiary; ale tu jeśliby dziwili się czemu, to chyba zdziwieniu europejskiemu nad rzeczą tak prostą i naturalną. Takich generałów, gubernatorów etc., naliczyćby tu można bardzo wielu, tém-

bardziéj, że urzędowanie w Ameryce nie trwa zwyczajnie dłużéj nad lat kilka, zatem jest i wielka liczba dymissyonowanych.

Przytaczam te fakta jeszcze i dlatego, aby zwrócić uwagę czytelników, jak takie chwytanie się wszelkich ludzi za wszelką pracę, dzielnie przyczynia się także do podtrzymania równości w obywatelskiém i prywatném życiu. Rzeczywiście, jakże ktoś może wynosić się tu nad szynkarza, korzennika, rzemieślnika wreszcie, skoro ten ostatni wczoraj był gubernatorem, lub zasiadał w senacie, a jutro, jeśli partya do któréj należy stanie się większością i obejmie rząd kraju, znowu będzie piastował jaki równie znakomity lub znakomitszy jeszcze urząd. Tak więc wszędzie i we wszelkich stosunkach szacunek pracy rodzi równość, równość podtrzymuje z kolei ten szacunek: równość obyczajowa i intellektualna znosi różnice w życiu, słowem przerobiwszy łacińskie przysłowie: „*abyssus abyssum provocat,*“ można z zupełną słusznością powiedzieć o Stanach Zjednoczonych i ich demokracyi, że tu „*aequalitas aequalitatem provocat.*“

Doprawdy, w obec tego, gdyby mnie kto zapytał—które społeczeństwo wyrobiło doskonalszą cywilizacyą?—wyższość bez wahania przyznałbym amerykanom. W Europie obejmuje cywilizacya tylko niektóre klassy społeczne, a raczéj jednę, która zagarnie i chłonie w sobie wszystko. Cały świat istnieje tylko w niéj i dla niéj, nauka i wiedza jest wyłącznie jéj udziałem: poezya, sztuki, ruch umysłowy, słowem, wszystko co życie czyni prawdziwie piękném, wzniosłém i duchowém, co stanowi prawdziwie ludzką, estetyczną i intellektualną stronę tego życia, istnieje tylko w niéj i dla niéj, a spełnia

się tylko przez nią. Poza nią nikt nic nie wié, nikt nic nie umié. Ów świat wyższy pisze, sądzi, mówi, wytwarza opinię społeczną, wydaje dzienniki napełnia galerye obrazów, biblioteki, teatra: słowem, jest całą cywilizacyą, poza którą istnieje ogromna mętna fala ludzi, żyjąca życiem mniéj więcéj fizycznem, nieuobyczajona, ciemna, gruba.

Gdybyż, przynajmniéj, do owego świata wyższego, w każdém społeczeństwie europejskiém należały całe miliony ludzi: połowa, czwarta, ósma, dziesiąta wreszcie część ogólnéj liczby, możnaby przynajmniéj powiedzieć, że zakres jego nie jest zbyt szczupły. Ale zobaczmy, że tak nie jest. Wprawdzie obliczyć dokładnie, kto należy do świata wyższego a kto do „prostego," trudno, można jednak postawić cyfry przybliżone, wziąwszy za podstawę większą lub mniejszą zamożność pojedyńczych jednostek. Podstawa taka będzie racyonalną, gdyż łatwo zrozumieć, że kształcić się tak naukowo jak i estetycznie, mogą ci tylko, którym pozwalają na to środki. Otóż mam w téj chwili pod ręką niezmiernie ciekawą książkę, w któréj przytoczony jest urzędowy pruski wykaz z roku 1851, uczyniony przy wprowadzeniu podatków od dochodu. Z wykazu tego okazuje się, że w całych Prusach, mających naówczas siedemnaście milionów mieszkańców, tylko 44,408 osób miało więcéj jak tysiąc talarów rocznego dochodu [1]). Przyjmując dla okrągłości cyfrę 50,000, czy wiecie czytelnicy co ta cyfra znaczy? oto, że naukę, literaturę, sztuki piękne, opinię publiczną, uobyczajenie, słowem całą tę kwint-essen-

---

[1]) Cyfry te podał urzędowy *ad hoc* komitet, zostający pod [redacted]*ydencyą* rzeczywistego tajnego radzcy Dieterici.

cyą wysokiéj cywilizacyi, z któréj Prusy tak są dumne, i która za cywilizacyą całego narodu się uważa, w roku 1851 przedstawia ją w tych Prusach 200,000 rodzin, co przy powszechnym upadku zamożności, pomimo wzrostu ludności, będzie zapewne cyfrą przesadzoną, to znaczy, że reszta, to jest miliony, przedstawiają ów świat ludzi prostych, których przy całym rozwoju nauczania elementarnego w Prusach, przepaść oddziela od świata wyższego i jego cywilizacyi. W demokratycznych Stanach Zjednoczonych zupełnie jest inaczéj.

Tu, tak wiedza w ogóle, jak i uobyczajenie, nie dochodzi może w pojedyńczych indywiduach ani klassach do takiéj wysokości, za to jednak, tak pierwsze jak i drugie, rozlewa się, jak już mówiłem, bez porównania szerzéj i powszechniéj. Oto co nazywa się demokracyą amerykańską. A teraz powiem tylko tyle: jeśli wysoka cywilizacya nie zapewnia szczęścia, tedy należy ją odrzucić, i wrócić do czasów, w których ludzie chodzili na czworakach: jeśli zaś, jak powszechném jest mniemaniem, zapewnia—to musimy przyznać, że i dola społecznego szczęścia, na ogół wziąwszy, w Ameryce bez porównania jest większą, niż gdziekolwiek w Europie, czyli że demokracya amerykańska najbliżéj jest owego społecznego ideału, za którym uganiamy się od wieków.

Tyle o demokracyi amerykańskiéj. Jestto aż nadto dosyć, jak na list, który ma być feljetonem, nie zaś wyczerpującém studyum społeczném. W obec tego, co powiedziałem, można zrozumieć dokładnie życie amerykańskie, w jego różnicach od europejskiego; czytelnik mógł wyrobić sobie pewne pojęcie, nietylko o saméj demokracyi amerykańskiéj, ale zarazem o przy-

czynach umożliwiających jéj rozwój. Teraz pomówimy trochę o moralności tego społeczeństwa.

O wielkich złodziejstwach w tutejszéj administracyi, mówiłem już w poprzednich listach, jak również nadmieniłem i o ich przyczynach, które leżą w tém, że każdy urzędnik, póty tu zajmuje swój urząd, póki jego partya przedstawia większość rządzącą. Zmienia się partya, zmieniają się natychmiast i urzędnicy; tak więc urzędnik, który dla obowiązków urzędu porzuca swój „business," to jest swój sposób życia: wié że po kilku latach urząd ten straci. W obec tego ludziom tym pozostaje tylko jedno: kraść; kradną téż tak gorliwie, jak tylko umieją.

Jestto wada machiny rządowéj, ale właśnie dlatego za wskazówkę moralności całego narodu brać tych nadużyć niepodobna, témbardziéj jeszcze, że urzędnicy tu, ani nie mają tego znaczenia, ani nie przedstawiają stosunkowo tak wielkiéj cyfry, jak gdziekolwiek przy innych formach rządu w Europie.

Co do przeciętnéj moralności narodu, dla oceny jéj, innéj należy szukać podstawy. Ze wszystkich prawd społecznych najmniéj podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą rozwój i moralności. Kto nie wierzy, niech weźmie statystykę przestępstw pierwszego lepszego społeczeństwa, i niech zobaczy, ile ich spełnia się przez ludzi pozbawionych wielkiéj oświaty, ile przez umiejących czytać i pisać, ile przez wyżéj wykształconych. Ale jeśli tak się rzeczy mają, to ponieważ ogólna oświata stoi najwyżéj w Ameryce, najwyżéj więc stoi i moralność. Tak téż jest w istocie. Zastrzegam tylko, że nie mówię o miastach portowych, w których wielką ilość wykroczeń popełniają emigranci

świeżo przybyli z Europy i popychani do tego nędzą. Jasném jest, że wykroczeń tych na karb społeczeństwa amerykańskiego brać nie podobna. Nie mówię także o stosunkach na pograniczach indyjskich, czyli na kresach. Na kresach bowiem nie istnieje żadna organizacya społeczna; niéma miast, instytucyi, praw: słowem są to krainy dzikie, i których jednostka zostawiona saméj sobie i swemu karabinowi, nie żyje społecznie. Żadne zatém dobro ogólne, ani porządek publiczny, nie ograniczają jéj samowoli i jéj namiętności. Ciągła wojna ciągłe niebezpieczeństwo, napady, odwety, i całe otoczenie dzikie a surowe, zaostrzają jeszcze indywidualne namiętności, które téż wyrastają do olbrzymich rozmiarów. Ale téż nie może być inaczéj. Przypomnijmy sobie tylko dawnych naszych kresowców, osiadłych na pograniczach i szlakach tatarskich, a będziemy mieli podobny obraz. Mimo usposobienia ludzkiego, przeważającego w dawném społeczeństwie, kresowcy byli to mężowie waleczni, ale téż kochający wojnę i rozlew krwi, srodzy, burzliwi i pochopni do awantur. Tu w Ameryce dzieje się toż samo, a nawet w większym stopniu, témbardziéj, że ludność kresowa składa się z piany społecznéj, z ludzi, którzy albo pod prawem wyżyć nie mogli, albo téż musieli przed niém uchodzić w pustynią, gdzie żadne oczy, prócz gwiazd niebieskich na nich nie patrzą. Stanowią oni tam nie społeczeństwo, ale zaczyn społeczny, który fermentuje, bo musi fermentować.

Ileż razy zdarzy się czytać w historyi, że pierwotną zasadą bytu w tworzeniu się społeczeństwa, był rozbój. Tak Livius pisze o początkach Rzymu, że pierwotna jego ludność była to „*pastorum, convenarumque*

plebs transfuga ex suis populis [1]); daléj: narody germańskie, klany gallijskie, były tylko bandami, których sposób do życia stanowiła łupież. Toż samo można powiedzieć o Normanach. Otóż i ci kresowscy amerykańscy, owi „rycerze pustyni,“ „wakerosi,“ etc. stanowią takiż sam nawóz pod uprawę niwy społecznéj. Jak tylko kraina odjęta jest dzikim ludom i dzikiéj naturze; jak tylko ludność się zwiększa, mnożą się stosunki: natychmiast występuje i panowanie porządku społecznego. Początkowo porządek ów znajduje swój wyraz i urzeczywistnienie w strasznych sądach regulatorów i w prawie „lynch.“ Zwolna jednak, przy ciągle mnożącéj się ludności, i sądy regulatorów i prawo „lynch“ stają się bezprawiem; namiętności cichną, jak wzburzone fale; stosunki układają się coraz spokojniéj, coraz prawidłowiéj, coraz zgodniéj z wymaganiami wysokiéj cywilizacyi, a w końcu pamięć o dawnych burzliwych czasach zostaje tylko w jakiéjś nazwie, jak np. *Krwawy* Arkansas, w przykominkowych opowiadaniach starców, lub w jakimś sensacyjnym romansie, w którym indyanie i biali odbierają sobie, przez całe setki stronnic, idealną dziewicę, umiejącą, mimo długich dni i nocy niewoli, zachować swą niewinność dla szczęśliwego bohatera.

W taki to sposób tworzyły się prawie wszystkie Stany, czyli tutejsze państwa. Dziwnie nauczający to widok, mili czytelnicy, jestto bowiem ten sam proces tworzenia się społeczeństw, przez który przechodziły państwa europejskie; tylko, że w Europie trwał on całe tysiące lat, tu zaś odbywa się prawie w oczach. Wi-

[1]) Pastuchów i przybłędów tłum wygnany ze swoich ludów.

dok to, daléj, pocieszający, dowodzi on bowiem, że, bądź co bądź, postęp leżąc w naturze ludzkiéj, ma w sobie siłę niepokonaną, która musi obalić i zniszczyć wszystkie przeszkody, a zaprowadzić wszędzie spokój, poszanowanie praw ludzkich i taki porządek, w którym przyznano jest, lub będzie każdemu to, co mu się należy. Wobec téj prawdy, wszystkie nielegalne stosunki ogólne, wszystkie przewagi siły fizycznéj, mogą być uważane tylko za epoki przejściowe, za wielkie kołysanie się szali politycznéj i społecznéj, szukającéj równowagi, na mocy odwiecznych praw natury.

Ale wracam do rzeczy. Mówiąc o moralności publicznéj, nie mogę tedy brać w rachunek tych krain Stanów Zjednoczonych, w których ustrój społeczny jeszcze nie istnieje; będę więc tylko mówił o Stanach już ukonstytuowanych, t. j. znajdujących się w warunkach normalnych. Otóż powiem wam, że nie znam społeczeństwa bardziéj lojalnego, jak amerykańskie. Bezpieczeństwo publiczne większe tu jest niż gdziekolwiek indziéj. Kiedym początkowo, na wiarę wieści krążących w Europie o Stanach, jeździł tu i chodził z rewolwerem za pasem, z żelaznym kułakiem w kieszeni, i ze szpadą ukrytą w lasce, słowem uzbrojony jak jaki rozbójnik w operze; ludzie świadomi tutejszych stosunków, śmieli się ze mnie, pytając: czy i w towarzystwa kobiece będę chodził również z palcem na cynglu. Obecnie bawię w Stanach przeszło pół roku, byłem w rozmaitych stronach; ocierałem się o rozmaitych ludzi; zdarzało mi się sypiać w samotnych farmach, odległych o dziesiątki mil od stron zamieszkałych, w szałasach pasterzy, w chatach rybackich: nigdzie zaś z nikim nie miałem najmniejszego zajścia,

nigdy bezpieczeństwo mojéj osoby i kieszeni nie było zagrożone, przynajmniéj ze strony amerykanów.

Nie mogę np. tego powiedzieć o meksykanach, zamieszkujących południowe okolice Kalifornii i o ucywilizowanych napół-indyanach; jak jedni bowiem tak i drudzy, dość skłonni są do skręcenia komuś szyi w kącie i zagrabienia jego worka. W granicach jednak Stanów Zjednoczonych to zdarza się rzadko, albowiem, nietylko czujność saméj policyi, ale i energia wszystkich wogóle mieszkańców, umiejących być dla siebie samych policyą, stoi temu na przeszkodzie. O rozbojach téż, o uorganizowanych bandach złoczyńców, zupełnie tu nie słychać. Rozbijają indyanie i meksykanie na pograniczach, ale w Stanach urządzonych panuje spokój. Weźmy u nas np. pierwszy lepszy numer Kuryera Warszawskiego, a znajdziemy w nim niezawodnie mniéj więcéj efektowne opisy o włamaniach się lub kradzieżach, dokonywanych w mieście. Tak samo dzieje się w Paryżu, w Berlinie: słowem, we wszystkich znaczniejszych miastach europejskich. Tu zdarza się to daleko rzadziéj, tak nawet rzadko, że podobne wyjątkowe zdarzenia uchodzą za wielkie wypadki, które opisują gazety, które illustrują dzienniki tygodniowe, nie szczędząc przytem gorzkich słów policyi, rządowi, ba samemu nawet prezydentowi, na którym zresztą, wedle owéj bajki: „Kogut winien, więc na niego,“ skupia się tu prawie wszystko.

Z drugiéj strony, spytajcie się tylko naszych obywateli wiejskich, co się dzieje u nas po wsiach, a usłyszycie niezawodnie całe historye o kradzieżach żyta, pszenicy, o wypasaniu nocami łąk i koniczyny; o łamaniu płotów, drzew przy drogach, o nocnych napadach

na sady owocowe i t. d. Tu własność szanowana jest do najwyższego stopnia. Nikt tu, np. w Kalifornii, z powodu ciepłego klimatu nie zamyka koni, owiec, bydła, drobiu; nikt nie otacza ostrokołami ogrodów; nie ma prawie wcale stodół i śpichrzów: nie słyszałem jednak nigdy nikogo skarżącego się, żeby mu coś zginęło. Własność prywatna jest tu rzeczą tak świętą, że możesz ją prawie, choćby na publicznéj drodze złożyć, a nikt jéj jeszcze nie ruszy.

Otóż strona wysoce moralna społeczeństwa.

Oświata to wyższa, oświata nie pojedynczych eleganckich klass, ale demokratyczna oświata rozciągająca się na cały naród, wyłącza podobne nadużycia. Ale prócz oświaty jest jeszcze jeden czynnik, i podtrzymujący ją i wypływający z niéj jednocześnie, to jest: zamożność.

Znowu nie mówię o miastach portowych, gdzie przybyli emigranci, póki nie znajdą roboty, biédę klepią: ale o całym kraju w ogóle. Że tu zamożność większa jest, niż gdziekolwiek w Europie, objaśnia ta prosta okoliczność, że tu na jednego człowieka przypada przynajmniej sto razy więcéj ziemi, niż w Europie, i że każdy może jéj jeszcze dostać 160 akrów, prawie darmo, bo na dziesięcioletnią spłatę, licząc po $1^1/_2$ dolara za akr. Przytem, jak wspomniałem, tenże sam stosunek ludzi do ziemi, wywołuje wysoką cenę pracy przy stosunkowéj taniości pierwszych potrzeb życia; zatém o biédzie, w znaczeniu europejskiém, która jest synonimem głodu, tu nawet mowy być nie może. Mówią mi, np. w Anaheim, że m. Brown lub Harrison, lub Down, jest człowiek bardzo biédny. Cóż to się znaczy? Pójdźmyż zobaczyć tego biédaka. Idziemy

i oto przed nami porządny dom otoczony tamaryndami, drzewem pieprzowem, winogradem, brzoskwiniami; w korallu przy domu krowa, koń jeden lub dwa; daléj widać stogi kukurydzy, jęczmienia i t. d. Wreszcie drzwi się otwierają i amerykański biédak wychodzi na nasze spotkanie. Prawda, ma na sobie tylko spodnie, buty i koszulę, ale tu nikt nie chodzi inaczéj. *„Halo! gentlemen!“* mówi gospodarz i zaprasza nas do środka. *Halo!* odpowiadamy i wchodzimy. W domu izb kilka. W jednéj dostrzegam, że cała podłoga, według obyczaju amerykańskiego, okryta jest dywanem; stoi stół, krzesła na biegunach i inne jakie takie sprzęty; w następnych statki gospodarskie, łóżko zajmujące pół izby, na którem cała rodzina pomieścić się może: biéda jakoś nie kole w oczy. Czy ten człowiek nie ma co jeść? Ale gdzie tam, jada trzy razy na dzień mięso i pija przytém wino, bo to najtańszy tu napitek. Dlaczegóż więc mówicie, że biedny? Bo nie ma ani stu dolarów leżących pieniędzy. Mój Boże! iluż ja znam w Warszawie literatów, adwokatów, doktorów, iluż wreszcie po wsiach obywateli wiejskich, którzy nie mają stu talarów gotówki. Ale u nas nie to nazywa się biédą, a przynajmniéj nie to nędzą. Nędza mieszka w suterynach: jada raz na dzień lub dwa, nie widuje mięsa, chyba przez szybę w wystawach rzeźniczych; nędza u nas kłapie zębami z zimna, puchnie z głodu, żebrze, kradnie, rozbija: pokażcie mi taką nędzę!

O! cóż znowu! takiéj u nas nie ma. Pan Brown, Harrison lub Down jest biédny, ale nie jest nędzarzem. Biédnym jednak słusznie go nazywają, bo nie ma gotówki, a może ma i długi, za które zabiorą mu wszystko.

Owo „wszystko“ rozumiane jest także po amerykańsku; dłużnicy nie mogą mu zabrać narzędzi gospodarskich, naczyń domowych, pościeli i t. p.; nie mogą mu także zabronić, żeby w wigilią licytacyi sprzedał krowę, konie, owce, kury i pieniądze schował do kieszeni. W rezultacie więc, mogą mu zabrać ziemię, i to tylko w takim razie, jeżeli nie ubezpiecza ją prawo tak zwane: „*homestead*“ [1]). Przypuśćmy jednak, że mogą mu zabrać ziemię całkowicie, to i cóż? O piętnaście, dwadzieścia lub pięćdziesiąt mil, znajdują się całe tysiące akrów oczekujących na kolonistów, kwestya więc tylko w tém, by zabrać rodzinę, udać się tam, wyrąbać las, zbudować dom, ot i gotowe nowe schronienie. Nie potrzebuję dodawać, że dawne długi nie mogą być przeniesione na świeżo założoną hipotekę.

Ale nawet, nie zajmując nowéj ziemi, zbankrutowany farmer ma przed sobą tysiące zajęć do wyboru. Może się nająć jako robotnik, czy to w polu, czy w mieście; wszędzie nie on potrzebuje szukać, ale jego szukać będą, przyczém zapłata jaką mu zaofiarują, wystarczy z pewnością na opędzenie potrzeb jego i jego rodziny.

Zapewne że Stany zachodnie, a między niemi i Kalifornia, w szczególnie szczęśliwych pod tym względem znajdują się warunkach. Na wschodzie, bieda może bardziéj zbliża się do europejskiéj; nigdzie je-

---

[1]) Po polsku możnaby to przełożyć: „bezpieczeństwo domowego ogniska.“ Na mocy tego prawa, majętność staje się współwłasnością żony i dzieci, zatém nie może być, w razie bankructwa męża, ani odjęta rodzinie, ani sprzedana za długi.

dnak nie dochodzi do tego stopnia, dla téjże saméj wiecznie przyczyny, to jest małéj liczby ludzi w stosunku do obszarów ziemi.

A teraz, jakże chcecie, żeby człowiek oświecony i stosunkowo rozwinięty, który ma prawa obywatelskie, który czuje się bezpiecznym i równym każdemu innemu który ma przytém co jeść, pić i w co się ubrać, porzucał dobrowolnie tę dogodną ze wszech miar pozycyą, a wchodził na ciernistą i niepewną jutra drogę występku? Musiałby to być chyba czarny charakter „*par principe*," taki, jaki widujemy na deskach teatralnych. Ale takich wszędzie jest niewiele. Nie mówię, że zbrodnie i przestępstwa nie zdarzają się w Stanach Zjednoczonych! Owszem, zdarzają się tu, jak i gdzieindziéj, ale podczas gdy w Europie są one po największéj części wypływem nieszczęsnego położenia socyalnego, tu prawie wyłącznie rodzą się z indywidualnych namiętności, nie zaś z ciemnoty, albo nędzy; nie potrzebuję zaś dowodzić, że ta ostatnia kategorya przestępstw, wszędzie o sto procent od pierwszéj jest większą.

Na mocy tego, z krédką w ręku i cyframi na papierze, można przekonać siebie i drugich, że społeczeństwo amerykańskie moralniejsze jest, niż jakiekolwiek europejskie.

Nakoniec, słówko jeszcze, co do czystości obyczajów. W miastach, moralność pod tym względem, przecięciowo wzięta, zapewne niewiele wyżéj stoi niż w Europie, a w tych gdzie przewagę ma napływowa ludność chińska, może nawet i niżéj. W ogóle jednak, chłodny przyrodzony temperament narodu, nie dopuszcza zbytnich nadużyć, życie zaś młodzieży, przepełnione

ruchem, pracą fizyczną i gimnastyką, dzielnym jest przeciw rozpuście hamulcem.

Takie są cechy i przymioty tego społeczeństwa, które z początku raziło mnie, a które teraz, im więcéj i głębiéj poznaję, tém więcéj uczę się je szanować. W wywodach moich starałem się być objektywnym i o ile możności ścisłym; nie są więc one wynikiem ani optymizmu, bo o to nikt mnie jeszcze dotąd nie posądzał, ani wreszcie z góry powziętéj sympatyi do instytucyi tutejszych. Rozumiem jasno, że niemasz instytucyj bezwzględnie i jednakowo wszędzie dobrych. Wszelkie urządzenia społeczne wtedy są dobre, kiedy są najodpowiedniejsze usposobieniu narodu, jego obyczajom, tradycyom; wreszcie kiedy zapewniają największy rozwój społeczny; złe zaś wówczas, kiedy ten rozwój hamują, i kiedy chcą pozostać formą niewzruszoną i wieczną; wtedy nawet, kiedy już treść wewnętrzna innych zewnętrznych kształtów wymaga.

Oto jest moje rozumienie rzeczy. Z drugiéj strony jednak sądzę, że przypatrując się instytucyom amerykańskim, i widząc je w prawdziwém świetle, można wiele skorzystać, wiele się nauczyć, wiele przesądów i nędznych pretensyjek zapomnieć; nakoniec zyskać umiejętność szerszego na świat spoglądania i otworzyć na oścież duszę uczuciom humanitarnym, godnym XIX wieku i postępowéj filantropii.

Oprócz tego zauważyłem, że korrespondencye pisane ztąd do naszych dzienników, jakkolwiek pisane nieraz z wielkim talentem, z natury rzeczy, jako czasowe, muszą się czepiać raczéj zdarzeń i wypadków przemijających, faktów zewnętrznych, chwilowych położeń politycznych, to jest owéj „*silvae rerum*,“ która

jest raczéj objawem i wykwitem życia, nie zaś jego zasadą. Ja, nie krępowany terminami w przesyłaniu moich listów, mogę wolniéj robić spostrzeżenia, pomijać okoliczności zewnętrzne, a dopytywać się do ich przyczyn: słowem, mogę badać istotę rzeczy, „*das ding in sich*," jakby powiedział stary Kant, i spostrzeżeniami dzielić się od czasu do czasu z czytelnikami, choćby tylko w sposób fejletonowy, niewyczerpujący i ulotny.

II.

O literaturze i sztukach pięknych w Ameryce, późniéj pomówię z czytelnikami, ponieważ przedmiot wart, aby mu osobny list poświęcić. Nawiasowo jednak powiem, że rozwój, tak literatury [1]), jak i sztuk pięknych w Stanach Zjednoczonych, nie doszedł jeszcze do tych wyżyn, na których stoi w Europie. Henryk Tomasz Buckle, w swojéj Historyi cywilizacyi w Anglii, robi uwagę, że literatura i sztuki piękne poczynają istnieć i kwitnąć w daném społeczeństwie wtedy dopiéro, kiedy toż społeczeństwo poczyna gromadzić bogactwa [2]). Zdanie to możnaby wyrazić jeszcze inaczéj, a mianowicie tak, że rozkwit ów zaczyna się dopiéro wówczas, gdy, po pierwsze: cywilizacya ukończy walkę z naturą i ujarzmi ją, a powtóre, gdy poczyna

---

[1]) Przez literaturę rozumiem tu w przeciwieństwie do ogólnéj nazwy: piśmiennictwo, tylko nadobne utwory.

[2]) Z wyjątkiem poezyi.

czuć pewien przesyt życiem i światem realnym. W Ameryce nie ma jeszcze miejsca ani jedno, ani drugie, zapotrzebowania więc estetyczne na ogół wzięte, są niewielkie; takie zaś, jakie istnieją, zaspakaja przytém, prócz miejscowéj, i pobratymcza literatura angielska. Zresztą o tém późniéj, teraz zaś przejdziemy do kwestyi, która o tyle z literaturą i piśmiennictwem stoi w związku, że robi w nich od kilku lat niezmiernie wiele gwaru i hałasu, to jest do kwestyi emancypacyi kobiét w Ameryce.

W Europie powszechne jest mniemanie, jakoby emancypacya kobiét nigdzie nie znajdowała takiego urzeczywistnienia w praktyce, jak w Stanach Zjednoczonych. Ja sam byłem pewny, że znajdę tu mnóstwo kobiét, doktorów, adwokatów, urzędników, nawet duchownych; że przynajmniéj spotkam ich wiele poświęcających się poważnym naukowym badaniom; niechby wreszcie, bawiących się tylko w pozory emancypacyi, które, mimo swych śmiesznych i ekscentrycznych form, zdradzają zawsze jakiś prąd ogólny. Tymczasem rzeczy mają się inaczéj. Nauczanie elementarne jest tu istotnie przeważnie w rękach niewiast, które na tém polu oddają nieobliczone usługi społeczeństwu, ale jeśli przez emancypacyą będziem rozumieć wyższe specyalne kształcenie się kobiét, i udział w obowiązkach publicznych, spełnianych gdzieindziéj przez mężczyzn, to można powiedzieć, że mniéj tu zrobiono pod tym względem niż w Europie.

Istnieje tu możność emancypacyi. Amerykanie mają jeden nieoszacowany przymiot, to jest: odwagę próbowania wszystkiego, co tylko przedstawia się, jako teorya dążąca do ulepszeń życia ludzkości i postępu.

Jeśli tylko taka teorya nie jest oczywistém, bijącém w oczy głupstwem, jeśli znajduje swoich stronników, wyradza naukowe spory, ma za sobą jakiekolwiek dane: wówczas otwierają jéj nareszcie wrota do praktyki.

U nas, gdzie opinię publiczną wytwarzają kanapy, ile razy pojawi się jakaś nowa myśl z zagranicy, natychniast podnosi się taki wrzask, takie larum, że trzeba mieć chyba odwagę graniczącą z zuchwałością, by jakąś reformę lub w ogóle coś niebywałego chcieć wprowadzić. Ale w Ameryce, na rumaku wyobrażającym postęp, nie jeżdżą bez siodła dewotki: chcesz próbować to próbuj: tak było i z emancypacyą.

Opinia dała jéj z góry sankcyą, a sankcyi państwowéj nie potrzebuje tu nikt i nic. Państwo może zabronić jakiéjś praktyki, jeśli ona sprzeciwia się moralności, publicznemu bezpieczeństwu i t. d., ale pozwoleń nie udziela.

Ruch więc rozpoczął się swobodnie i ogarnął umysły. Poczęły zbierać fale, góra jęczeć, i urodziła się... mysz.

Jednem słowem, emancypacya w takiém znaczeniu w jakiém ją określiłem, nie weszła w życie.

W New-Yorku, panna, jeśli się nie mylę, Mac-Cleftan jest pułkownikiem; w Stanie Wyoming kobiéta jest duchownym; zapewne znajdzie się także kilku adwokatów; w uniwersytetach tu i owdzie trafi się rodzaju żeńskiego student; ale już sam ten rozgłos owych osobistości, który dochodzi aż do Europy, wskazuje że są to wyjątki, po największéj części indywidua obdarzone przytem chorobliwą fantazyą, za któremi ogół kobiét wcale nie idzie, a które opinia, przy całéj swojéj tolerancyi, wyśmiewa.

Proszę bowiem: cobyście powiedzieli o kobiécieduchownym, któraby spowiadała swego męża? albo jeszcze więcéj: o żeńskim pułkowniku? A gdyby tak w razie wojny takiemu pułkownikowi przyszło nagle prosić nieprzyjaciół o zawieszenie broni, z powodu spodziewanego powiększenia się o jednę niewinną istotę sztabu? Takie kłopotliwe położenia wodzów wpłynęłyby może skuteczniéj na złagodzenie okropności wojny, niż konferencye brukselskie. Chociaż nie! Świadomi rzeczy mówią, że widok tego wydającego sopranem rozkazy pułkownika, i jego plastyczne kształty, równie plastycznie rysujące się w obcisłym ubiorze żołnierskim, dziwnie dodatnio wpływają na zapał żołnierzy.

Ale dosyć żartów. Chcę mówić, że emancypacya nie weszła w życie w Ameryce, i że w ogóle w pracach i obowiązkach społecznych, kobiéta niewielki tu bierze udział. Powiedzą mi na to, że w Stanach wschodnich, np. w Nowéj Anglii, kobiéty pracują w fabrykach. Prawda, ale ileż kobiét, a nawet i dzieci, pracuje w fabrykach w Europie. W Wielkiéj Brytanii, np. rząd musiał ograniczać liczbę godzin pracy dla kobiét i dzieci w zakładach rękodzielniczych; toż samo działo się i gdzieindziéj, o czém czytelnik może znaleźć wiadomość u pierwszego lepszego ekonomisty. Wypada z tego, że i pod tym względem w Ameryce nie istnieje żadne wyjątkowe położenie, i że przeciwnie, nawet w przemyśle, kobiéta tu bierze mniejszy udział niż w starym świecie. Daléj kobiéty obesłały tu wystawę dziełami rąk swoich, które to dzieła pomieszczone są w tak zwanym oddziele kobiécym. Na wystawach europejskich nie było osobnych oddziałów kobiécych, ale nie wypada z tego, aby tysiące nadesłanych przed-

miotów nie pochodziły z rąk kobiecych. Czyjémże dziełem są wszystkie koronki, tak podziwiane przez cały świat? mnóstwo przedmiotów galanteryjnych, hafty częściowe i gobeliny, wyroby porcelanowe, jedwabne, tkackie, stroje kobiece i t. d. We wszystkiem tém albo wyłącznie, albo pół na pół widzimy rękę kobiécą. Trudno zaprzeczyć, że stan robotniczy ma bez porównania więcéj przedstawicielek w pierwszém lepszém fabryczném społeczeństwie w Europie, niż w Ameryce. Ale zresztą udział ten w przemyśle nie może być policzony na karb emancypacyi. W Europie jednakże znajdujemy kobiéty służące po biurach telegraficznych i pocztowych, w kassach rządowych i prywatnych: tu tego niéma prawie nigdzie. Liczba kobiét zecerek w Europie także jest większą. Słowem, nigdzie nie spotykam tu takiego udziału kobiét w obowiązkach męzkich, któryby zasługiwał na ów rozgłos i na owe pojęcie o emancypacyi w Ameryce, jakie co krok napotykamy u nas w książkach poświęconych sprawie kobiecéj i w ulotnych artykulikach dziennikarskich i broszurowych zatytułowanych: „Słówko w sprawie kobiecéj,“ „Kilka słów,“ „Jeszcze słówko,“ albo w rozmaitych „Ziarnkach społecznych,“ których, mówiąc nawiasem, nikt dziobać nie chce.

Pozostaje więc nauczycielstwo, nauczycielstwo, i nic więcéj. Udział to wprawdzie co się nazywa: wielmożny, ale nie wypłynął on z ruchu emancypacyjnego i prawie za emancypacyą tak określoną, jak określiłem ją wyżej, uważany być nie może. Zresztą, gdybyśmy nawet i poczytali go za objaw emancypacyi, jest to dopiéro jeden zawód, jeden kierunek, pierwszy krok,

od którego do powszechnego wzięcia udziału w pracach i obowiązkach jeszcze daleko.

Tymczasem w Europie sądzą, że ów powszechny udział jest faktem już spełnionym.

Nakoniec co do specyalnego kształcenia się kobiet.

Istnieje możność takiego kształcenia się: zakłady naukowe są otwarte; nic nie stoi na przeszkodzie przyjmowaniu kobiét na fakultety prawne, medyczne; ale swoją drogą bardzo ich mała ilość z tych praw korzysta. Wieści krążące w Europie o zakładach tutejszych naukowych, wyłącznie żeńskich, są do wysokiego stopnia przesadzone. Takie instytucye, jak np. tak zwana akademia Vassara, daléj rozmaite kolegia w New-Yorku, Washingtonie, Bostonie, Filadelfii, uważane są powszechnie u nas za jakieś uniwersytety, równe przynajmniéj wszechnicom niemieckim. Jestto, jak amerykanie mówią: „*humbug.*“ Skoro tylko zbiorę dostateczną ilość materyałów, poświęcę tym żeńskim akademiom osobny list; tymczasem zaś powiem, że o ile dotąd mogłem rzecz zbadać, są to tylko wyższe pensyonaty, których program zresztą naukowy daleko jest obszerniejszy na papierze niż w rzeczywistości.

Kobiéta powszechnie kształci się tu razem z mężczyzną, temu zaprzeczyć nie można; ale kształci się tylko w zakładach naukowych niższych, które dają rozwinięcie umysłowe ogólne, nie zaś specyalne przygotowanie do jakiegoś zawodu. Większość mężczyzn z zawodami temi obznajmia się późniéj, bądź w zakładach specyalnych, bądź, co najczęściéj przez samą praktykę: ogół kobiét zaś nie idzie daléj, i zwolna zapomina tego, czego się uczył w szkołach.

Rzecz to według mego rozumienia zupełnie naturalna. Udział kobiét w nauce i obowiązkach społe-

cznych, nie wszedł w życie w Ameryce, bo wéjść nie mógł. Wszelka teorya może się zmienić w rzeczywistość, nie tam jedynie gdzie nie znajduje przeszkód państwowych, ale tam gdzie odpowiada prawidłowéj i tak niezbędnéj jak chléb potrzebie. Tam gdzie kobiét jest więcéj niż mężczyzn, gdzie tysiące ich nie wychodzi za mąż, a nie wyszedłszy nie może na chleb zarobić: tam nacisk kobiét szukających nowych sposobów do życia, będzie tak silny, że tego parcia nie wytrzymają żadne tamy i emancypacya musi przejść w życie, jako konieczność. Ale w Ameryce istnieją zgoła inne warunki. Kraj jest jeszcze mało zaludniony, a powtóre bogaty. Wspomniałem już o wielkiej przecięciowo wziętéj zamożności tego narodu. Ziemia i pierwsze potrzeby życia są tanie, a praca droga; każdy więc mężczyzna pracując sześć godzin dziennie [1]), zarabia z łatwością nietylko na utrzymanie własne, ale i rodziny. Co więcéj: dzieci jak ongi u izraelitów, są tu prawdziwie błogosławieństem Bożem, doszedłszy bowiem do pewnych lat, przedstawiają cenną siłę roboczą.

Z drugiéj strony, ten kraj bogaty we wszystko, jest ubogi tylko w kobiéty. Nie mam pod ręką statystyki ludności Stanów, jestem jednak pewny, że z wyjątkiem może kilku Stanów wschodnich, liczba mężczyzn, na ogół wziąwszy, w całych Stanach przewyższa kilkakrotnie liczbę kobiét, w niektórych zaś południowych i zachodnich, stosunek ten ma się tak, jak 5 do 1. Skutkiem tego każda kobiéta ma tu przynajmniéj 5 na 1-ną

---

[1]) Liczba godzin powszechnie przyjęta, przynajmniéj na *Zachodzie.*

daną, że wyjdzie za mąż, i że znajdzie w pracy męża zaspokojenie potrzeb nietylko koniecznych, ale nawet i do pewnego stopnia zbytkowych.

Zdarzało się, że rodziny polskie, rossyjskie, czeskie, dość licznie osiadłe w Kalifornii, nie mogąc przywyknąć do powszechnéj tu zupełnéj równości w stosunkach ze służącemi, sprowadzały proste wiejskie dziewczyny z ojczyzny. Radość z takiéj służącéj bywała początkowo wielka, ale cóż gdy nietrwała, po kilku bowiem miesiącach zjawił się jaki gentleman, rzemieślnik, robotnik, farmer, oświadczał się miss Kaśce, Maryśce lub Jagnie, i zaślubiał ją, a zaślubiwszy, stroił potem w jedwabie i aksamity. Lady Kaśka, która przywykła była w domu cebrem na powyrku wodę nosić, tu huśtając się na biegunowém krześle, szybko oswajała się z pozycyą i w krótce nie różniła się niczém od innych „ladych.“ Sam poznałem kilka takich dam: niektóre zapomniały już rodowitego języka, w ogóle jednak z rozczuleniem słuchały swojskiéj mowy, odpowiadając mi co chwila: „jest kochany panie!“ co miało znaczyć: „tak (*yes*!) kochany panie!“

Owóż wypada z tego, że kobieta wié tu, iż nie pracując, nie tylko z głodu nie umrze, ale będzie miała z czego żyć, nawet pod pewnym względem wykwitnie. Taki stan rzeczy objaśnia wszystko.

Tak do nauki, i do chwytania się za rozmaitą pracę, skłaniają ogół ludzi nie jakieś powody idealne, ale głównie potrzeba; tu zaś potrzeba ta nie istnieje. Bądź co bądź, bujać się na krześle z biegunami a inaczéj mówiąc: żyć wesoło i bez troski, przyjemniéj jest niż wytężać umysł lub muskuły. Cóż więc dziwnego, że tu kobiéty wybierają to pierwsze.

Mówiąc wyłącznie o Kalifornii, muszę wyznać, że tu kobiéty usuwają się od takich zajęć, które gdzieindziéj wyłącznie w ręku kobiecém pozostają. Po wsiach np., mężczyzna doi krowy, w wielu farmach widziałem mężczyzn zamiatających izby; tam zaś gdzie dom jest zamożny aby utrzymać chińczyka, całe gospodarstwo kobiece spoczywa na jego barkach. Poczciwy i nie wyczerpanéj poczciwości „John“ jest niańką, kucharką, ogrodnikiem, pani zaś domu kołysze się na krześle przyjmuje gości, ubiera się, pieści swoje rozpuszczone jak dziadowski bicz „baby“ (*bebe*), i oto całe jéj zajęcie.

. Ogólnie kończę te kilka słów o emancypacyi tém: istnieje jéj możność a nie istnieje potrzeba, zatem niéma i praktyki. Ale w Europie biorą możność za praktykę, i dla tego w pojęciu o amerykańskiéj kobiécie powszechnie się mylą.

Jeszcze kilka słów dla dopełnienia obrazu.

Nigdzie może na świecie nie jest tak wygodnie kobiecie jak w Ameryce. Prawodawstwo ją kokietuje, obyczaj daje jéj wolność, opinia osłania ją nawet wtedy, kiedy broi, mężczyzna ją rozpieszcza. Jest to ogólna cecha rassy anglo-saksońskiéj, ów szacunek dla kobiét, ale w Ameryce dochodzi on jeszcze wyżéj niż w Anglii. Może dlatego kobiéta jest tu potrochu zepsutém dzieckiem. Gdyby mi jednak kazał ktoś porównać ją pod względem intelligencyi, rozwinięcia umysłowego i uobyczajenia z kobiétą europejską, znowu spytałbym przedewszystkiem, z jaką kobiétą europejską mam ją porównać? bo tu takich różnic jak w Europie niemasz wcale. Weźmy np. nasze stosunki. U nas dama i chłopka, salonowa panna i wiejska dziewczyna, *to* dwa światy, a przynajmniéj dwa bieguny.

Może ktoś spytać, dla czego biorę takie ostateczności?—odpowiem na to: bo mi się tak podoba; bo nie ja wynalazłem te ostateczności, ale one istnieją w społeczeństwie. Otóż u nas salonowa panna mówi z wyjątkiem polskiego, Bóg wié wieloma językami, bo miała od dzieciństwa guwernantkę *„z językami;“* grywa na fortepianie, umie rozmawiać o literaturze i sztukach pięknych z nieopisanym urokiem, o który téż głównie chodzi. Umysł jéj giętki i rozwinięty; jeśli jéj się podoba pozować na wyjątkową naturę, potrafi przysłonić tajemniczą chmurką swą uperfumowaną duszę. Umié także nizać znaczące połsłówka na nitkę rozmowy o niczém, jak paciorki. W gęstym lesie subtelnych odcieni słów i uczuć porusza się tak swobodnie jak w domu. Na pierwszy rzut oka ocenia naturę, siłę i zręczność przeciwnika bez zakładania lewą ręką na nos okularów, jak to uczynił w Panu Tadeuszu Maciek stary; nie napróżno przecież dla wprawy rozkochiwała w sobie wszystkich kuzynków i wszystkich guwernerów swoich młodszych braci. Wogóle: jest sprytna, wyostrzona na towarzyskim pasku życia jak brzytwa, wprawdzie nieuczona, ale psychologicznie i estetycznie do najwyższego stopnia rozwinięta.

Może być przytém zła lub dobra, szlachetna lub nieszlachetna, to już rzecz jéj wychowania i sumienia, w każdym razie jest istotą wysoce inteligentną. Kreśląc ten obraz kłaniam się tém samém wielu moim dawniéjszym i nowszym znajomościom. Czy im to: *tém samém* zrobi przyjemność, czy przykrość, nie mam czasu się zastanawiać, przechodzę bowiem do drugiéj ostateczności, to jest do wiejskiéj dziewczyny. Ta Chloe z czerwonemi nogami, chodzi boso po rżysku i dlatego

ma różę w kostce; pija wódkę zasłoniwszy się kilimkiem, i na wszelkie pytania odpowiada wiecznie jedno: „kaj się wstydom!“ Sielankowa ta wstydliwość nie stoi zresztą na przeszkodzie pewnym również sielankowym zajściom na świeżém sianie. To tyczy się uobyczajenia. Chloe nie umie przytém czytać, pisać; nie rozumie absolutnie co się koło niéj dzieje, a świat w jéj oczach odbija się tylko zewnętrznie, tak jak niebo w wodzie. Do jéj mózgu nie dochodzi nic. Teraz tedy z jakąż kobiétą mam porównać amerykankę? Powiecie z przeciętną: to się znaczy nie istniejącą w rzeczywistości; wreszcie bądźcie łaskawi to przecięcie uczynić, bo ja go zrobić nie umiem. Jeśli chodzi o przeciętną amerykankę, to inna rzecz. Wyłączywszy sawantki i kilkaset indywiduów, które podróżując po Europie wyrobiły się na kobiety europejskie, wezmę pierwszą lepszą i powiem: oto typ. Otóż powtarza się toż samo, o czém mówiłem pisząc o oświacie w Ameryce. Brak tu tak wybitnych różnic jak u nas. Rozwinięcie umysłowe i uobyczajenie nie są tu arendą jednéj tylko klassy. Każda kobiéta umie tu czytać, pisać, czytuje gazety, ma jako tako rozwiniętą głowę, wszystkie ubierają się jednakowo, t. j. przynajmniéj jednym krojem i jedną modą: wszystkie nie różnią się zbytecznie obyczajami, t. j. tak pod względem intellektualnym, jak i estetyczno obyczajowym stoją niżéj od niewielu naszych kobiét, a wyżéj od całéj massy.

Ale na podróżnikach, którzy, jak się to najczęściéj zdarza porównywają tutejsze kobiety wyłącznie z jedną tylko klassą kobiét w Europie, robią one powszechnie ujemne wrażenie. Oto dlaczego np. panna Krystyna Narbutt malowała tak sadzami tutejszy świat

kobiecy. Zupełnie pojmuje, że świat ten musiał jéj się wydawać dość sobie ciemny, prostacki i wogóle: *mauvais genre.* Horainowi, gdyby również baczył w porównaniach tylko na nasze kobiéty świata wyższego, amerykanki także nie przypadłyby do smaku; ale Horain nic złego o nich nie napisze, bo to niestrudzony wyznawca i czciciel płci pięknéj.

Co do mnie, oddawszy wszelką sprawiedliwość lepszéj proporcyi w oświeceniu kobiet w Stanach Zjednoczonych, daleki jestem od tego, abym je miał stawiać za wzór kobiétom europejskim oświeconym. Powiem nawet, że amerykanki mają wiele ich wad, ale nie mają wielu ich przymiotów. Więc naprzód, na ogół wziąwszy, mniéj są pracowite, mniéj zajmują się domem, gospodarstwem domowém i kuchnią, skutkiem czego kuchnia amerykańska znajduje się w stanie dość opłakanym. Powtóre, zamiłowanie strojów dochodzi tu do jeszcze wyższego chyba stopnia. Dlatego téż nawet na bulwarach paryzkich nie można zobaczyć tylu wspaniałych tualet damskich, ile się ich widzi na Nowojorskim Brodway, lub na Kerney w San-Francisco. Moda, jak już wspomniałem jest tu jednakowa dla wszystkich, i ubranie służącéj lub wieśniaczki różni się od ubrania milionowéj kupcowéj lub żony wysokiego urzędnika, tylko ceną i gatunkiem materyału, nie zaś krojem.

Tak wystrojone kobiéty, dziwnie wyglądają obok mężczyzn, nie przywiązujących do ubioru żadnego znaczenia. Można powiedzieć, że rękawiczki i frak są rzeczą prawie w Ameryce nieznaną. Wiadomo wam zapewne, iż prezydent Grant występował na uroczystości otwarcia wystawy w surducie i bez rękawiczek. Podczas gdym bawił w Anaheim, w południowéj Ka-

lifornii, przyjechał do tego miasteczka cyrk francuzki. Oczywiście, cała okolica zjechała się na tę uroczystość. Otóż trzeba było widzieć miejskie i wiéjskie „*ladies*“ wystrojone według żurnalów, uczesane w koki i loki dekoltowane, upudrowane, urękawiczone, idące na wieczorne przedstawienia, pod rękę z mężami o ogorzałych twarzach, ubranymi, tylko w buty, spodnie i bawełniane koszule, bez kamizelek i surdutów.

Ale tak dzieje się tu wszędzie. Mężczyzna estetyczne swe instynkta zaspakaja tu stroiąc żonę. Zadawalnia go to zupełnie.

Znajomość francuzczyzny uchodzi między amerykańskiemi kobiétami również jak i u nas za szczególniejsze znamię dystynkcyi i dobrego tonu, nie jest jednakże rozpowszechnioną. Każda kobiéta gdy mowa jest o języku francuzkim, wypowie niezawodnie stereotypowy frazes: „*it is very sweet language*“ *(it is very swit lingwicz:* to jest bardzo słodki język); co więcéj, każda prawie idąc za popędem mody, poczyna się uczyć po francuzku; ale napotkawszy pierwsze trudności, traci chęć i energią. Swoją drogą, między nie umiejącemi wcale tego języka, uchodzi za bardzo w nim biegłą, dopóki nie zjawi się jaki cudzoziemiec, i dopóki w rozmowie z nim nie pokaże się, że panna umie „*very little*“ (bardzo mało) po francuzku, które to „*very little*“ zwykle w rzeczywistości równa się zeru.

O literaturze, poezyi i sztukach pięknych, kobiéty tutejsze nie wiele mają pojęcia; przyczém poznanie literatur zagranicznych utrudnia nieznajomość obcych języków. Na talenta w edukacyi kobiét mniéj tu zwracają niż w Europie. Nie spotkałem kobiéty któraby znała rysunek lub malarstwo. Znajomość mu-

zyki, na nieszczęście, więcéj jest rozpowszechniona, ale za to do najwyższego stopnia powierzchowna. Brak amerykankom i pracy, i muzycznych zdolności, i wreszcie estetycznego poczucia. Przeglądając nuty w różnych domach tutejszych, nie spotkałem się ani razu z Haendlem, Mozartem, Bethowenem, Szopenem, Lisztem, z mistrzami francuzkimi lub włoskimi. Wszędzie znajdowałem tylko jakieś walce, polki, marsz Georgia i... *quousque tandem Catilina!* „*La priere d'une vierge*“ Bądarzewskiej. Tutejsze dziewice grywają ową „*la priére,*“ jeżdżąc wraz z krzesłem wzdłuż klawiatury, wzdychając, podnosząc oczy; słowem zupełnie jak u nas, co ma oznaczać niewinność, idealność, panieńskie tęsknoty, fałszywy apetyt i tym podobne.

W obyczaju towarzyskim i rozmowach dziwnie się tu mięsza surowość purytańska ze swobodą, o jakiéj niemożemy nawet mieć pojęcia. Pod tym względem niéma na świecie bardziéj różnych towarzystw, jak amerykańskie i hiszpańskie (meksykańskie), którychto ostatnich poznałem wiele w południowéj Kalifornii. W towarzystwie hiszpańskiem, pierwszém prawie pytaniem i zupełnie poważném, jakie po zabraniu znajomości mężczyzna zadaje kobiécie, jest: *Esta Usted enamorada?*“ Czy jesteś pani zakochana? Jeśli kobiéta odpowiada: „*Sicaballero!*“ wówczas grzeczność nakazuje wykrzyknąć: „jestem zgubiony!“ Ta poetyczna rassa, również jak wszystkie narody romańskie, miłość uważa jakby za dobrego geniusza, bez którego życie niewartoby było jednego reala, za pierwszą, najgłówniejszą, i tak niezbędną jak chleb powszedni potrzebę. Cóż więc dziwnego, że i mówi téż przeważnie o miłości.

W towarzystwie amerykańskiém rozmawiać tak nie uchodzi; ale natomiast częstokroć młoda panna po-

zwala tu sobie powiedzieć, skutkiem nieświadomej siebie śmiałości, coś takiego, co mężczyzna biorąc rzeczy po europejsku, mógłby najopaczniéj rozumieć! Na pewnéj np. wycieczce poznałem dwie damy, nader, jak mi mówiono, dystyngowane: ciotkę, podobno autorkę jakichś poezyi, i siostrzenicę, piękną pannę, białą jak śnieg, z niebieskiemi oczyma i czerwonemi włosami. Rozmawiałem z panną przez tłómacza, nie umiałem bowiem jeszcze prawie nic po angielsku. Po chwili więc powiadam:

— Żałuję bardzo, że nie umiejąc języka pani, nie mogę z nią bezpośrednio rozmawiać.

— Nic nie szkodzi—odpowiada miss — jeśli pan chce, będę pańską nauczycielką.

— Pani, wdzięczność moja.... i t. d.

— Jednakże będę pana uczyć pod jednym warunkiem.

— Z góry przystaję na wszystkie; ale pod jakimże?

— Oto, jeżeli pozwolisz przy lekcyi uścisnąć od czasu do czasu twoją rękę.

Wyznaję, że *obstupui!* Gdyby to było w rozmowie we dwoje tylko, doprawdy, moja wrodzona zarozumiałość znalazłaby obszerne pole do przypuszczeń. Ależ było to powiedziane za pośrednictwem osoby trzeciéj, wspólnéj naszéj znajoméj, i głośno, w obec całego towarzystwa, jako zwykła uprzejmość: „*sans consequence.*“ Gdybym miał lat sześćdziesiąt, usłyszałbym toż samo. Tu obyczaj towarzyski na to pozwala.

Również przez taką tylko swobodę obyczajów, panującą obok purytańskiéj powagi, można wytłómaczyć istnienie tu tak zwanego stosunku: „*flirtation*“

(flirteszyn). Wyraz ten na polski język da się przełożyć przez umizgi, albo koperczaki.

Młody człowiek i panna stojąca ze sobą w takim, zresztą bynajmniéj nie sekretnym stosunku, widują się ze sobą sam na sam, ile razy im się podoba, chodzą we dwoje na spacery, podróżują nawet; słowem: są ciągle ze sobą i poznawają się wzajemnie. Jeżeli charaktery ich przystają do siebie, wówczas *„flirtation“* zmienia się w związek małżeński; jeśli zaś nie, każde odchodzi w swoją stronę.

W Europie stosunek taki wywołałby niezawodnie mnóstwo skandalicznych następstw. Tu ich nie wywołuje. Z jednéj strony stoi temu na przeszkodzie chłodny temperament kobiét, w którym rozwaga przeważa nad uczuciem; z drugiéj opinia, która w danym razie całą odpowiedzialność zwala na mężczyznę i wyłącznie jego tylko podaje na ohydę publiczną; a nakoniec i prawodawstwo, które pod karą ogromnych summ pieniężnych, każe mu się żenić natychmiast, i słuszność przyznaje kobiecie nawet wówczas, gdy widocznie rzeczy się mają inaczéj.

Na tém zakończę szkic obecny. Z powodu swych rozmiarów, musi, on zapewne być niedokładny i niewyczerpujący; starałem się jednak unikać w nim rysów fałszywych, a przytém być o ile można objektywnym. Sądy moje może czytelnik uważać za premissy, z których niechaj wyprowadza takie wnioski, jakie mu się podoba. Co do mnie, powtarzam tylko, że nie zamykając oczu na ciemne strony tutejszego społeczeństwa im bardziéj i pilniéj mu się przypatruję, tém więcéj dostrzegam stron jasnych.

VII.

Szkice amerykańskie.

Nie chcę być niczém krępowany w przesyłaniu wam moich listów, ani czasem, ani porządkiem wrażeń. Pozwólcie mi być swobodnym, pozwólcie pisać mi o tém, o czém mi się podoba; przeskakiwać wypadki i zdarzenia, odłożyć np. opis mego pobytu w San-Francisco, Sacramento lub nad rzeką Kosumnes, a skokiem prawdziwie fejletonowym zaprowadzić was o całe setki mil daléj, w miejsca, które zamieszkuję i zwiedzam obecnie.

Przedewszystkiém jednak muszę was uprzedzić, że mam trochę cygańską duszę i nigdzie nie mogę zagrzać długo miejsca. Nie uwierzycie, jak mi było dobrze w dolinie Anaheimskiéj, w tym prawdziwym raju na ziemi, o którym śmiało można powiedzieć:

„Czy znasz ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa?

Istotnie cytryna tu dojrzewa, a oprócz cytryn, jak u nas lipy, tak tam każdy dom tuli się pod zielone warkocze drzew pieprzowych, tamarynd, palm, ricinusów, oleandrów, winogradu, fig i drzew gumo-

wych. Ciemne bluszcze o liściach wielkich, podobnych do klonowych, i inne pnące się rośliny, których nazw nie znam nawet, czepiają się tu każdego pnia, każdéj gałęzi, każdéj kraty w werandzie lub ścianie, tworząc nieprzebite festony i kopuły zieloności, pod któremi nawet w czasie godzin południowych panuje rzeźwy chłód. Nic milszego, jak siadłszy pod taką kopułą na biegunowem krześle, patrzeć z cienia na oświecone słońcem przestrzenie. Powietrze przesycone zapachem heliotropów, lilii, róż, kwiatów pomarańczowych i różnych innych, które tylko w tym klimacie wzrastają i mnożą się, upaja prawie. Na kwiatach kołyszą się motyle; od czasu do czasu zalatują kolibry, podobne do konika polnego o świetnych barwach, i zawisnąwszy koło kwiatu na drżących skrzydełkach, zanurzają kilkakrotnie w jego kielich swój długi, nakształt, igły dziobek. Ptaszek ten ma wszystkie ruchy owadu: kręci się jak motyl, nie siada prawie nigdy, a skrzydełka jego skutkiem niezmiernie szybkich drgań, wydają szmer podobny do skrzydeł szarańczy. Jestto „baby“ (bebe), czyli Beniaminek wszystkich ptaków, dlatego żaden z nich nie robi mu krzywdy; czychają na niego tylko brzydkie pająki, ale bebe walczy z niemi mężnie i bardzo często je pokonywa. Ludzi nie więcéj boi się niż każdy motyl, i kręci się często tuż nad ich głowami. Zresztą prowadzi sobie życie wesołe: na liściu pomarańczowym ma swoje gniazdko, ma co jeść, pić; nie płaci żadnych podatków: jest bogaty, niezależny, rozpieszczony i szczęśliwy.

Prócz kolibrów, widzisz tu mnóstwo innych ptaków. Szary z żółtą piersią pszczołojad, i wielki przy-

tém zawadyaka, patrzy tylko, czy niema blizko jakiego drozda lub błękitnika, żeby zaraz z nim zrobić awanturę. Ale oto mądry drozd, czyli tak zwany przedrzeźniacz schował się dobrze w liście ricinusu, i z téj kryjówki drażni wszystkie stworzenia, naśladując ich głosy. Czasem zamiauczy jak kot, zaszczeka jak pies, czasem zakwacze jak żaba, to znów przyjdzie mu do głowy kaszlać, kichnąć lub rozśmiać się, jakby miał pomieszanie zmysłów. Sam umié śpiewać, ladaco, prawie tak ładnie jak słowik, ale śpiewa tylko w nocy, w dzień zaś woli przedrzeźniać innych. Indyanie nazywają go za to: ptak-małpa, ale lubią go także wszyscy, ma bowiem niewyczerpany humor. Jestto sobie Gavroche ptaków.

Czarne małe szpaki o szkarłatnych ramionach, napełniają powietrze zupełnie jakby dźwiękiem srebrnych dzwoneczków. W winogradzie smyrgają pstre przepiórki, między któremi samce mają rogi na głowie. Proszę zauważyć: samce tylko. Możnaby z tego wyprowadzić rozmaite złe wnioski o „konduicie“ samiczek, które téż wydają się płoche, zalotne i lekkomyślne. Jestto tém większą ich winą, że małżonkowie są o nie bardzo staranni. Gdy panie jedzą winogrona, panowie czuwają na straży: w razie zaś jeśli zbliża się jakiś kot, albo jaki literat warszawski, sławny zresztą pudlarz, zabłąkany aż w te strony, wykrzykują: „kot! kot“ i całe towarzystwo zmyka co sił na piechotę w pole między kaktusy, które jadowitemi swemi kolcami potrafią zatrzymać wszelką pogoń.

Ludzie tutejsi, z wyjątkiem owego literata, nie robią krzywdy ptakom, nawet bardzo smacznym; owszem kochają je i uważają za pożyteczne, ptaki te bowiem

tępią wszelkiego rodzaju owady, których tu mnóstwo. Co się zaś tyczy literata, i ten rzadko bywa sprawcą jakiego nieszczęścia, ale za to napędzi częstokroć takiego strachu, że niech Bóg broni, témbardziéj, że nie wiedzieć, jak się go ustrzedz, i gdzie jest, a gdzie go niéma; — włóczy się bowiem po całych dniach po polach, winnicach, krzakach, słowem, gdzie go nie posiał tam wzrasta.

Na około Anaheim ciągną się przez całą dolinę, od gór aż do pasu stepowego pola nieuprawne, bo jeszcze nie zajęte przez nikogo, porosłe tylko kaktusami. Kaktusy te tworzą ogromne kępy, wyspy i jak gdyby całe lasy. Dochodzą czasem do kilkunastu stóp wysokości, bo liść jeden wyrasta z drugiego dopóty, dopóki roślina nie ugnie się pod własnym ciężarem. Latem kwitnie to wszystko śliczném purpurowém kwieciem, jesienią zaś wydaje owoce barwy sinéj, pokryte drobnemi kolcami, parzącemi jak pokrzywa, słodkie i tak kształtem jak smakiem do fig podobne. Owóż w tych kaktusowych lasach żyją całe tysiące zajęcy, ziemnych wiewiórek, kujotów, i borsuków. Cała ziemia tam podziurawiona jest jamami, w które co krok zapada noga wędrowca. Wszystkich tych zwierząt jest nieprzebrane mnóstwo, zajęcza jednak ludność jest najliczniéjsza. Żadne prawo nie ogranicza wolności tępienia tych długo-uchów; szkody bowiem, jakie robią w polach są ogromne. Niszczą plantacye wszelkiego zboża i kukurydzy, psują drzewka ogryzając korę; pustoszą winnice, zjadając liście młodych szczepów: słowem są plagą, która mimo wszelkich środków zaradczych, ciągle równie dotkliwie czuć się daje.

Dlatego też w Anaheim, w Santa-Ana, w Orenge i innych osadach, co wieczór słychać nieustającą kanonadę. Wszyscy mężczyzni, wszystkie chłopaki od lat czternastu, wychodzą dzień w dzień na zające i zabijają je bez liku. W Santa-Ana, za mojéj tam bytności, uczyniono na nie obławę i zabito ich w ciągu sześciu godzin, przeszło siedmset; jednakże następnego dnia, gdym wyszedł na polowanie, nie wydawało mi się aby ich było mniéj. Wszedłszy o zachodzie słońca między kaktusy, wszędzie naokół można spostrzedz sterczące uszy, wytrzeszczone oczy i groźnie poruszające się wąsy. Zdarza się, że gdy strzelisz do jednego, z pod liści i kęp wypada naraz ze wszystkich stron kilkunastu, a wtedy już strzelaj, ile dusza raczy, témbardziéj, że po pięciu lub sześciu skokach, nie uciekają daléj, ale siadłszy na tylnych łapkach, strzygą uszyma i rozglądają się w około. Nie potrzebuję dodawać, że strzelający po łacinie myśliwiec, otwiera wówczas szeroko usta, i sam nie wié co mu robić wypada.

Drugą takąż samą plagę stanowią wiewiórki ziemne i tak zwane gofry. Pominąwszy, że wiercąc dziury w polach, utrudniają uprawę, niszczą przytém mnóstwo zboża. Raz zadałem sobie pracę rozkopania jamy gofra, która ciągnęła się kilkanaście łokci pod ziemią. Cóż tam za korytarze, składy żywności, piwnice! Odkopawszy tylko niektóre, znalazłem kilkanaście funtów rozmaitego zboża i korzonków; nie dokopałem się zaś ani do piętr dolnych, ani do końca podziemi. Zdawałoby się, że ród tych szkodników powinien wyginąć. Ludzie mordują ich bez miłosierdzia; żywią się niemi borsuki i kujoty, czyli wilczki stepowe, polują na nie orły i jastrzębie, pożerają je węże: jednakże wszędzie są ich *nieprzeliczone* massy.

Zapuszczając się w wycieczkach na kilkanaście mil angielskich od Anaheim, spotykałem dość często, zwłaszcza za nadejściem nocy, kujoty. Są to zwierzęta zupełnie do naszych wilków podobne, tylko bez porównania mniejsze. Na ludzi nie rzucają się nigdy; są przytém bardzo lękliwe, tak, że w dzień nie pokazują się wcale. Nocą przebiegają między kaktusami, skomląc żałośnie i polując na zające. Zbliżają się także do mieszkań ludzkich, czychając na owce, gęsi, kury i t. p. Oczywiście, jeśli uda im się napaść na owcę, którą pasterze zapomnieli zagnać do koralla, jestto bal dla nich wielki, ale mordują ją zawsze w kilku, jeden bowiem nie dałby sobie rady.

Koza jest dla nich zbyt waleczna. Potrząsnąwszy groźnie brodą i zniżywszy głowę, rusza śmiało z rogami, choćby na trzech i czterech kujotów, którzy też wkrótce sromotnie tył podają. W okolicach bardziéj zamieszkałych, gdzie mniéj jest zajęcy, główne utrzymanie kujotów stanowi kradzież. Kradną co się zdarzy, jedzą bowiem wszystko. Jeden z naszych rodaków, stary miner i traper, osiadły w Kalifornii od lat przeszło trzydziestu, opowiadał mi, że raz w nocy w górach Sierra-Nevada, wyciągnęły mu worek z sucharami z pod głowy, skutkiem czego zaalarmował cały obóz, myślał bowiem, że to indyanie zakradli się nocą do namiotów.

Postrzelony lub złapany we wnik kujota, daje tak dotkliwe dowody tchórzostwa, że nie podobna się prawie do niego zbliżyć; naciśnięty jednak przez psa, broni się rozpaczliwie tak, że tylko chart umié rozciągnąć go na miejscu. Oswajać nie próbował ich nikt, może

z powodu przykrego zapachu, jaki wydają, a może, że i z natury zbyt są dzikie.

Borsuk za to oswaja się z łatwością. Mówię to z doświadczenia, mam bowiem sam jednego, który ani pod względem oswojenia, ani pod względem pojętności niczém się od psa nie różni. Przechodząc raz szarą godziną przez zarośla, spostrzegłem go o kilkanaście kroków od jamy, i zastąpiłem mu drogę. Zabawne to pękate stworzenie, samo nie wiedziało co zrobić; uciekać bowiem, z powodu nadzwyczaj krótkich nóg, nie może, w pobliżu nie było nigdzie drugiéj jamy, grunt zaś latem zbyt jest zeschnięty, aby się mogło zaraz zakopać. Otóż, z pomocą sznurka i zdjętego surduta, udało mi się po długiéj i walecznéj ze strony biédaka obronie, schwytać go wreszcie i zaciągnąć do domu. Był to młody, roczny może samiec, pokryty piękném futrem koloru szopów, z białym łyskiem na głowie i czarniawym pyszczkiem. Przez parę dni siedział zwinięty w kłębek w moim pokoju, mrucząc groźnie, gdym się do niego zbliżał, jadł jednak co mu było dać, gdy nikt na niego nie patrzył. W nocy robił wiele hałasu, biegając po pokoju i stukając olbrzymiemi pazurami o podłogę, jakby obcasami. W kilka dni potém stracił już dzikość, a w tydzień może, gdym się do niego zbliżył, przewrócił się nagle na grzbiet, a machając nogami i warcząc, począł okazywać swoję radość. Zacząłem się z nim bawić: dałem mu rękę, on zaś udawał że ją gryzie, zupełnie jak młody psiak.

Jestto stworzenie bardzo pojętne i łagodne, a przytém, jakkolwiek niecierpi wody, bardzo czyste. Porządku i obyczajności uczy się tak łatwo jak pies. *Sypia* zwinięty zupełnie w kłąb, tak, że nie widać mu

głowy, a śpi tak mocno, iż mogę go taczać po pokoju. Skoro się rozbudzi, zwykłym sobie kołyszącym się chodem, kłusuje zaraz do kąta i zwija się nanowo. Z powodu swéj pękatości i swego niedołężnego chodu, ruchy ma ociężałe i śmieszne. Jestto skończony safanduła. Kiedy dostrzeże obcego psa, włazi natychmiast pod piérwszy lepszy sprzęt, ale wówczas biada psu, któryby chciał wleźć do jego kryjówki. Niezawodnie cofnie się z niéj pokaleczony i podrapany. W stanie dzikim, gdy psy opadną go z dala od jamy, przewraca się podobno na grzbiet, aby mieć wolne do obrony wszystkie cztery łapy, uzbrojone w straszliwe pazury. Ja jednak tego nie widziałem.

Ale borsuk ma jeszcze jednę szczególniejszą własność, która w tutejszych stronach zmienia się w nieoszacowany przymiot: oto nie szkodzi mu ukąszenie wężów, choćby najjadowitszych. Podczas gdy pies ukąszony przez grzechotnika, kona w męczarniach po upływie kwadransa, borsuk, gdzie spotka grzechotnika, natychmiast chrusta go z apetytem, nie dbając o ukąszenie.

Zresztą jak przekonałem się na miejscu, opowiadania o jadowitości grzechotników, nader są przesadzone. Myślę, że wschodnio-indyjski okularnik daleko jest jadowitszy. Najprzód grzechotnik, zwykle za obejrzeniem się człowieka, ucieka pośpiesznie, a powtóre słychać go z daleka—łatwo się więc uchronić. Widziałem kilku ludzi ukąszonych przez grzechotniki, którzy wyleczyli się dość łatwo. Doskonałym środkiem przeciwko jadowi jest amoniak; rana zalana i wytarta natychmiast amoniakiem goi się dość łatwo; amerykanie jednak mają jeszcze inne lekarstwo, polegające na tém,

że ukąszony wypija natychmiast tyle wódki, ile się w niego zmieści. Ma to być niezawodny sposób.... żeby wyleczywszy się z ukąszenia, dostać zapalenia kiszek i umrzeć. Jednakże, wszyscy ukąszeni, których znałem, leczyli się wódką i żyją do téj pory.

Zresztą grzechotników wszędzie tu coraz mniéj: którego dojrzy ludzkie oko, ginie jak amen w pacierzu. Pręt lub bat najlepszą jest na nie bronią, wąż bowiem uderzony przedmiotém giętkim, rozpada się w kawałki. Prócz ludzi, tępią je także borsuki i inne stworzenia. Polując w zaroślach między kaktusami, koło Anaheim, częstokroć widywałem ptaki, wielkości małéj kury, upierzone naprzemian srebrno i błękitnie, które za zbliżeniem się do nich, uciekały nadzwyczaj szybko piechotą. O ile moje wiadomości zoologiczne pozwalają mi wnioskować, są to poprostu srebrne bażanty, ale amerykanie mówią, że te ptaki nie dobre są do jedzenia—przypisują im natomiast bardzo szacowne własności. Opowiadają, że ptak taki spotkawszy uśpionego węża, odłamuje kolczaste liście kaktusów i otacza go dokoła nieprzebytém kołem, wśród którego, wąż nie mogąc się z powodu kolców wydostać, umiera z głodu. Co do mnie, nie widziałem tego nigdy, i całe to opowiadanie uważam za wierutną bajkę, którą wymyśliły chyba same ptaki, dla uchronienia się od strzałów. Jakoż amerykanie nie strzelają do nich nigdy, i gniewali się na mnie, gdym jednego z nich postrzelił.

Ptaszyska te mają głos podobny trochę do naszych pawi i krzyczą po całych dniach w zaroślach i między kaktusami; jedzą zaś, jak sam to widziałem, nie żadne węże, ale owoce kaktusów.

Ale w błogosławionéj Anaheimskiéj dolinie niéma już grzechotników: jedynemi gadami są tu piękne rogate jaszczórki, należące do rodziny salamander, które nic nikomu złego nie robią, i które nieraz brałem w rękę. Niéma tu również ani niedźwiedzi, ani pum, ani jaguarów, ani wielkich i niebezpiecznych kotów dzikich; ani wreszcie nawet muskitów, téj plagi stron południowych. Są tu tylko palmy, migdały, pomarańcze i barwiste ptaki, i powietrzne kwiaty: motyle—i wieczna wiosna: uśmiechnięte bezchmurne dni i księżycowe noce, podczas których śpiewa jak słowik przedrzeźniacz, kołysząc się na gałązkach tamaryndy.

Najniebezpieczniejszemi istotami, dla młodych myśliwców, są tam chyba *sinoritas* hiszpańskie, odbijające się biało na ciemnem tle palm, jak zaziemskie zjawiska. Ale to jest niebezpieczeństwo, od którego się nie ucieka, ale na które idzie się na oślep, coś niby jak ćma na świécę. Owóż widzicie, że mi tam mogło być dobrze i było dobrze. Dla ludzi pozytywnych dodam, że tam brzoskwinie dochodzą takiéj wielkości, iż jednéj dwoma dłońmi nie obejmiesz; winogrona jak w ziemi chananejskiéj; a kto chce ich kupić mniéj jak sto funtów, temu powiedzą, żeby sobie poszedł do winnicy i zjadł *darmo* tyle ile mu się podoba. Jakże bo tu i sprzedawać, kiedy w czasie winobrania, sto funtów za dwadzieścia pięć centów się sprzedaje. Wobec mnóstwa dziczyzny—życie tanie: słowem: zestarzeć się tu można, jak mówił ktoś o południowéj Francyi, ale umrzeć niepodobna.

A jednak znudziła mnie sielanka, znudziły senority, znudził brak cieniów w obrazie, i pewnego pięknego poranku zabrałem mego psa, borsuka, młodego

orła z przestrzelonem skrzydłem, słowem: całą moję menażeryą i pojechałem do Anaheim-Landing nad brzeg Spokojnego Oceanu.

Anaheim i Anaheim-Landing to jak niebo i ziemia. Piętnaście mil oddziela te dwa miejsca, a jednak, gdym przybył do Landing, zdawało mi się, że zwiedzam te krainy, na których przedsionku Dant wyczytał: „*Lasciate ogni speranza.*“ Grunt urocżéj doliny Anaheimskiéj, biegnąc ku morzu zniża się coraz bardziéj i staje się zapadłym. Roślinność ginie stopniowo. Miejscami przeświecają żołte piaski, miejscami słone bagna, nad któremi unoszą się roje muskitów: gdzieindziéj znów ujrzysz preryę, na któréj latem niema ani źdźbła trawki, ziemia zaś wygląda jak popękane klepisko. Nigdy ani jednego drzewa, a widok téj pustoszy témbardziéj ściska za serce, że w rozpaloném powietrzu, fata morgana łudzi ustawicznie wzrok najcudowniejszemi obrazami, które za zbliżeniem się nikną jak sen.

Dojeżdżając do Landing, widziałem niby Neapol: ogromne cudne miasto zatoczone półkolem nad szmaragdową zatoką, marmurowe pałace, wieże kościelne, grupy palm—w zatoce maszty i barwiste flagi, a wszystko to osnute błękitną, leciuchną mgłą, jak marzeniem. Lecz gdym dojechał na miejsce zjawiska, ujrzałem tylko wydmy plaszczyste. Zjawiska takie, jedne piękniejsze od drugich, ciągle majaczą przed wędrowcem: jestto gra rozpalonego powietrza i promieni słonecznych, padających na grunt pokryty solą jak śniegiem. W rzeczywistości, całe pobrzeże jest pustynią i jedną z najposępniejszych pustyń, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Spytacie się może, dlaczego więc pojechałem *do* Landing?—oto Landing ma kąpiele morskie.

Nie myślcie jednak, żeby to była np. Ostenda z jéj wspaniałemi hotelami, z Kursalem, z Casino z dygą, z plażą, z orkiestrą Pana Singelé, z parkiem ostryg, z siedmnastoma tysiącami cudzoziemców, z pięknemi kobiétami, ze strojami, modą, przepychem i tém życiem gwarném, pyszném, a wyzłoconém—wcale nie. Anaheim-Landing. jesto osada rybacka, gdzie znajduje się sześć chat, jeden bar, jak tu mówią, czyli po naszemu szynk, i oto wszystko.

Mieszkałem u właściciela tego szynku, Imć pana Neblunga, a sypiałem z nim razem w jednej izbie, do szynku przyległéj. W szynku po całych dniach rybacy grali w karty, a do uszu moich, podczas gdym pisał, dochodziły ciągle gniewliwe ich głosy: „*Goddam you! goddam!*“ i nic więcéj nie słyszałem jak tylko te: *Goddam*,“ oznaczające zły humur gracza, któremu nie idzie karta. Na drugi dzień pokazało się, że w Landing nie bardzo jest co jeść: Rano pijaliśmy czarną kawę, bo nie było mléka i jedliśmy morskie ryby, na obiad ryby i na wieczerzę ryby. Wykwintna to zapewne potrawa owe „*turbot*,“ flondry i t. p., ale gdy się to jada trzy razy na dzień przez parę tygodni, w końcu człowiek dochodzi do tego, że wolałby kawałek wołowiny. Brakło mi także towarzystwa, bo owi rybacy, jakkolwiek każdy z nich, pojedyńczo wzięty, tytułuje się „kaptem,“ byli to najprostsi ludzie, jakich widziałem w Ameryce. Co mi to za kapitan, który na ręku i na piersiach jest, według zwyczaju amerykańskich majtków, tatuowany błękitną i czerwoną farbą, w kotwicę i w rozmaite napisy. Jedynym nie tatuowanym człowiekiem z mężczyzn w Landing był mój gospodarz Max Neblung, osobistość ciekawa ze wszech miar i warta opisu.

Jestto niemiec, który przez całe życie włóczył się po całym świecie. Ma dosyć wykształcenia, jest wielki frant i mówi mieszaniną wszystkich europejskich języków. Niéma kąta na świecie, gdzieby nie był. W Pekinie spędził cztery lata: utrzymuje, że należał do poselstwa; zdaje mi się jednak, że należał jako kucharz, posiada bowiem doskonale sztukę kulinarną. Potem był w Australii, gdzie kopał złoto. W Brazylii polował na jaguary; w Gwinei w Afryce na gorylle;—kłamie, jakby za to pobierał honorarya od wiersza. Jest zawołany próżniak; po całych dniach leży na sienniku i czytuje romanse, a rybacy tymczasem piją ile chcą jego piwa, i płacą mu także ile chcą. Rozmaite jego wiadomości z dziedziny historyi, a nawet literatury są istotnie zadziwiające. Raz rzekł do mnie:

— Sir! ja nazywam się Neblung, zatém pochodzę od Nibelungów.

Innym razem zdradził się ze znajomością Iliady. Ustępy Szyllera i Goethego deklamuje napamięć, a jednak czasem znów nie wié rzeczy najprostszych. Jest niezmiernie bezinteresowny, bardzo lekkomyślny i stale zakochany. Pierwszego dnia zaraz wyznał mi, że serce jego rozdarte jest na dwoje: między dwie siostry hiszpanki, z których jedna nazywa się Ameryka, a druga Słońce (Sol). Siostry te przyjechały w tydzień późniéj kąpać się do Landing, skutkiem czego Max stracił głowę zupełnie, wydał wszystkie pieniądze, jakie miał, na krawaty i pomadę, a potem piwo brał na kredyt z Anaheim.

Tacy ludzie tylko w Ameryce mogą się zdarzyć. Max, jak ów Laufen w komedyi Lubowskiego, nie potrafi ani jednego zdarzenia sklecić w jednym języku, ale

prawie zawsze pomiesza niemiecki, francuzki angielski, hiszpański, a czasem nawet i chiński. W Anaheim wszyscy lubią go bardzo, kredytują mu chętnie, chociaż nie jest zbyt wypłatny, i zapraszają na wszystkie strony, skoro się tylko pokaże.

Mnie jednak nudził swoją gadatliwością i przeszkadzał mi często pisać, zadając ustawicznie, jak dziecko, rozmaite pytania. Gdym go prosił, żeby siedział cicho, kręcił się jakby uwiązany. Wówczas brałem strzelbę i wychodziłem nad brzegi.

Zwierzyny w Landing niéma prawie żadnéj. Nocami tylko, po księżycu, skomlą kujoty, ale w dzień siedzą pochowane. Ptastwa za to morskiego miliardy, wszystko to jednak nie zdało się na pokarm, trąci bowiem tranem i rybą. Mogę powiedzieć, że główne moje towarzystwo stanowiły pelikany. Potężne te ptaki nietylko nie boją się ludzi, ale lubią i chętnie do nich się garną. Jestto wprawdzie miłość bez wzajemności, bo ludzie brzegowi w przeciwieństwie z farmerami tłuką je gdzie mogą: strzelają do nich z rewolwerów, zabijają wiosłami i tym podobnie. Pierwszego zaraz dnia, gdy wyszedłem na brzeg, zobaczyłem kilkanaście pelikanów ważących się na ogromnych skrzydłach o kilkadziesiąt stóp nad moją głową. Mając przy sobie broń, strzeliłem: jeden ptak okręcił się natychmiast w powietrzu i spadł ciężko na piasek. Gdym się zbliżył do niego, już gasnął, ale podnosił jeszcze głowę uzbrojoną potężnym dziobem i torbą, spoglądając na mnie jakby z wyrzutem.

— Przechodzisz do Nirwany, miły ptaku—rzekłem do niego—i niepotrzebnie życia żałujesz: wszyscy się tam znajdziemy.

Ale mimo téj filozoficznéj uwagi, było mi przykro i doznawałem darwinistycznych wyrzutów sumienia, po zamordowaniu tego dziobiastego bliźniego. Odtąd téż dałem pelikanom pokój, i kupiłem nawet moim kapitanom piwa, za obietnicę, że nie będą ich mordować.

Czasem siadałem w małą łódź, i płynąłem do pobliskich ławic piaszczystych, odległych zaledwie o kilkaset stóp od brzegu. Tam siadłszy na piasku, wsłuchiwałem się w to życie ptasie, gwarne, wesołe i swobodne. Tysiące mew siedziało na jajach, inne kwiląc krążyły nad wodami; pelikany siadały tuż koło mnie i pozakładawszy głowy na grzbiety, przypatrywały się filozoficznie wszystkiemu, jakby zastanawiając się nad porządkiem świata; wielkie kulony morskie brodziły po brzegach, i zmykając kłusem przed nadchodzącą falą, zdawały się znów ją gonić, gdy ustępowała na głębiny: wszystko jednak przedewszystkiém szukało żeru: jeść, podtrzymać życie; jeść i jeść: oto jedyna praca i jedyna troska bezwiedna tego świata. Gdy się w to wpatrzysz, a wsłuchasz, wydaje ci się, że ta walka o istnienie, że ta staranność w podtrzymywaniu życia, ta dziwna energia, niéma w sobie nic indywidualnego: że to objaw jakiejś ogólnéj zasady, świadoméj siebie, czy nieświadoméj, ale stanowiącéj istotę wszech-życia.

I znowu popadałem w ów panteizm, który, tysiące lat temu, śnił się już ludziom nad brzegami Gangesu, na górach Iranu i nad błękitnemi falami Archipelagu. Zdawało mi się, że ten świat ptaków, i moje żółte wyspy piaszczyste i fale płynące z gwarem i łkaniem z niezmiernych przestrzeni, i wiatr, który porusza głupie tłuste roślinki, rosnące na słonym gruncie: że to wszystko ma tylko jednę wielką duszę, że to je-

den wielki Zews grecki, któremu podobało się wziąć na się szatę, zwaną przez nas światem zjawisk.

Z marzeń podobnych budziłem się dopiéro, gdy słońce kryło się już pod wodą, a na mroczném wybrzeżu w Landing, zapalano latarnię morską. Wsiadałem wówczas w łódź i łagodny przypływ w cieśninie unosił mnie do drugiego brzegu. Potém, pogawędziwszy jeszcze z Maxem, szedłem spać, a raczéj oddawałem się na pokarm muskitom. Nieraz zbudziwszy się w nocy, myślałem sobie: być może, że w mądrym wszechświecie mają i muskity swoje prawa bytu, gdybym ja jednakże był je stworzył, stworzyłbym je tak, żeby zjadały wyłącznie Maxa nie mnie.

Świtaniem wstawałem do kąpieli. Nie myślcie, żeby tu kąpiel była równie spokojna i bezpieczna, jak nad brzegiem Baltyku, albo morza Niemieckiego. Rekinów na całém pobrzeżu kalifornijskiém jest mnóstwo. Nieraz popłynąwszy z rybakami na pełne morze, widziałem podnoszącą się z toni potężną, ostro zakończoną pletwę i czarniawy grzbiet jednego z tych potworów, które, zwłaszcza pod wieczór, lubią igrać na fali, to pokazując się, to niknąc naprzemian. Pierwszego dnia kąpałem się z nożem w ręku, ale byłto zbytek ostrożności, rekiny bowiem nigdy nie zbliżają się do brzegu z obawy, aby fale nie wyrzuciły ich na piasek. Dla kąpiących się, bez porównania niebezpieczniejsze są inne stworzenia, zwane po angielsku: „steengris“ (nie wiem jak się pisze), a po polsku, zdaje mi się: raja. Jestto ryba płaska, okrągła, z wydłużonym ogonem, podobnym do ogona prosięcia. Owóż ogon ten opatrzony jest w kolec w kształcie szpady, po obu ostrych brzegach ząbkowany i nadzwyczaj śpiczasty. Ryba

siedzi w piasku niedaleko brzegu, i gdy kąpiący się nastąpi na nią nogą, raja wbija mu kolec w piętę lub podeszwę. Rany takie goją się tak trudno i tak strasznie się jątrzą, że nadbrzeżni mieszkańcy więcéj obawiają się ukłucia rai, niż ukąszenia grzechotnika, i poczytują ją za jadowitszą od wszystkich węży. Nie jest to prawda. Raja nie jest jadowita, rany zaś zadane przez nią, dlatego są niebezpieczne, że tak w podeszwie nogi, jak i w pięcie, schodzą się liczne sploty żył i nerwów. Gdyby przecie nie pięta, Achilles nie umarłby w kwiecie wieku.

Można się łatwo jednak od rai uchronić, robiąc hałas przy wejściu do wody. Co do mnie, widziałem ich kilka, ale nie ukłuła mnie żadna. Widziałem jednę schwytaną przez rybaków, która ważyła przeszło ośmdziesiąt funtów. Kolec jéj długi blizko na dwa cale, zachowałem na pamiątkę.

Przy brzegach owych ław piaszczystych, o których wspomniałem, znajduje się także wiele strasznych polipów, zwanych w zoologii: cefalopedy. Jestto galaretowaty potwór z dziobem papugi i długiemi wąsami, z pomocą których chwyta i wysysa ryby, kraby, młode foki, a nawet jak mówią i ludzi. Wiktor Hugo opisał go w swoich „Pracownikach Morza.“ Najczęściéj jednak spotykaném wielkiém stworzeniem wodném na pobrzeżach Kalifornijskich, jest lew morski: zwierzę istotnie wspaniałe i ze wszech miar na nazwę lwa zasługujące. W San-Francisco jest dom stojący tuż nad zatoką w północnéj stronie miasta, zwany Clife-House, w pobliżu którego sterczy z morza kilka skał granitowych. Owóż na tych skałach można widzieć zawsze całe setki olbrzymich lwów wygrzewających się na słońcu.

Na galeryach domu, umyślnie na ten cel urządzonych znajdziesz zawsze mnóstwo podróżników, przypatrujących się przez szkła teatralne tym potworom, których ponury ryk napełnia powietrze. Stare samce z pomocą pletw, wspinają się z szybkością na skały; częstokroć walczą ze sobą, spychając się karkami z miejsc najlepiéj słońcem ogrzanych; czasem znów rzucają się nagle do wody, która rozpryskuje się w tysiące kropli pod ciężarem ich cielsk olbrzymich. Samice są barwy ciemnéj i o połowę mniejsze od samców; nie ryczą przytém, ale szczekają zupełnie jak psy; ryku zaś samców nie powstydziłby się nawet żaden lew afrykański.

Zwierzę to jednak, mimo groźnych pozorów, mimo paszczy uzbrojonéj w straszliwe kły, jest bardzo łagodne; nie napada nigdy na ludzi, i broni się chyba przywiedzione do ostateczności. Jest przytém bardzo pojętne i oswaja się z łatwością, czego dowodem lew morski znajdujący się w Wood-wards-Garden w San-Francisco, który na głos swego dozorcy, wynurza się z wody, włazi na skałę i chwyta w lot ryby, które dozorca mu rzuca. W Clifehouse strzelanie do tych zwierząt jest zabronione, ale i gdzieindziéj ludzie nie robią im krzywdy, ani bowiem mięso ich, ani skóra, nie na wiele są przydatne. Rekin rzuca się tylko na młode i na samice, gdyż stary samiec poszarpałby go swemi kłami na kawałki.

W Landing widziałem ich tylko kilku, ale strzelać nie mogłem, nie miałem bowiem ani kul, ani gwintowanéj broni, z gładkiéj zaś strzelby, szrótem lub loftkami, nic im zrobić nie można. Zresztą, mając

nawet broń, nie chciałbym zawodzić ufności, z jaką zbliżają się do ludzi, ani zakłócać spokoju w jakim żyją. Wolałem chodzić po brzegach i zbierać muszle lub piękne gwiazdy morskie, których tysiące każdy odpływ osadza na piasku.

Czasem po całych godzinach przypatrywałem się roślinom morskim, również przez fale wyrzucanym. Niektóre z nich mają tak dziwne kształty, że i opisać ich niepodobna. Często, naprzykład znajdowałem roślinę mającą kształt bomby, z któréj przeciwległych końców wychodzą dwa ramiona podobne do kiszek kauczukowych. Jedno z tych ramion krótsze i grubsze dzieli się na kilka odnóg; drugie mające kilkanaście stóp długości, zwęża się stopniowo i kończy się cienkiemi wąsami, obejmującemi zawsze kamień. Jeden egzemplarz téj ciekawéj rośliny zachowałem, ale zczerniał mi na słońcu, wysechł i zmienił się nie do poznania.

Lubiłem także przypatrywać się w czasie połowów, rybom morskim. Nieraz zdawało mi się, że ktoś wysilał fantazyą, aby je tworzyć najdziwaczniéj. Niektóre z nich mają oba oczy z jednéj strony; niektóre kształt kuli pokrytéj kolcami; inne znowu mają usta prawie w środku ciała. Majtkowie przybywający z Południa pokazywali mi zasuszone małe rybki, mające głowę i kark konia. Nazywają je téż konikami morskiemi. W cieśninach, między ławami piaszczystemi i przy ujściach rzek, żyje znów dziwna istota, zwana Bernard-Pustelnik [1]). Jestto rak, mający całe ciało pokryte skorupą, z wyjątkiem ogona, który jako nagi

[1]) Raków tych mnóstwo jest także w La Manche.

i miękki, narażony jest na wszelkie wypadki i wszelkie zmienności losu. Ale mądry pan Bernard umié na to poradzić. Oto spotkawszy muszlę, wyjada ze środka ślimaka, w próżną zaś skorupę wsadza swoję słabą stronę, czyli ogon, który od téj pory ubezpieczony jest doskonale. Bernard nigdy już nie rozstaje się ze swoją skorupą, i wlecze ją wszędzie za sobą, chociaż w ogóle mało się porusza, ufny w to, że fale same przyniosą mu wszystko, czego do życia i pożywienia potrzebuje.

Mając wiele wolnego czasu, po całych dniach dopełniałem moje zoologiczne i botaniczne zbiory. Mam już tego pełny kufer, żałuję tylko, że niedostateczna znajomość nauk przyrodzonych nie pozwala mi ich uporządkować i pooznaczać odpowiedniemi nazwami. Ale cóż zrobić, kiedy nie umiem nic! Kto inny na mojém miejscu zebrałby tu prawdziwe skarby.

Po upływie tygodnia od chwili mego przyjazdu do Landing, przybyły wreszcie gorąco oczekiwane przez Maxa: senorita Ameryka i senorita Słońce. Max wynajął im domek rybacki, sam zaś pomadował się tak, że nie mogłem z nim wysiedzieć w jednym pokoju. Utrzymywał, że piękniejszych kobiét niéma na świecie. Istotnie, tak regularnych rysów nie widziałem nigdy, ale téż i takich piegów nie widziałem nigdy, Max zaręczał wprawdzie, słowem honoru, że w czasie pory dżdżystéj, to zejdzie, ale gdzie mnie tam było czekać pory dżdżystéj. Zacząłem więc z coraz większą tęsknotą spoglądać na dalekie błękitne góry, rysujące się na wschodnim krańcu widnokręgu, i zamykające ze wszystkich stron Anaheimską dolinę. Santa-Lucia, San-Bernardino, San-Jacinto! — same te nazwy miały dla mnie jakiś

dziwny, pociągający urok; postanowiłem tedy skorzystać z pierwszéj lepszéj okazyi, aby się tam dostać. Czasem, późnym wieczorem, na górach tych połyskiwało coś, jakby łuna pożaru.

— Co to jest?—pytałem Maxa—czy to wschód księżyca?

— Nie—odpowiedział w niemiecko-francuzko-angielsko-hiszpańskim języku:—to indyanie musieli zapalić lasy.

— A więc tam są indyanie?

— O tak, pół-oswojeni indyanie, a przytém lwy górskie, niedźwiedzie, jelenie i Bóg wié nie co!

Wówczas w księdze zamiarów zaginałem kartę, na któréj było napisane słowo: pojadę.

Odtąd Anaheim-Landing nudził mnie już coraz bardziéj, ale zabijałem czas pisząc, i obmyślając plany rozmaitych utworów literackich. Wtedyto ukazał mi się w pierwszych zarysach i ów utwór [1]), który wam już przesłałem, a który może obudzić w swoim czasie choć słabe echo. Wieczorami pisywałem także dalszy ciąg: „Z życia i natury"—Hanię i Selima," ale to nie kleiło się bardzo. Wiecie jak to czasem bywa: „Krzycz, wrzeszcz, jak czajka: nie przyjdzie bajka!" mawiał nasz Jachowicz. Tak było i zemną. Tamten pierwszy utwór pochłonął mnie tak dalece, że pisząc Selima, myślałem o czém inném. Nie posądzajcie mnie jednak o próżniactwo. Listów moich macie dosyć, a przytém i z Selimem może niedługo dopłynę do końca [2]).

---

[1]) Szkice Węglem (P. R.).

[2]) Selim w zupełności już nadesłanym został Redakcyi (P. R.).

Zabiera mi także nie mało czasu uczenie się rozmaitych języków. Po angielsku umiem już nieźle się rozmówić! W Landing uprawiałem bardzo gorliwie hiszpański. W południowéj Kalifornii, bez hiszpańskiego ani rusz; zresztą skłoniły mnie do studyów nad nim znajomości z rozmaitemi sinoritami, z któremi chciałbym rozmawiać w ich ojczystym języku. Sinorita Ameryka i sinorita Słońce pomagały mi, ku wielkiéj niespokojności Maxa, bardzo gorliwie, i dzięki im, robiłem rzeczywiście zadziwiające postępy; przytém Horain przysłał mi z San-Francisco doskonałe książki i francuzko-hiszpański słownik: nie brakło mi więc niczego.

Nie brakło mi nawet ochoty, bo polubiłem ten najpiękniejszy ze wszystkich na świecie język, w którym każde słowo dźwięczy jak srebro, każda litera drga własnem melodyjném drganiem, tę męzką, szlachętną a śpiewną mowę, która tak łatwo czepia się pamięci, jak magnes żelaza. Kto przeszedł i złamał wszystkie trudności angielszczyzny, nauczył się wykręcać językiem jak wrzecionem, wymawiać dźwięki pozbawione wszelkiéj wyrazistości, temu, gdy weźmie się do hiszpańskiego, wydaje się, że z pośród cierni i głogów wszedł nagle do ogrodu pełnego kwiatów! Nie znam łatwiejszego języka pod względem wymawiania, jak hiszpański. Pamiętam, gdy pierwszy raz wziąłem książkę do ręki i otworzywszy ją, trafiłem na frazes: „*Examina, o mortal tu corazon, ahi veras los motivos de tus aciones!*“ co po francuzku będzie: „*Examine, o mortel ton coeur, tu y verras les motifs de tes actions!*“ wykrzyknąłem z radością: ależ ja umiem po hiszpańsku!—prawie tak jak u Mollier'a: „ależ ja pi-

szę prozę!“ Rzeczywiście, kto zna łacinę i francuzczyznę, dla tego nauczenie się mowy Cervantesa jest kwestyą, nie lat i miesięcy, ale paru tygodni.

Potrzeba mieć jednak do pomocy jaką sinoritę Amerykę, lub sinoritę Słońce. Zwracam uwagę pedagogów, na tę nowę metodę uczenia języków, dodając przytém nawiasowo od siebie, że im sinorita będzie mniéj piegowata, tém postępy wszelakiego ucznia będą szybsze i większe.

Prócz pisania i uczenia się po hiszpańsku, czytywałem także poważne książki angielskie: wpadł mi naprzykład w rękę przekład Lassala, z którego nauczyłem się wiele. Od czasu do czasu, Horain z San-Francisco, przesyłał mi naszą gazetę i Tygodnik Illustrowany. Była to dla mnie zawsze prawdziwa uroczystość, ale czytując zwykle zbyt łapczywie, kończyłem zaprędko, i potém sam sobie czyniłem gorzkie wyrzuty. Jak stary rumak bojowy, przywykły zamłodu do trąbki, późniéj, ilekroć dźwięki jéj usłyszy, rozdyma nozdrza, jeży grzywę i oczyma iskrzy; tak i ja rozczytując się, to w polemikach, to w poruszanych kwestyach literackich, całą duszą wyrywałem się nieraz do Warszawy, między te stosunki literackie, walki prądów, myśli i osobistości nawet, słowém: w cały ów świat gorączkowy trochę, ale żywy, żywotny, ateński i streszczający w sobie życie duchowe całego ogółu. Bywały chwile, w których myślałem że mi to wszystko obrzydło, w których czułem się zmęczony i utęskniony za naturą, a oto jednak teraz znów dawny nałóg odzywał się z niepojętą siłą.

Chciałbym nieraz zabrać głos w téj lub owéj kwestyi, rzucić swój grosz wdowi do téj lub owéj skar-

bonki, skrzyżować szpady z tym lub owym przeciwnikiem, skrzesać ognia na rogach jakiegoś „*pauvre diable boiteux*“ poruszyć żółć temu lub owemu; szepnąć w ucho jakiemu śpiącemu komitetowi: „zbudź się i chodź do piekła!“ Ot! tęsknię czasem do téj smutnéj roli Chochlika—feljetonisty, którą odgrywałem jakem umiał, przez parę lat, a którą tak się zmęczyłem, że ażem przyjechał tu odetchnąć—między kuguary, grzechotniki i niedźwiedzie.

Ale cóż gdy pomyślę sobie, że nim głos mój was doleci, kwestye zestarzeją się, jak panny czekające próżno na mężów, i ludzie o nich zapomną; pióro wypada mi z ręki.

Z gazety i Tygodnika widzę jednak, że wydawnictwo postępuje u nas coraz bardziéj. Nie wiém, czy to dlatego, że zgłodniałemu i chleb razowy smakuje, ale wszystkie artykuły wydają mi się staranne, a żywotne, a wszechstronne; nasze zaś dzienniki o wiele wyższe od amerykańskich, które, niepozostawiając nic do życzenia pod względem informacyi, pozostawiają wiele do życzenia pod względem literackim. Jak pięknie napisane jest np. w gazecie sprawozdanie komissyi konkursowéj! U nas prassa nie zerwała jeszcze nici, łączącéj ją z literaturą i artyzmem — tu jest tylko kunsztownem rzemiosłem i „businessem,“ potężnym i żywotnym wprawdzie, jak żaden inny, ale tak odległym od wszelkiego artyzmu, jak San-Francisco od Warszawy.

Co to za śliczny wiersz w Nr. 29 Tygodnika, zatytułowany: „W Górach“—zacząłem go czytać z lekceważeniem, jak wszystkie takie ulotne poezyjki, a skończyłem zachwycony:

„Otoczyły mnie wkoło moje równie senne,
Pasmem jednakiem,
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne:
Umiem być ptakiem.“

Cały ten tak poczynający się wstęp sam się śpiewa, jak jaki mazurek Szopena: ma własną dziwną nutę, w któréj słychać szmer świerków górskich, kosodrzewu— i odgłosy ligawek pastuszych. Jest tam echo zupełnie takie, jak w górach. Czytelnikowi chce się po przeczytaniu zawołać: hop! hooop! i czekać bacznem uchem na echową ze skał odpowiedź. Dwa następne ustępy również piękne, ale nie stoją w związku ani z pierwszym, ani ze sobą. Trzeba je było zatytułować osobno. Pod wierszem znalazłem napis: „Marya Konopnicka.“ Nie znam téj poetki. Czy to czasem nie będzie ta panna, za którą sędziwy nasz Odyniec przyprawiał, zresztą niezasłużenie w Bibliotece Warszawskiéj z kwaśnym sosem Prusa? [1]). W każdym razie ta pani lub panna ma prawdziwy talent, który prześwieca przez wiersze, jak promienie świtu przez mgłę. Przypominam sobie, że mam trochę na sumieniu młodocianą muzę Eismonta. Kulała zawsze biedaczka na jedną nogę, a ja nielitościwie starałem się jéj przekręcić drugą aby osiadła na murawie. Ale pomimo tego dosyć mi lekko na duszy. Niech to spadnie na mnie i na potomstwo moje, aż do dziesiątego pokolenia. Jednakże myślę teraz, że sumienie me nie czułoby się równie spokojném, gdybym podciął skrzydełka i tego górskiego słowika; dlatego też chwalę go otwar-

[1]) Nie ta sama (P. R.).

cie, wiem bowiém, że o ile nic tak nie szkodzi miernościom jak pochwała, o tyle nic tak nie zachęca, nie podnieca i nie zagrzewa prawdziwego talentu, jak szczere pochwalne uznanie.

Wiém, że piszę o stu przedmiotach naraz, ale to już przyzwyczajenie feljetonisty. Nie wyrzucajcie więc powyższego ustępu—o mężowie redakcyjni! Przecie nasza miła opinia nie posądzi was, żeście posunęli w koperczaki do nieznanéj poetki, témbardziéj, że podpisuję pod listem moje nazwisko. A propos opinii publicznéj: jakże się tam miewa w Warszawie ta stara wyróżowana zalotnica? Czy zawsze zamiast stać na straży czci i interesów ogółu, żyje tém, *co ząb jéj uchwyci na pięcie* osobistości? czy zawsze ma tak długi język, że chcąc dostać się do jego końca, trzeba brać dorożkę? czy zawsze bawi się, bijąc po głowach strychulcem tych, którzy w jakikolwiek sposób wychylają je z filisterskiego korca? *Toujours comme cela?* W takim razie nic się nie zmieniło od mego wyjazdu. Ale dziękujmy bogom, że nie jest jeszcze gorzéj. U nas przynajmniéj prassa jeszcze czysta, a oto mam przed sobą dotykalne dowody, że o ścianę nad Pełtwią zalotnica rozsiadła się już i w pewnym organie, w którym przez licytacyą *in plus* ofiaruje swe zwiędłe wdzięki więcéj dającemu. Dowodzi to jednak, że handel nie wyłącznie w rękach żydowskich znajduje się w tamtych stronach. O! byle handel szedł, wszystko im tam łatwo sprzedać. Ale żyć w takiéj handlowéj krainie nie łatwo.

Dość o tém. Wracam do mojéj podróży.

Owóż upłynęło mi jeszcze w Landing dni z dziesięć. Co wieczór na Santa-Lucia połyskiwały z daleka pożary lasów; codzień dym unosił się w powie-

trzu, nadając promieniom słonecznym przykrą rdzawą barwę, a ja z żalem myślałem, że nim tam pojadę, spłoną chyba wszystkie lasy i zostaną nagie tylko szczyty i skały.

Aż raz, pewnego poranku, rozbudził mnie jakiś szmer. Na świecie było jeszcze szaro i w tém bladawém pół-świetle, pół-cieniu, ujrzałem Maxa stojącego na krześle ze sznurem w ręku i majstrującego coś koło wielkich gwoździ wbitych w ścianę, na których wisiały meksykańskie kulbaki.

Myślałem, że może, nie zdoławszy się zdecydować, którą sinoritę więcéj kocha: Amerykę czy Słońce — Max umyślił się powiesić, więc nawpół przestraszony podniosłem się na łóżku i spytałem go co robi?

— Jadę, sir, do Harrysona—odpowiedział.—Będzie już z rok, jak pożyczyłem mu sto talarów: jadę teraz odebrać.

— Gdzież mieszka ten Harryson?—spytałem niedbale.

— O! daleko: w górach.

— W górach?

Zerwałem się na równe nogi. Chwila oczekiwana nadeszła.

Max i tak musiał wziąć parę koni, bo miał przywieźć z gór klepek do beczek i kilka baryłek miodu; kulbak miał także kilka: wszystko więc składało się jak najlepiéj.

Zapaliłem świecę i począłem się pakować.

W pół godziny byłem gotów, a w godzinę późniéj, kołysałem się już w lekkim galopie, na wysokiém meksykańskiém siodle. Obok nas biegły psy: mój i Maxa. Byliśmy obaj z Maxem uzbrojeni doskonale: *rewolwery* sterczały nam za pasem, a oprócz tego ka-

żdy z nas miał nawinięte na kulę kulbaki lasso, ową najgroźniejszą broń meksykańską, z którą kalifornijczycy ruszają śmiało nawet na niedźwiedzia, a którą mówiąc nawiasem, nie umiem władać. Gładka moja strzelba nie na wieleby się wprawdzie, w razie wypadku w górach, przydała, ale Max obiecał się wystarać dla mnie w Anacheim o gwintowany karabin, sam zaś miał kentucki rajtel, ważący z jakie czterdzieści funtów i niosący na pięćset kroków stożkową kulę.

Do Anacheim przybyliśmy jeszcze bardzo rano, ale przegalopowawszy piętnaście mil, byłem tak zmęczony, że żadną miarą nie mogłem jechać jeszcze dwadzieścia pięć mil daléj. Bolała mnie każda kość, jakby obita. Max śmiał się—z tém wszystkiém zgodził się jednak nocować w Anacheim, témbardziéj, że miał tam także kilka interesów załatwić.

Wieczorem poszliśmy obaj na dziwne widowisko, jakie tylko w Ameryce może się trafić. Oto, przyjechał do Anaheim aktor, który ogłosił, że będzie uczył deklamacyi, wymowy, a przedewszystkiém pięknych giestów i to po trzy talary miesięcznie. Zapisało się téż zaraz kilkunastu amatorów. Wykłady odbywały się w szkole miejscowéj przy świetle świéc. Trafiliśmy na pierwszą lekcyą a raczéj na mówkę wstępną, którą mistrz rozpoczął mniéj więcéj w ten sposób:

„Dżentlemeni! Ameryka słynie z wymowy, niestety jednak, arystokratyczna Anglia słusznie częstokroć wyśmiewa się z tego, że naszym świetnym mówcom brak téj pięknéj giestykulacyi, tych posągowych poruszeń, które saméj wymowie dodają jędrności, siły i są dla niéj tém, czém takt w muzyce. W imię zatém patryotyzmu, w imię prawdziwéj potrzeby, która w kraju parlamentarnym jest równie nieodbitą, jak każda

inna — chcę was nauczyć, czego nie umiecie dotąd, chcę słowom waszym nadać moc piorunów, a giestom majestat posągów etc.“

Po takiéj mowie, zresztą daleko dłuższéj, rozpoczęła się właściwa nauka. Mówca przedewszystkiém oddeklamował kilka patetycznych ustępów z Szekspira; powiedział kilka wyjątków z mów, zdaje mi się, Blain'a, przyczém wyrzucał głową jak dziki koń, zawracał oczy, machał rękami i wrzeszczał tak, że aż w uszach pękało. Oczywiście słuchacze byli zachwyceni i oczarowani. Potém przyszła na nich koléj. Pokazawszy im kilka pozycyi nóg, od nauki których zaczynają u nas uczyć tańca i kilka ruchów rąk, mówca ustawił ich pod ścianą, kazał patrzeć na siebie i rzekł:

— Teraz dżentlemeni, pozamykajcie przedewszystkiem gęby, a następnie powtarzajcie moje słowa i giesta!

I tu znowu wszyscy zaczęli wyginać się wspaniale w tył, wymachiwać rękoma, potrząsać czuprynami zrobił się wrzask i rwetes, jak na zarwanicy. Patrząc na maryonetkowe ruchy tych ludzi, pomyślałby kto, że dostali pomieszania zmysłów. Ale była to amerykańska nauka pięknych giestów. I któż się tego uczył: jak wam się zdaje? Oto: woźnica omnibusu z Plantershotelu, zamiatacz numerów z tegoż zakładu; kilku starych i młodych rzemieślników, kilku właścicieli szynków — słowem taka publiczność, z jakiéj składa się prawie cała ludność Anaheimu. Im się to jednak może przydać. Kto wié: może dzisiejszy woźnica omnibusu, będzie jeszcze prezydentem Stanów? Każdy tu nosi prezydenta w kieszeni, tak jak we Francyi, każdy żołnierz marszałka.

Po skończoném widowisku, poszliśmy zaraz z Maxem *spać, nazajutrz* bowiem, świtaniem mieliśmy wy-

ruszyć daléj. Na szczęście jednak dla moich kości, zeszło nam jeszcze nazajutrz do południa, tak, że ruszyliśmy dopiéro po drugiéj. Droga szła kilkanaście mil równiną, ale okolica stawała się coraz pustsza:— kaktusy tylko piętrzyły się po obu stronach drogi, dochodząc czasem wysokości dziesięciu stóp. Następnie, zaledwie co parę godzin, spotykaliśmy jaką odludną fermę. Czasem trafialiśmy na mniejsze i większe oddziały pół-cywilizowanych indyan, dążących do Anaheimu na winobranie, przy którém znajdują obfity zarobek. Przywitawszy ich krótkiem: halo! galopowaliśmy w milczeniu daléj. Gdyśmy przybyli do podgórzy, wieczór zapadł już zupełny, ale na niebie świecił wielki złoty księżyc. Okolica poczynała się stawać lesistsza i coraz dziksza. Tu już wcale prawie niéma ludzi—a cisza panuje, jak pierwszego dnia po stworzeniu. Wielkie dęby tylko rozrzucone w malowniczych grupach po pochyłościach szumiały nad naszemi głowami: czasem zachrapały konie—czasem pies zawarczał i rzucił się nagle w bok drogi, a wówczas ściągaliśmy lejce, i kładąc ręce na rewolwery, oczekiwali co to będzie. W téj księżycowéj nocy, w téj ciszy i wobec potężnéj natury, czułem się szczęśliwy jakbym miał skrzydła u ramion. Czar okolicy oddziałał i na Maxa. Zaczął jakąś piosenkę, ale urwał ją wkrótce i ucichł. Jechaliśmy w milczeniu, jakby rozmarzeni. Wkrótce podgórza zmieniły się w góry: naokoło nas ciągnęły się olbrzymie rozłogi kamienne. Złamy granitów, spiętrzone jedne na drugich, wydawały się przy świetle księżyca, jakby zamki, wieże i baszty. Woda licznych strumieni, spadając z wysokości na kamień, dzwoniła metalicznym dźwiękiem.

Jestto niby kapela tych stron. To znów zmieniał się krajobraz: rozłogi zwężały się nagle w gardziele, zarosłe i na dnie i po brzegach dębami. Tam trzeba było jechać ostrożnie i czuj duch! w takich wąwozach bowiem lubią przesiadywać kuguary i wielkie koty dzikie, których chrapliwe głosy dochodziły od czasu do czasu naszych uszu. Psy nasze wolały się trzymać bliżéj koni; ale nie spotkawszy żadnego niebezpiecznego stworzenia, wyjechaliśmy szczęśliwie z wąwozów na płoniny, zrzadka tylko zarosłe dębami, na których zatém i widniéj jest i bezpieczniéj.

Około pierwszéj po północy, ujrzeliśmy wreszcie bielejący w ciemnościach namiot drwala, a zarazem i pasiecznika, u którego mieliśmy się zatrzymać. Gdyśmy zajechali, psy miejscowe podniosły taki harmider jakby je kto ze skóry obdzierał; gospodarz zaś wyszedł do nas, mając rewolwer za pasem.

— Halo!—odezwał się z ciemności mój towarzysz.

— A to ty Max?—odparł gospodarz.

— Tak! to ja i drugi jeszcze dżentlemen.

— To dobrze: napalę zaraz ognia.

Od owéj chwili, aż do dziś dnia, żyję w téj górskiéj pustyni, która zamiast mnie nudzić, coraz bardziéj przykuwa i zachwyca. Siedemdziesiąt mil aż do San-Diego, niéma tu żywéj duszy, a jednak nie brakło mi ani wypadków, ani wrażeń, które w następnym liście opiszę.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu drugiego.

		str.
Wstęp		5
I.	Pobyt w Londynie i podróż do Liwerpoolu	34
II.	Z Oceanu	63
III.	Pobyt w New-Yorku	91
IV.	Koleją dwóch Oceanów (I)	126
V.	Koleją dwóch Oceanów (II)	169
VI.	Szkice amerykańskie	201
VII.	Szkice amerykańskie	240

Stanford University Libraries
3 6105 124 433 082

PG
7158
V.2

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.